NIEDZAŁKOWSKI

CHRZECIJANSK

ZASADY

1

O chrześcijańską zasadę.

Ks. Karol Niedziałkowski.

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ ZASADĘ.

TOM I.

Asceci w rzeczywistości i w wyobraźni. — Kilka wspomnień klasztornych. — Nagość w sztuce. — Moralność i przyzwoitość w sztuce.

WARSZAWA
Drukarnia Artystyczna Saturnina Sikorskiego,
Nowy-Świat Nr. 47, w domu własnym.

1895.

Дозволено цензурою,
Варшава, 3-го Мая 1894 года.

APPROBATUR
Varsoviae die 6 (18) Aprilis 1894 a.

Assessor Consistorii Generalis Archidioecesio
Varsaviensis Leopoldus Łyszkowski.

Pro Secretario J. Podbielski

Nr 1713.

ОДОБРЕНО
въ Варшавѣ 6 (18, Апрѣля 1894 г.

Ассессоръ Варшавской р. к. Духовной Консисторіи Кс. Л. Лышковскій.

За Секретаря Кс. Подбѣльскій.

PRZEDMOWA.

Dzieło, które obecnie w dwóch tomach między ludzi wysyłam, nie zawiera rzeczy nowych, składowe części jego bowiem (oprócz drugiej z porządku) były drukowane w dwóch warszawskich tygodnikach od 1891 do 1894 r. Zdało mi się, że prace te mogłyby być pożytecznemi, gdyby zostały razem wydane; nie brakło mi też zachęty ze strony łaskawych—zbyt łaskawych może—dotychczasowych czytelników moich. Zebrałem je więc, przejrzałem, w niektórych miejscach dopelniłem i nadawszy ogólny tytuł, w świat szeroki puszczam. Wszystkie pod ogólną nazwą zawarte rozprawy nie stanowią jednolitej całości, bo były pisane z różnych powodów i niezależnie od siebie, łączy je

jednak myśl wspólna, niby nić jednego koloru, przewijająca się w całej tkaninie. W każdej pracy mojej osobno i we wszystkich razem szło mi zawsze—*O chrześcijańską zasadę*—której usiłowałem bronić przeciwko poganizmowi, wciskającemu się tam nawet, gdzieby go «przeciętny» śmiertelnik ani się domyślił. To też wedle słabych sił moich starałem się przypominać w poruszanych kwestyach zasady chrześcijańskie, wykazywać ich mądrość, prawdziwość i piękność, z drugiej odsłaniać błędy odrodzonego poganizmu, nie krępując się wcale względem na to, że głosić je, wyznawać i rozszerzać mogli ludzie, uchodzący za bardzo mądrych, sławnych, za «naszych znanych i cenionych». Odosobnienie i oddalenie, w jakiem żyję i pracuję, ma wiele stron ujemnych, ale tę jednę i jedyną może dodatnią, że nieznany, nikomu w drogę niewchodzący i niepotrzebujący na nikogo oglądać się, mogę swobodnie mówić to, co mi się prawdziwem i słusznem wydaje. W polemice z błędnemi opiniami zwracałem szczególną uwagę, ile razy zdarzyła się sposobność, na wykazywanie, jak ludzie głośni z nauki czy z artyzmu popełniali w kwestyach religijnych i filozoficznych błę-

dy, znamionujące nieznajomość elementarnych zasad tych kwestyj, o których decydują stanowczo, a z nieporównaną pewnością siebie. Postępowałem w ten sposób, bo społeczeństwo nasze, tak mało mające rzeczywistej nauki, tako mało pracujące myślą samodzielnie i naprawdę, z zabobonnym strachem korzyło się i korzy przed tymi mniemanymi olbrzymami wszechwiedzy, artyzmu i literatury, z wielką szkodą dla swego umysłu, sumienia i zbawienia. Nie łudzę siebie nadzieją, by moja skromna praca mogła rozwiać te uroki, może się jednak choć trochę przyda w tym kierunku; natomiast pewny jestem, że niejednego rozgniewa, ale na to rady niema. Pocieszam się też z góry w tej przykrości nabytem oddawna doświadczeniem, że wszystkim dogodzić nie sposób i starą maksymą—*amicus Plato, sed magis amica veritas*—przyjaciel Plato, lecz większa przyjaciółka prawda.

22 Marca 1894 r.

X. Karol Niedziałkowski.

Asceci w rzeczywistości i wyobraźni współczesnych literatów i artystów.

A*teneum* z 1890 roku pomieściło w ostatnich 4-ch zeszytach szkic pani Elizy Orzeszkowej „Ascetka". Zaciekawiony tak niezwykłym tematem u znanej ze swych niekościelnych przekonań powieściopisarki, przeczytałem to opowiadanie i przekonałem się po raz setny, że wyobraźnia przy największym nawet talencie prawdy nigdy nie zastąpi. Przed kilkunastu laty „Przegląd Katolicki" wydrukował „Tydzień na pustyni". Student paryzkiego uniwersytetu opowiadał tam po prostu, bez żadnych artystycznych ozdób, swój pobyt w Wielkiej Kartuzyi. Autor opisywał, na co sam patrzał, więc też z tego prawdziwego opowiadania bez pretensyi wiał zapach dzikich kwiatów pustyni i tchnienie słodkiego spokoju. Ascetka p. Orze-

szkowej jest zupełnie inną. Kto nie dopatrzy jej tendencyi, powie, że to rzecz nudna, bez intrygi; kto wie, czego autorka chciała, a zna trochę sfery przez nią opisywane, kończy tę nowellę z westchnieniem ulgi, że w końcu brzmieć przestał ten akord fałszywy. Ta kakofonia przypomniała mi i inne podobne równie fałszywe zdania i przekonania, spotykane wśród ludzi i książek o ascetach i ascezyi; to mnie spowodowało do napisania tych kilku uwag, w których chciałbym wyobrażenia wśród ludzi obiegające zestawić z rzeczywistością. Wypada mi więc przedewszystkiem przypomnieć, co to jest asceza i asceci. Wszystkim wiadomo, że ascetami nazywają się ludzie, wiodący pewien bardzo trudny sposób życia, wielce różny od zwyczajnego. I to także wiadomo, że życie urządzamy sobie w sposób odpowiedni pojęciu, jakie o niem mamy, żeby więc ocenić wartość danego sposobu życia, należałoby pierwej sprawdzić, czy wypływa on z należytego pojęcia o życiu. Dlatego też, nim damy bliższe określenie ascezy i ascetów, nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie, czem właściwie jest życie człowieka, jak się ludzie na nie zapatrują i jak je sobie urządzają. Bibliotekę sporą możnaby ułożyć z tego, co na ten temat napisano, z opisów rozkoszy i boleści żywota ludzkiego. Pisarze pewnego kierunku, kiedy przeciwstawiają życie świata zakonnemu czy ascetycznemu, lubią z je-

dnej strony opisywać zakratowane, mroczne, wilgotne korytarze i ciągnące po nich smutne, blade, zwiędłe postaci w habitach, z drugiej malować życie na świecie, jakby ono było według słów Odyńca — „ogród jeden

A ten ogród, to jak Eden"

„Biegnąc z leszczynowego krzaku, opowiada p. Orzeszkowa, spłoszyła (późniejsza ascetka) stado drobnych ptaków, które z piskliwą wrzawą i trzepotem skrzydeł podniosły się w powietrze, duży motyl nad głową jej leciał, lasy szumiały z cicha, daleko w górze płynęły białe obłoki i łagodziły żar słońca... ...pogoda letnia, cisza polna, radość wszech istot, miłość, przyjaźń... Stwórco! jakże piękny jest Twój świat! Niebo jego — to na drogocennym bławacie haft dyamentowy, ziemia — kobierzec traw i kwiatów, powietrze — ocean świeżości i woni, serce człowieka — kielich po brzegi nalany szczęściem" [1]). Przypuśćmy na chwilę, że tak jest, że róże, miłość, sława i dostatki, wielkość i przyjaźń zawsze towarzyszą człowiekowi w życiu, cóż z tego jednak, kiedy jak powiada hrabia w Tadeuszu

„Na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem,
Rachunki myśli wielkiej, plany wyobraźni,
Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,
Wylania się serc czułych..."

---

[1]) Ascetka.

cóż z tego, kiedy już na kolebkę człowieka pada olbrzymi cień śmierci, stojącej gdzieś na dalekim horyzoncie, a samo jej wspomnienie zdolne zatrzeć każdą uciechę i radość każdą, nim wreszcie przyjdzie chwila, gdy żelazne jej palce na proch i popiół pokruszą wszelką wielkość, piękność i szczęście, a ona usiadłszy na katafalkowym swym tronie, po raz nie wiem który wypowie: wszystko jest marność marności. A ponieważ po za ziemią, choćby ona doprawdy tak piękną była, jest inne życie i inne szczęście, które nigdy nie przechodzi, a na które zasłużyć sobie trzeba (podług ogólnej wiary i przekonania ludzkości), więc i w takim nawet razie, prawdziwie rozumnymi byliby ludzie, umiejący wznieść się nad to, co mija, a dążyć do tego, co trwa. — Powiedziałem „przypuśćmy", bo my, cośmy już kęs czasu przeżyli, wiemy, iż piękna idylla p. O-wej spotyka się tylko na papierze albo na chwil kilka zamłodu. Zaledwo pewna siebie a wrząca młodość wykrzyknie: „Hej, użyjmy żywota wszak żyjem tylko raz" — gdy nadciągną próby, troski, cierpienia „i postać wzniosłą, szlachetną, ładną, smutek nachyli ku ziemi" i już po idylli.

Odrzuciwszy więc na stronę poetyczne opisy i złudzenia, a patrząc na rzeczy trzeźwo i widząc je, jak są, przyznać musimy, że życie nasze jest bardzo krótkim stosunkowo pobytem na ziemi, kończącym się zawsze śmiercią, naj-

częściej w towarzystwie ciężkich cierpień; jest trwaniem, które daje wprawdzie kilka kropel szczęścia [1]), trochę więcej względnego spokoju, ale za to całe morze trosk i cierpienia. W tem krótkiem trwaniu zaznaczyć można następujące trzy zjawiska, nie ulegające zaprzeczeniu.

Najpierwej tedy zmienność ciągłą i wielką nietrwałość — życie to rzeka ciągle płynąca; nic w niem długo nie trwa, chyba cierpienie, szczęście jak strzała przelatuje i znika. Drugą cechą życia jest ciągła walka. — Bojowaniem jest życie człowieka na ziemi, wyrzekł Hiob; dziś jest to może prawdziwszem, niż za dni jego. Słusznie też powiedział któryś poeta, że „od chleba, aż do nieba, wszystko, wszystko zdobyć trzeba". O cóż to człowiek tak walczyć musi, o co mu idzie właściwie, czego szuka? Odpowiedź krótka i znana — szuka szczęścia. Jak kamień, w górę rzucony, musi upaść na ziemię, tak serce ludzkie z natury rzeczy ciąży ku szczęściu. Człowiek szuka i stara się, żeby mu było dobrze, mniejsza na teraz o to, czem ten głód zaspakaja, czy trafnie wyszukuje pokarmów, faktem jest, że całe życie stara się o szczę-

---

[1]) Goethe, należący bezsprzecznie do małej liczby ludzi najszczęśliwszych po ludzku, mawiał, że gdyby zebrać wszystkie szczęśliwe chwile jego więcej niż 70-letniego żywota, byłoby najwięcej sześć tygodni szczęśliwych

ście, stosownie do swoich potrzeb i pojęć. I to jest właśnie trzeci fakt — każdemu życiu właściwy. – Tak więc widzimy, że każdy człowiek, żyjąc, musi szukać szczęścia i zadowolenia wśród ciągłych walk i trudów, wśród zmian ustawicznych, wśród stałości tylko niestałości, z perspektywą niezawodnej śmierci na końcu. Wobec takiego położenia rzeczy ludzie najrozmaiciej się zachowują i dążą do szczęścia i zadowolenia. Możnaby ich pod tym względem podzielić na trzy główne grupy z niezliczoną liczbą odcieni pośrednich i stopniowań w każdej z nich. Więc naprzód idą ludzie, szczęścia swego nie szukający wysoko. Zaspokojenie potrzeb natury, używanie przyjemności zmysłowych jest alfą i omegą ich pożądań. Do tego celu dążą ich prace i walki, a gdy go osiągną, używają życia jak owi młodzieńcy mówiący: „chodźmy w wieńcach różanych, póki nie uwiędną, żadna łąka niech nie będzie, którejby nie miała przejść rozpustność nasza. Żaden z nas niech próżen nie będzie rozpusty naszej; wszędzie zostawujmy znaki rozkoszy, gdyż to jest cząstka nasza i ten jest dział" [1]). Do kategoryi tej należą ludzie wyzuci z zasad religijnych albo mało ich bardzo posiadający. Tak cel życia pojmują Hotentoci w głębi Afryki i „duchy

---

[1]) Mądr. II, 8, 9.

mocne" nad brzegami Sekwany, Sprei i Wisły— *les beaux ésprits se rencontrent*.

Potem następuje niezliczone mnóstwo ludzi wierzących w Boga i życie wieczne, widzących zmienność i znikomość rzeczy ziemskich. Dążą oni do celu przyszłego, ale nie śpiesząc się zbytecznie — *festinant lente* [1]. Upadają i podnoszą się, grzeszą i żałują, pełnią dobre uczynki, ale złe równie często, a może częściej, wierzą w szczęśliwość wieczną, ale srodze boleją nad każdym kwiatkiem doczesnym, więdnącym na ich drodze. Słowem idą i walczą, a powtarzając „niemasz szczęścia na tej ziemi", nie gardzą żadną chwilką szczęśliwą i bardzo rzadko przyjemności dobrowolnie się pozbawiają.

Jest wreszcie trzeci rodzaj ludzi wyższy i logiczniejszy od poprzedzającego. Mówić oni mogą z Krasińskim, a nawet słuszniej, niż on:

> Nigdym nie zasiadł do biesiad ich stołów,
> Co świat ten cieszy,—mnie tylko hydziło [2],

wszystkie rozkosze świata i życia nie wystarczają im. — Najbardziej godziwe przyjemności, skosztowane raz lub drugi, nie smakują i nie wystarczają więcej, jak mleko i cukierek – rozkosz dziecka — nie zadowolnią dorosłego człowieka. Z drugiej strony pragnienie szczęścia

---

[1] Śpieszą powoli.

[2] *Po śmierci.*

posiadają oni w wyższym stopniu bez porównania, niż to biedactwo, które szczęśliwe zupełnie, gdy się naje, napije, wytańczy i w wesołem towarzystwie szlichtady z dzwoneczkami zażyje. — Owóż więc, mając do zaspokojenia pragnień nieskończonych skończone tylko i bardzo mizerne pokarmy, postępują bardzo logicznie i rozumnie, bo gardzą tem, co drobiazgowe, co mija, a dążą do tego, co nieskończone, a trwa wiecznie. Tak kura, gdy znaglona koniecznością, potrzebuje przelecieć kawał przestrzeni, wznosi się z ziemi z wielkim kłopotem i siada na pierwszym spotkanym kołku lub płocie — a ile przytem krzyku, a gdakania, a jakie to machanie i bicie skrzydłami! Orzeł tymczasem lata po nad szczyty gór, szybuje śmiało i długo, a cicho. — Ludzie takiego rodzaju, spotykają się w każdem społeczeństwie, które nie zeźwierzęciło się jeszcze jak murzyni [1]), nie zmateryalizowało jak chińczycy, nie zagasiło jeszcze zupełnie światła wiary w życie zagrobowe i koniec nadprzyrodzony człowieka. Z takiego rodzaju ludzi powstawali zwolennicy Sakya-Muniego, fakirowie indyjscy, terapeuci egipscy, stoicy rzymscy, derwisze muzułmańscy,

---

[1]) Choć i między nimi zdarzają się dusze wyższe. Kardynał Massaja wspomina o kilku takich zadziwiających przykładach.

rehabici i esseńczycy u żydów, asceci w końcu chrześcijańscy. Wyliczając ich tu razem, bynajmniej nie myślę uważać jednakowo, bo między ostatnimi a wszystkimi innymi ogromna zachodzi różnica, nim jednak o niej mówić zacznę, muszę pierwej słów parę o pewnym zarzucie umieścić. Jest sporo ludzi, do drugiej kategoryi należących (a pierwsza bodaj cała), którzy nie chcą wierzyć, by istnieli wyżsi a tak różni od nich usposobieniem, ich bracia. Jak to, powiadają, czyż można wyrzec się, można nie lubić tej swobody na świeżem powietrzu „które stworzył Pan Bóg" (jak mówi p. O-wa), nie kochać tych kwiatów i owoców, tych smacznych kąsków, tych miłych gawęd i rozrywek, uciech rodzinnych i słodyczy przyjaźni, że o innych mniej godziwych słodyczach nie wspomnim? I to wszystko zamienić na żywot samotny, gdzieś w mrocznych korytarzach i zakratowanych celach, albo jeszcze gorzej, w jakiejś szparze skalnej. Zamiast smacznych obiadów i win złocistych pić czystą wodę i morzyć się postem, zamiast rozmów, balów i odwiedzin, modlić się i modlić bez końca; to być nie może — ludzi dobrowolnie wybierających taki żywot niema; są tylko uwiedzeni prostaczkowie, zaślepieni fanatycy, wyzyskiwacze ludzkiej łatwowierności, albo też serca złamane, egzystencye zwichnięte, „zrozpaczeni asceci", jak mówi wielu nowych literatów. Gdyby kury

(niech mi do pierwszego porównania wolno będzie wrócić), grzebiąc na śmietniku, mogły rozmawiać i kommunikować sobie swe spostrzeżenia, z pewnością nie chciałyby wierzyć, że są gdzieś orły, które nie potrzebują z wrzaskiem z kołka na kołek przelatywać, które giną w bezdennych błękitach, nie odpoczywają co chwila i w śmieciach nie grzebią. Tymczasem prawdą jest, że są orły i że są ludzie do nich podobni, a nawet ta różnica upodobań i potrzeb, różnica bardzo wielka, spotyka się na każdym kroku i może dla tego nikt na nią uwagi nie zwraca. Kiedy mała dziewczynka otrzyma lalkę, a chłopczyk konika, kładąc się spać nawet, zabiorą swe skarby do łóżeczka i zasną, trzymając je w rączce, bo w domu tyle ludzi pożądliwie spoglądających, a kto tam zresztą wie, może nawet tato i mama gotowi rozmyślić się i, widząc jakie to śliczne, zabrać lalkę dla mamy, a konika dla taty. Rodzice jednak o tem nie myślą, bo ich potrzeby sięgają wyżej. Taki sam stosunek bywa wśród dorosłych i starych nawet ludzi, jedni drżą nad skarbami, na które inni spoglądają jak tato i mama na zabawki swych dzieci. A jakaż to rozmaitość tych upodobań! — niedarmo mówią: *de gustibus non disputandum.* Nigdy np. nie mogłem zrozumieć przyjemności kręcenia się przez noc całą, nieraz w ciasnem obuwiu i ubraniu, w dusznych ścianach salonu i ziewania

potem przez dobę całą z niesmakiem, kiedy bez porównania przyjemniej, odbywszy spacer po polu lub lesie, przespać się w nocy, a wstać na drugi dzień z wolną głową i umysłem. Tymczasem, takich ludzi jest bardzo dużo, którzy właśnie dziwią się, że ich upodobaniom dziwić się ktoś może. Kiedy kobiety zbiorą się koło małego dziecka, niema końca zachwytom; w wytrzeszczonych oczach, zaślinionej buzi, czerwonej okrągłej główce, dopatrują się one cudów piękności, mądrości i wdzięku. Tymczasem mężczyźni, ojca chyba wyjąwszy, są zwykle nieczuli na to zbiorowisko powabów wszelkich. Kobiety znowu nie rozumieją upodobania mężczyzn do trudnych, hałaśliwych, a często niebezpiecznych ćwiczeń, konnych wyścigów, polowań i wojskowych wypraw etc. Mógłbym przykłady mnożyć bez końca; ten lubi niebezpieczne wyprawy i podróże w dalekie kraje, tamten całe życie ślęczy nad książkami, ten bez lasu lub gór żyć niemoże, tamten zamknął się w laboratoryum chemicznem i ani dba o góry, kiedy ma retorty. Jeśli więc przyjmujemy i uznajemy istnienie upodobań i powołań tak do naszych gustów niepodobnych, dlaczego zaprzeczać istnieniu powołania do życia ascetycznego? Zresztą nic te zaprzeczenia nie zaszkodzą, bo takie powołania istnieją, a skoro są, więc widocznie być mogą, bo jak mówi filo-

zofja *ab esse, ad posse, valet consecutio* [1]. Ale wracam do ascetów; powiedziałem, że i przed chrześcijanizmem byli ludzie szukający dróg wyższych, jak powiada ś. Hieronim: *hoc enim et Crates fecit philosophus et multi allii divitias contempsere* [2]; wszyscy oni jednak szli drogami falszywemi i dla tego nie doszli do celu, do którego dążyli. Jak podróżny nie znający drogi i niemający sił dostatecznych, a chcący dostać się na najwyższe gór szczyty, zbłądzi na bezdrożu i straciwszy siły, musi wracać, zkąd wyszedł, albo nędznie ginie, tak ci wszyscy stoicy, derwisze, lamowie, bez światła prawdziwego i bez pomocy z góry, nietylko nie zdobyli doskonałości, ale często wpadali w szkaradne błędy i nadużycia. Tak było, pokąd nie weszło słońce chrystjanizmu. — Chrystus Pan oświecił drogę i wskazał cel wyraźny, do którego ona prowadzi. Nie poprzestał nawet na tem, nie dość jest bowiem widzieć i znać drogę, trzeba mieć jeszcze siły do chodzenia po niej, więc też Bóg otworzył skarby łask przez Zbawiciela wysłużonych i nadszedł czas przepowiedziany przez proroka: „wyleję na dom

---

[1]) Trzeba wnioskować, że coś być może, skoro jest.

[2]) To bowiem i Krates filozof uczynił i wielu innych pogardziło bogactwami.

Dawidów i na obywateli Jezuzalem, ducha łaski i modlitw" [1]).

Oświeceni prawdziwą wiara i wzmocnieni łaską Bożą liczni pielgrzymi do wieczności zaczęli wyprzedzać innych na drodze doskonałości — zostawali ascetami.

Wiara chrześcijańska uczy, że człowiek stworzony jest dla Boga: „wszystko dla siebie stworzył Bóg"; do Boga więc dążyć on powinien, a jeśli zdąży, stanie u celu swego i będzie na wieki uszczęśliwiony. Bóg jednak daje siebie tym tylko, którzy na to szczęście zasługują, to jest tym, którzy w tem życiu doczesnem zawsze zostają z Nim w zjednoczeniu. W jedności zaś z Bogiem zostają ci, którzy pełnią wolę Jego, a jest nią doskonałość, albo uświątobliwienie: „albowiem ta jest wola Boża, poświęcenie wasze" [2]); uświątobliwienie zaś to, albo doskonałość, jak zgodnie nauczają ojcowie i nauczyciele Kościoła, zależy na miłości Boga i bliźniego *per se quidem et essentialiter consistit perfectio christianae vitae in caritate; principaliter quidem secundum dilectionem Dei, secundario autem secundum dilectio-*

---

[1]) Zacharjasz XII, 10.

[2]) Thessal. XIV, 3.

nem proximi powiada ś. Tomasz [1]). Toż samo twierdzi ś. Paweł: „a nadto wszystko miejcie miłość, która jest związką doskonałości” [2]); a co najwięcej — sam Zbawiciel zapewnia, że „na tym dwojgu przykazaniu, wszystek zakon zawisł i prorocy”. Miłość ta jednak nie na samem tylko uczuciu polega; kto prawdziwie miłuje, miłość swoję okazuje w czynie: „jeśli mnie kto miłuje, będzie chował mowę moję”, powiada Chrystus Pan. Widzimy więc z tego, jak logicznie rozwija się przeznaczenie człowieka. Stworzony on jest dla szczęścia przez posiadanie wieczne Boga, którego dostąpi, jeśli w doczesności zawsze z Nim będzie zjednoczony przez pełnienie woli Jego, to jest przez uświątobliwianie, czyli doskonalenie siebie za pomocą miłości Boga i bliźniego, nietylko posiadanej w duszy, ale praktykowanej na zewnątrz przez wypełnianie przykazań Bożych. Skaramelli, znany mistrz życia duchownego, miłość Boga i bliźniego nazywa doskonałością istotną, okazywanie zaś jej w czynie przez wypełnianie cnót moralnych i rad ewangelicznych doskonałością instrumentalną — jak-

---

[1]) Uważana sama w sobie i swej istocie doskonałość żywota chrześcijańskiego zależy na miłości, przedewszystkiem na miłości Boga, a potem na miłości bliźniego (2. 2. quaest. 14, art. 3 in corp.).

[2]) Coloss. III, 14.

by narzędziem, za pomocą którego doskonałość owa dokonywa się i wypełnia. Każdy więc człowiek, chcący być zbawionym, obowiązany jest do pewnych czynów czy ćwiczeń, bez których zbawienie jest niemożebnem. Więc; 1) do unikania złego; 2) do robienia dobrze, czyli ćwiczenia się w cnotach; 3) do udawania się do źródeł życia i siły, tj. łaski, bez której człowiek do końca nadprzyrodzonego, a więc wyższego od siebie, dojść nigdy nie zdoła. Źródłem tem są ćwiczenia i praktyki religijne a przedewszystkiem Sakramenta święte.

W każdej sztuce, w każdem powołaniu i rzemiośle nawet, są tysiączne stopniowania i odcienie. Jedni z wielkim wysiłkiem i trudnością wykonywają powoli początkowe zadania i bardzo są szczęśliwi, gdy dojdą do mierności, inni pożądają doskonałości większej, a jeszcze inni marzą o najwyższym stopniu. Tak samo dzieje się w powołaniu chrześcijańskiem. Wszyscy obowiązani do pewnej doskonałości, której minimum jest wolność od grzechu śmiertelnego ale wielu jest takich, którzy czegoś więcej pożądają i do czegoś wyższego dążą.

Otóż, jak w każdej sztuce i powołaniu doskonałość nabywa się przez ćwiczenie, tem większe, im do wyższej zmierza się mety, tak i w doskonałości chrześcijańskiej trzeba większych i częstszych ćwiczeń każdemu, kto chce zostać doskonałym. – Od tych to ćwiczeń, lu-

dzie im oddani nazywają się ascetami, bo po grecku *askesis* oznacza praktykę i ćwiczenie. „Za pomocą tych wysiłków asceci starają się: 1) osłabić w sobie potęgę natury skażonej przez grzech, a następnie ułatwić panowanie ducha, aby mógł swobodę zachować wobec natury, przez pokarm skromny, przez posty, krótki i przerywany sen, przez odjęcie sobie zwykłych wygód życia, jakiemi są: wygodne mieszkania, piękne ubiory, rozkosze rodzinne, lub w wyższym jeszcze stopniu, przez umartwienie ciała za pomocą zadawanych mu boleści; 2) ćwiczą się w pokorze, umarzają miłość własną, pychę i rodzące się z niej namiętności, zazdrość, gniew, kłamstwo, potwarz, przyjmując miejsca najniższe, ulegając nietylko starszym, ale i równym sobie, znosząc cierpliwie krzywdy i obelgi. Z tą pracą negatywną łączy się część pozytywna, polegająca na przyswajaniu sobie i wykonywaniu cnót, będących stopniami do doskonałości. Ta druga praca dokonywa się przez czytanie Pisma ś., książek duchownych i budujących, przez rozmyślanie i kontemplacyę, przez ciągłą modlitwę i częste rachunki sumienia, przez oddawanie czci świętym, a następnie przez gorliwość, z jaką chrześcijanin powinien służyć swym braciom, im się poświęcić, popierać wszędzie dobro, bronić sprawiedliwości i niewinności itd. Celem tych wszystkich praktyk jest ukształcić wolę tak, by ona nietylko doskonale zgadzała

się z wolą Bożą, objawiającą się w porządku tego świata i w jego prawie, ale nadto, aby to zjednoczenie stało się człowiekowi niejako naturalnem, istotnem i ciągłem" [1]).

W końcu jeśli dla każdego chrześcijanina koniecznem jest uczestniczenie w życiu religijnem Kościoła, przystępowanie do Sakramentów, używanie Sakramentów, tem bardziej częściej i staranniej oddają się tym ćwiczeniom asceci; tak samo więcej od zwykłych ludzi używa ćwiczeń i ruchu, kto chce być atletą, i częściej się myje, kto bardziej od innych ochędóstwo miłuje. Do powyższego określenia ascetów dodam tu jeszcze, że jakkolwiek każdy chrześcijanin powinien być ascetą w szerszem tego wyrazu znaczeniu, to jednak zwykle oznaczają tem mianem tylko ludzi dążących do wyższej doskonałości za pomocą wskazanych wyżej środków. – Oprócz indywiduów są jeszcze i stany, które ascetycznemi nazwać można, bo założeniem ich jest dążenie do doskonałości, każdy więc, kto do nich wstępuje, przez to samo do ascetów się zalicza; takim dawniej był stan pustelniczy, takim jest teraz zakonny. — Mówiąc więc dalej o ascetach, będę miał na myśli nietylko indywidua ascetyczne, ale wszystkich także do ascetycznego stanu należących [2]).

---

[1]) Encyklop. kościel. I, 442.

[2]) Właściwie powinienbym rozróżniać ascetów t. j. *wojujących* od mistyków t. j. *doskonałych*, świętych, połą-

Daliśmy wyżej określenie ascetów, że tak powiem, naukowe; ludzie inaczej trochę wyobrażają ich sobie, a to dla tego, że zwykle zwracają uwagę na objawy nadzwyczajne, a w tych chwytają i pojmują tylko stronę zewnętrzną; — istota rzeczy dla tłumu, dla *vulgus profanum*, pozostaje niezrozumiałą i zakrytą. Patrząc i czytając o ascetach, ludzie zauważyli tylko dwie strony ich życia—surowe, pokutne praktyki i ćwiczenia religijne—wewnętrznego życia nie pojmują wcale, nie domyślają się go nawet. Pomieściwszy ascetów w pustyniach lub wilgotnych celach, dodawszy im nieodstępną dyscyplinę, książkę do nabożeństwa i dzbanek wody, prowadząc ich co dnia do Sakramentów świętych a kilka razy na dzień do kościoła na pacierze, człowiek ze świata nie troszczy się już o nic więcej i najdziwniejsze arabeski wyszywa fantazyą na tem tle pokutnem i zamroczonem. Dla tego chciałbym zwrócić uwagę tego rodzaju ludzi (jeśli kto z nich czytać mnie będzie) na niektóre wewnętrzne a charakterystyczne cechy ascetyzmu.

---

czonych z Bogiem węzłami doskonałej miłości; ponieważ jednak najdoskonalszy nawet mistyk nie może nigdy przestać walczyć t. j. być ascetą i ponieważ ogół nasz nic o tej różnicy nie wie, więc mówiąc o ascetach, stale będę miał na myśli wszystkie stany pobożnego żywota bez różnicy doskonałości.

Więc najpierw zaznaczam z tych cech najprzedniejszą, tj. że asceci są to ludzie, żyjący życiem nadprzyrodzonem. Cóż jednak przez życie tego rodzaju rozumieć należy? Ascetka p. Orzeszkowej także żyje życiem nadprzyrodzonem, ale jest ono takiem w mniemaniu tylko autorki, w rzeczywistości zaś jest zupełnie naturalnem, a przyznać trzeba, nadzwyczaj nędznem i biednem. Siostra Mechtylda (ascetka), zdradzona przez kochanka i przyjaciołkę, uciekła do klasztoru (stara piosenka). Przez lat 12 używała tam spokoju i życia *nadprzyrodzonego*, tj. słodyczy duchowych i wizyj. Były one skutkiem oderwania się od miejsc i ludzi, wśród których doznała zawodu, skutkiem otoczenia, rozegzaltowanej wyobraźni i surowych ćwiczeń zakonnych, osłabiających ciało, a podniecających nerwy. Po 12 latach słodycze ustają— „można to było, powiada p. O., wytłómaczyć w sposób naturalny'', ale siostra Mechtylda o tem nie wiedziała. Walcząc z sobą, biedna ascetka skatowała raz siebie okrutnie dyscypliną, na rany włożyła włosiennicę, kilka nocy nie spała, kilka dni nie jadła, mdlała, chodziła, opierając się ręką o ścianę (jak gdyby wolno było ascetom tak dowolnie z sobą postępować —są przecież spowiednicy i przełożeni) i życie nadprzyrodzone wróciło „zdawało się jej, że już stała się czystym, wolnym duchem, który wnet, wnet utraci do reszty poczucie ziemi

i wzleci w sferę nigdy nie objawiającą się jej dokładnie, którą przecież w przelocie błyskawicy widywała niekiedy niezmiernie wysoko, w postaci jasności świetnej, łagodnej, niewyraźną melodyą szmerów i śpiewów przepojonej. Posiadła teraz w najwyższym stopniu tę fantasmagoryę widzeń, która napełnia zamknięte oczy ludzi z choremi nerwami i podnieconą wyobraźnią. Dosyć jej było zamknąć powieki, aby na tle ciemnem, albo ciemno-purpurowem zobaczyć blade oblicze Chrystusa, niewysłowienie piękne głowy i profile świętych, czasem parę oczu miłośnie lub litościwie w nią wpatrzone, albo barwne i złociste linie.—W snach mistyczne widzenia jej wyraźniejszemi jeszcze stawały się, niż na jawie. Była to czasem spływająca z nieprzejrzanych wysokości ku ziemi szeroka brama tęczy... Był to czasem płaszcz ogromny dziwnie miękki, który ją całą ogarniał etc. etc." [1]).

Trzeba przyznać, że p. O-wa niezbyt zachęcająco wyimaginowała życie nadprzyrodzone. Poorać sobie ciało dyscypliną, zranić włosiennicą, morzyć się głodem i niespaniem dla tego, żeby przymrużywszy oczy, widzieć na tle purpurowem profile świętych i parę pięknych oczu, a we śnie tęczę i płaszcz ciepły,

[1]) *Ateneum* listopad 236.

miękki a wielki, doprawdy nie opłaci się. To też kiedym czytał te zabawne opisy, przypomniały mi się marzenia chłopięce.. kiedy będę księciem, będę miał sześć koni i będę sam powoził i będę miał bicz długi dobrze wysmołowany, będę codzień jadał czerwone karmelki i do mego papierowego kapelusza każę przyszyć czerwone pióra kogucie... Te rozkosze książęce bardzo podobne do słodyczy nadprzyrodzonych, wymarzonych przez p. Orzeszkowę.

Życie nadprzyrodzone nie zależy ani na tęczy, ani na ciepłym płaszczu, ani nawet na pięknych profilach i oczach litośnych, lecz zupełnie na czem innem. Chrystus Pan powiedział: „A ten jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie samego Boga prawdziwego i któregoś posłał Jezusa Chrystusa" [1]). Kto więc chce żyć życiem wiecznem, powinien przedewszystkiem wierzyć w Boga, uznawać Go za cel swój ostateczny, do Niego dążyć, pełniąc wolę Jego, tj. zachowując przykazania Boskie, a przez to samo zostając z Nim w zjednoczeniu miłości i łaski poświęcającej. To uznawanie Boga za swój koniec ostateczny, dążenie do Niego przez dobre uczynki, a właściwie zostawanie w łasce i miłości Bożej jest życiem nadprzyrodzonem w rozumieniu chrześcijańskiem. „Jak życie na-

---

[1]) Joan. XVII, 3.

turalne daje dusza ożywiająca ciało, powiada Schram, tak życie duchowe i nadprzyrodzone w człowieku sprawuje łaska poświęcająca, ożywiająca duszę. Łaska zaś ta jest nadprzyrodzonym darem Bożym w duszy stale przebywającym (ad instar habitus - na podobieństwo przyzwyczajenia), który człowieka formalnie czyni świętym, Bogu miłym, przysposobionym synem Bożym, dziedzicem żywota wiecznego i który jest źródłem cnót i spraw nadprzyrodzonych, widzenia i miłości Boga, jako sprawcy nadprzyrodzonego" [1]. Ma się rozumieć, że przy tem, i wskutek tego, człowiek doznaje nieraz wielkich słodyczy i rozkoszy duchownych, z których najmniejsza, jak powiada ś. Franciszek Salezy „więcej ze wszech miar warta, aniżeli najwyborniejsze uciechy świata. Mleko duchowne, to jest łaska Boskiego Oblubieńca, lepszem jest dla duszy, aniżeli najdroższe wino rozkoszy ziemskich", bo i w porządku przyrodzonym człowiek czuje się dobrze i słodko i miło, kiedy jest w stanie normalnym. W jednej z takich chwil, zawołał niemiecki poeta „*Das Leben ist doch schön*". Jakże daleko piękniejszem jest życie w Bogu, które prawdziwie jest naszym normalnym stanem. Ludzie światowi wyobrażają sobie tymczasem, że wła-

---

[1]) *Institutiones theologiae mysticae* 1—15.

śnie owe słodycze, wizye i pociechy stanowią życie nadprzyrodzone i warunek *sine quo non* ascetyzmu. Prawda, że wielu pobożnych, źle pojmujących istotę pobożności, ceni ją podług ilości słodyczy, doznanej w modlitwie i całe długie godziny spędza po kościołach, czatując na chwilkę rozrzewnienia, ależ tego rodzaju pobożni tak się mają do prawdziwych ascetów, jak karykatury Lenza do rysunków Michała Anioła—są też karykaturami pobożności i życia nadprzyrodzonego (niestety, nic nie jest wolne na ziemi od karykatury)

Życie nadprzyrodzone zamiera w człowieku nie wtedy, gdy oschłość go trapi i dręczą pokusy lub gdy nerwy rozstrojone, ale gdy ustanie miłość, tj. łaska poświęcająca, czyli mówiąc wyraźniej, gdy popełni grzech śmiertelny; powraca zaś po dobrze odbytej spowiedzi, albo po skrusze doskonałej. Pociechy duchowe, słodycze i rozrzewnienia, wizye, zachwyty i cuda nawet, jeśli od Boga pochodzą, cennemi są bardzo darami i dobrodziejstwami Jego, ale w życiu duchownem, poczynającemu nawet znana jest zasada i prawo, że nie dla nich trzeba służyć Bogu i nie one stanowią o wartości czyjegoś ascetyzmu czy pobożności. Rzecz to, powtarzam, tak powszechnie znana, że nawet dowodzić tego nie widzę racyi, przytoczę tylko jeden ustęp ze ś. Franciszka Salezego. „Naprzód powiadam więc, że pobożność nie zależy na

słodkości, błogości, pociechach i rozczuleniach serca, które pobudzają do łez i westchnień i napełniają nas pewnem zadowoleniem miłem i ponętnem w jakichbądź ćwiczeniach duchownych. Nie, miła Filoteo, pobożność nie zależy na tem; albowiem wiele jest dusz doznających takich rozczuleń i pociech, a jednak nie przestają być bardzo niedoskonałemi, a tem samem nie mają wcale prawdziwej miłości Bożej, a tem mniej prawdziwej pobożności" i w tym sensie cały rozdział [1]).

Asceci więc są przedstawicielami i apostołami nadprzyrodzonego życia i porządku na ziemi. W gościnie u Maryi i Marty Chrystus Pan powiedział do ostatniej: - „troszczysz się i frasujesz około wiela, a jedno jest koniecznem". Tem jednem, jak z całego nauczania Zbawicielowego wiadomo, jest nic innego tylko, żeby ludzkość znała Ojca, i którego On posłał Jezusa Chrystusa, żeby go znała i dążyła do Niego; od tego zależy nietylko jej przyszłe szczęście w niebie, ale nawet i doczesny ład, porządek i pomyślność: „szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydano" [2]).

Asceci są ludźmi, którzy to lepiej od innych zrozumieli i dokładniej a ściślej wykony-

---

[1]) Filotea cz. IX, roz. XIII.
[2]) Mat. VI, 33.

wają, dla tego też mają niesłychanie wielkie znaczenie w historyi, którego ani się domyślają maluczcy ludzie, co odurzeni frazesami o własnej wielkości brodzą w błocie swych niziutkich upodobań, prawiąc o postępie. Asceci, utrzymując zasadę, że ludzkość do Boga dążyć powinna, że stałego tu pomieszkania nie mamy, że wszystko ziemskie powinno ustępować miejsce temu, co wieczne, są pochodniami na drodze ludzkości, ogniami rozpalonemi po górach i wskazującemi ścieżki, po których ona kroczyć powinna.

Dla tego też Kościół tak wysoce zawsze ceni te kwiaty chrześcijanizmu i to takie przeważnie, które światu są najmniej zrozumiałe, tj. zakony wyłącznie ascetyczne i kontemplacyjne. Są one wcieleniem chrześcijańskiej zasady, że człowiek dla Boga stworzony, są nieustanną nauką dla innych, niezdolnych chodzić po tych szczytach, że tędy jednak droga, że ku tym szczytom, a nie ku bagnom w nizinach dążyć należy; dla tej samej też racyi są one w najwyższym stopniu wstrętne duchowi świata tego — poganizmowi. Gdzie poganizm górę weźmie, niechybnie najpierwej na ascetów napadnie. Czy to bezwyznaniowcy francuscy, czy masoni włoscy, czy niemieckie kulturtregery prędzej przebaczą zgromadzeniom czynnym, niż kontemplacyjnym, chociaż ostatecznie wszystkie

w swej nienawiści ogarną. Dla wielu jest to po prostu nie zrozumiałem — a jednak rzecz to naturalna bardzo. Niech szkoły religijne we Francyi będą lepiej prowadzone niż państwowe, niech o połowę mniej, albo wcale nic Rzeczypospolitej francuskiej nie kosztują; niech chorzy a nawet bezwyznaniowi lekarze najenergiczniej domagają się powrotu siostr zakonnych do szpitali, niech ludność wiejska francuska siłą broni dobrodziejów swoich, trapistów i kartuzów — nic to nie znaczy wobec nienawiści poganizmu ku chrześcijańskiej zasadzie, że ludzie dla Boga stworzeni i ku Niemu dążyć powinni. Przybytki ascetyzmu są, jak powiedziałem, ogniami, wskazującemi drogę ku Niemu, więc je zagasić potrzeba, bo poganizmu istota na tem właśnie zależy, że on ziemię sobie obrał za cel ostateczny i nie chce, by mu ciągle przypominano „*memento mori*—nie tędy droga wasza—stałego tu pomieszkania nie mamy".

Drugą charakterystyczną cechą ascetów jest nieustanna walka duchowa i praca. Są to bojownicy, którzy wziąwszy za dewizę arcyprawdziwe słowa Hioba: „bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi", odważnie przepasali biodra swoje i poszli z tem życiem w zapasy. Wypływa to koniecznie z samej natury ascetyzmu. Zadaniem jego dążenie do doskonałości: „bądźcie wy tedy doskonali, jako i Ojciec

wasz niebieski doskonałym jest" [1]) więc tej świętości i tego doskonalenia końca nigdy niema na ziemi—jest to postęp bez końca. Do śmierci zatem asceta wstępuje coraz wyżej za pomocą ćwiczeń, o których mówiliśmy, pracuje ciągle i pracuje w pocie czoła z utrudzeniem wielkiem. O tem właśnie świat najmniejszego niema wyobrażenia, owszem ma pojęcia najfałszywsze. Więc wyobraża sobie ascetów, jako goniących wyłącznie za wizyami i słodyczami, za jakiemś kwietyzmem duchowym, a życie ich nazywa po prostu próżniactwem; tymczasem rzecz ma się wcale odwrotnie, a dowodów tego nie trzeba daleko szukać, bo znajdziemy je wśród siebie.

Społeczeństwo nasze nie odznacza się pracowitością. Jużci jeśli trzeba, pracujemy, ale możemy sobie oddać sprawiedliwość, że korzystamy z każdej zręczności, by wrodzonemu lenistwu pofolgować. Pomimo tego możemy jeszcze spotkać wśród nas pracowitych rolników, rzemieślników, urzędników, prawników—jeden tylko rodzaj pracy najmniej liczy adeptów, tj. praca umysłowa. Każdy z nas mnóstwo mógłby wyliczyć znajomych, którzy woleliby cały dzień tłuc się na wózku lub koniu, pracować rękami i nogami, niż godzinę pracować umy-

---

[1]) Mat. V, 48.

słowo i zmusić swą głowę do kombinacyj rozumowych (nie chcę tu mówić o wysiłkach umysłu przy wincie i wiście—do tej pracy jużeśmy się chwalebnie nałamali). Dla tego to umysłowego lenistwa i niedołęstwa, modlitwa—która, jak wiadomo, jest podniesieniem serca i myśli do Boga – dłuższa nad kwadrans, a w niedzielę i święto, przy najwyższym wysiłku, nad pół godziny, jest dla ogromnej większości naszej „intelligencyi" rzeczą wprost niemożliwą, rozmyślanie zaś to już takie straszne *pensum*, że słów braknie na jego określenie. Jakto, codzień godzinę, a choćby pół tylko, myśleć o Bogu i grzechu, niebie i piekle, zgłębiać prawdy wiary, stosować je do życia -- nie, to praca nad siły ludzkie. Otóż asceci przez kilka godzin co dnia modlą się i rozmyślają—pracują myślą i wolą, tj. oddają się zajęciu dla wszystkich, a dla nas szczególnie, najcięższemu i najtrudniejszemu. A ciągła praca nad sobą, ciągła baczność na każdą myśl swoję i zachcenie, na każdy uczynek i słowo, ciągłe staranie, by nietylko źle nie robić, by nietylko robić dobrze, ale coraz lepiej i najlepiej! Jest to praca najszlachetniejsza ze wszystkich zajęć ludzkich, ale też i najtrudniejsza—wielu o tem wątpi—niech spróbują przez miesiąc, przez tydzień tylko, a przekonają się, że prawdę mówię. Wspomniałem tylko o modlitwie i pracy duchowej nad sobą, a cóż powiedzieć o ogromie pracy

fizycznej, potrzebnej w szlachetnym zawodzie ascety. Te długie nabożeństwa i nocne wstawania, i sen szczupły, i życie twarde, a oprócz tego najczęściej w kościele i szkole, pielęgnowanie chorych, praca dla ubogich i około własnego domu—wszystko to stanowi, że życie prawdziwego ascety—to jedna ustawiczna praca.

Jeśli jedni o pracy ascetów nic wiedzieć nie chcą i mają ich za próżniaków, inni znowu ją przesadzają: życie ich przedstawiają jako ciągłą katuszę, jako coś po nad siły ludzkie, coś przeciwnego naturze—jako rodzaj galer, lub ciężkich robót skazańców. Dla większego jeszcze obrzydzenia tego rodzaju życia, lubią stawiać obok niego życie na świecie, jako używanie swobody, szczęścia, pogody, dobrobytu. P. Orzeszkowa tak właśnie postępuje. Z jednej strony w mrokach korytarzy, z powrozami na szyjach i gromnicami w rękach, przy „basowym" szmerze psalmów pokutnych [1]) ciągną zakonnice do refektarza na obiad, z drugiej w sali pełnej światła, tłoczą się ciekawie do drzwi wesołe i puste pensyonarki—oczywiście szczęśliwe, piękne, różowe, śmiejące się Z jednej strony w zamkniętej ubogiej celi, w grubym habicie, siedzi wynędzniała zakonnica, któ-

[1]) Zauważę mimochodem, że tych nut basowych w żeńskim klasztorze być nie mogło, bo kobiety basowego głosu nie mają, tylko contralto.

ra za chwilę ma siebie skatować dyscypliną aż do zemdlenia, a tam na świecie biega młode dziewczę po polach i gajach, ubrane w lotne muśliny, „a nad nią leci motylek—a przed nią bieży baranek". Pełno szczęścia, swobody, powietrza, kwiatów i woni. Idylla; zupełna idylla. Tylko, czy to wszystko prawda? Jużci nieprawda—bo jedno tendencyjnie namalowane za ciemno, a drugie za jasno. W żeńskim klasztorze byłem jednym tylko, po przeniesieniu zakonnic, więc co pierwej i jak tam było, nie umiem powiedzieć: nic już z dawnych rzeczy nie zastałem, pozostał tylko widok wspaniały, szeroki horyzont bezbrzeżny, pozostało położenie przepiękne, mieszkanie pełne słońca i powietrza. Był to niegdyś klasztor kontemplacyjny, ale w nim nie znalazłem tych mroków, które maluje p. O-wa. W męskich klasztorach bywałem nieraz i mogę zapewnić, że te wszystkie ciemności i okropności panują chyba w wyobraźni pisarzy i ich czytelników. Zapewne, jak w każdym większym gmachu, nie brakuje tam kątów ciemnych, ale gdzież ich niema? Natomiast obok ciemnych korytarzy widziałem pełno światłych sal i celi, pełno kwiatów, widziałem ogrody ogromne o starych rozłożystych drzewach, pełne różnych dziwów, posągów i grot i źródeł, a z tych ogrodów najpiękniejsze widoki, a nad ogrodami spokój i cisza. Chwile, zbyt krótkie niestety, spędzone w tych

ustroniach, do najmilszych w mem życiu należą. A też korytarze wysokie, te milczące kościoły w półcieniu, te świętych postacie w oknach i na ścianach i w cieniu drzew i na trawnikach zielonych, te grobowce stare, zapleśniałe, dawne portrety i stare pergaminy —wszak to najszczytniejsza poezyja, wszak to jeden z najmilszych uroków życia dla człowieka umiejącego czuć i myśleć! Szczęśliwi ci, co wśród tych skarbów żyć mogą. Ile je trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto je stracił, lub zawsze pożądał, a nigdy posiąść nie mógł.

Z drugiej strony jak wygląda idylla na świecie? Pamiętam raz, gdym był małym chłopcem, słońce świeciło wspaniale, zefiry igrały z liśćmi, woń kwiatów i szczebiot ptasząt dolatywał przez okno otwarte, w poblizkim gaju bawiło się młodsze rodzeństwo, a jam siedział nad ogromną mappą Węgier, szukając miast i rzek, zgoła mnie nie obchodzących, i roniłem łzy gorzkie na Dunaj i na Cissę, na Balaton i góry siedmiogrodzkie, a były one tak gorzkie, że je dotąd pamiętam, a było tak bardzo często, bo trzeba było ślęczyć i nad wokabułami niemieckiemi i nad regułą trzech i nad mnóstwem innych rzeczy, nie pozwalających dziecku używać tych pięknych rzeczy, „które stworzył Pan Bóg"—i tak jest ze wszystkiemi dziećmi. A potem trzeba było siedzieć w klasie w dusznem powietrzu, znosząc kurcze głodu,

a wróciwszy do domu łamać głowę nad łaciną, logarytmami, geometryą, trygonometryą—i znowu dorywczo tylko można było użyć tych rzeczy „które stworzył Pan Bóg". A cóż mówić o dalszych czasach? Gdzie ta idylla wśród pracy na kawałek chleba w zaduchu warsztatowej izby, w ciężkim trudzie przy pługu, wśród stęchłych stosów aktów urzędowych? Ta rzekoma swoboda i szczęście życia światowego, to tylko złudne zjawisko optyczne, wywoływane sztucznie w celu zohydzenia życia zakonnego. Prawdą zaś jest, że na świecie chwile swobodne i szczęśliwe są rzadkie i bardzo rzadkie, a praca i troski, smutek i zgryzoty, zawody, klęski, nudy, niepewność, przesyt i głód, są chlebem zwyczajnym, bo prawem życia jest, że „bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi", a tego prawa nie zmienią, ani p. Orzeszkowa, ani p. Konopnicka. To darmo. Jeśli więc nie roztkliwiamy się zbytecznie nad takim porządkiem świata [1]) i uważamy za rzecz naturalną, że człowiek pracuje na kawałek chleba, często na przyjemność niewartą jednej kropli potu, a w każdym razie na rzeczy przemijające, to dla czegoż ma nas przerażać praca ascetów i ludzi

[1]) Wprawdzie p. Konopnicka gdzieś obiecała, że inaczejby to urządziła „gdyby była Bogiem", ale że nie będzie, więc stary porządek świata już zostanie do końca.

pobożnych na nagrodę nieskończenie większą, „którą stworzył Pan Bóg"?

Z tej ogólnej cechy prawdziwego ascetycznego żywota, o jakiej mówiliśmy wyżej, wypływa znowu inna. Ludzi, którzy uciekają przed wszelkim wysiłkiem, boją się każdego niebezpieczeństwa, uginają się pod lada cierpieniem, nazywamy słabymi, lękliwymi, powszednimi— często nawet nikczemnymi.

Przeciwnie praca, walka, męstwo mają w sobie coś szlachetnego i uszlachetniającego, coś wyższego, przed czem schylają się nasze czoła, ku czemu podnoszą się wszystkie serca. Asceci są to ludzie oddani walce i pracy, i to im nadaje ogólny charakter wyższości i szlachetności. Można to powiedzieć nawet o pogańskich ascetach. Ludzie, którzy mieli odwagę porzucić wszystko, za czem gonili i przepadali ich współobywatele, którzy się wznieśli nad błahostki i drobiazgi życia, z pewnością wyższymi byli i lepszymi od innych. Nie była to jednak zupełna doskonałość. Pogańscy asceci nie znali całej prawdy, więc też asceza ich nie na wiele im się przydała. Najczęściej stanowiły ją tylko ćwiczenia zewnętrzne; pracę wewnętrzną, doskonalenie duszy zaniedbywano—bo też o tej doskonałości miano niedokładne pojęcie, a często nawet nie miano żadnego. Chrześcijanizm dopiero ukazał drogę prawdziwą i cel dla ascetów rzeczywisty, chrześcijańscy też tyl-

ko szermierze dochodzą do szlachetności zdumiewającej i szczytności duszy zawrotnej, jeśli tak mówić można.

P. Orzeszkowa, mówiąc o piękności świata naszego, woła: „Stwórco, jak cudny jest świat Twój". Najzupełniej zachwyt jej podzielam. Cudny jest świat ten i jeśli czego żałować trzeba, to tego chyba, że tak mało ludzi to odczuwa, że prawie cała ludzkość woli ścisk, gwar i odory izby karczemnej, niż cichy szmer lasu i zapach pola, „któremu pobłogosławił Pan", zadymiony pokój i stoły z suknem zielonem, przenosi nad kobierzec traw i kwiatów, długi szereg lamp ulicznych nad gwiazdy niebieskie, wygodne chodniki i kanały miejskie nad żwir brzegów morskich i grzmot fal oceanu. Tak, cudny jest świat ten, ale jest inny, jeszcze piękniejszy, którego szukamy, do którego wzdychamy i tęsknimy. Co to za zdziwienie i radość, kiedy znajdziemy człowieka prawego, który nam zgubę zwróci, w rachunku nie oszuka, słowa danego dotrzyma! Z jakim szacunkiem ściskamy rękę człowieka, który się nigdy kłamstwem nie zmazał, śmiało podłości czoło stawił; a jeśli kto nam pomógł ginącym, współczucie okazał spotwarzonym, przebaczył winnym, w opuszczeniu przygarnął, to powstaje w nas cześć ku niemu i wdzięczność, więcej powiem, rodzi się miłość i uwielbienie—bo jeśli piękny jest świat traw i krzewów, wody, po-

wietrza, motyli i ptasząt, to bez porównania piękniejszy jest świat dusz ludzkich, mężnych, szlachetnych, prostych i pokornych, przebaczających i kochających. Asceci chrześcijańscy do tego właśnie dążą. Chcą oni zostawać w coraz ściślejszej jedności z Bogiem swoim, a że Jemu nic zmazanego podobać się nie możę, więc z całych sił starają się o zmycie plam wszelkich, a nabycie szat jasnych i białych. Czy zawsze i wszyscy do tego dochodzą, czy każdy kto zostaje ascetą już należy do sfery dusz takich czystych i wyższych? Niestety, nie—od czegoż słabość ludzka, głupota i niedołęstwo? Przyznać jednak trzeba, że we wszystkich szczerze po tej drodze idących jest jeden przymiot niezmiernie cenny - dobra wola. To też pewny jestem, że kto poznał jednego z takich ludzi, choć z daleka przypominających łagodność ś. Franciszka Salezego, prostotę Franciszka z Asyżu, miłość nieszczęśliwych Wincentego z Pauli lub Piotra Clavera, kto doświadczył miłosiernej opieki szarytki, poznał choć jedno serce bez fałszu i żółci, których tyle za kratami klasztorów, pewny jestem, powiadam, że z zachwytem zawołał: Stwórco, jak cudny jest świat dusz szukających i miłujących Ciebie!

Dwie sa aureole szczególniejszym urokiem opromieniające człowieka: cnota i mądrość. Ponieważ asceci poświęcają się wyłącznie naby·

ciu cnoty, więc nic dziwnego, że dochodzą w niej często do heroizmu; o czem jednak ludzie światowi nie wiedzą, to że cnotliwi są także mądrymi, i że ascetów otacza nietylko urok świętości, ale także blask wielkiego rozumu i przedziwnej logiki. Dziwnem to wyda się tym wszystkim, w czyich oczach asceta i głupiec są synonimami, ale przeciwko prawdzie nic poradzić nie można, a prawdą jest, że jeśli kto jest głupi, to z pewnością nie asceta. Kogo bowiem nazywamy rozumnym? Odpowiem krótko—tego, kto wie wszystko, co dla osiągnięcia celu swego wiedzieć powinien, a jeśli jeszcze tę wiedzę w czyn wprowadzi, to go nazywamy mądrym. Tak mądrość, *sophia*, pojmowali jeszcze starożytni. Nazywamy więc rozumnym rzemieślnikiem takiego, który rzemiosło swe zna i pojmuje, rozumnym artystą tego, kto zrozumiał i posiadł tajniki swej sztuki, rozumnym gospodarzem, kto umie wszystko, co do prawidłowego prowadzenia gospodarstwa jest potrzebne. Człowiekiem więc rozumnym będzie taki, który zna cel swój i drogi do niego prowadzące. Do tych krótkich i prostych na pozór rzeczy sprowadza się cała mądrość ludzka, jednak do wywalczenia i wyjaśnienia ich dążyły usiłowania największych mędrców świata. I nic dziwnego.

Co pomoże człowiekowi, powiada Zbawiciel, jeśliby świat cały zyskał, a na duszy swej

szkodę poniósł? Wszystko na nic, jeśli się człowiek ze swym celem rozminie, bo straci wtenczas szczęście, a istnienie bez szczęścia to tylko ciągła śmierć. Rozumnym i mądrym, po ziemsku, nazywamy człowieka, który wie, na czem zależy szczęście doczesne i umie do niego dążyć. Kto pracuje, pamięta o jutrze, dobrze wychowuje dzieci, nie marnotrawi zdrowia i czasu, mówimy o nim, że rozumnie i mądrze postępuje, bo robi, co potrzeba dla otrzymania celu swego na ziemi. Ale cel ten, jakkolwiek bliższy, nie jest ostatecznym, i prawdziwa mądrość zależy właśnie na znajomości i dojściu do tego dalszego, ostatecznego końca. Każde dziecko chrzecijańskie jest pod tym względem rozumniejszem od największego mędrca pogańskiego, asceci zaś chrześcijańscy są prawdziwymi mędrcami, bo nietylko znają, ale idą do celu tego. Prawda, że pod tym względem dwie są sprzeczne opinie. Jeśli jest życie przyszłe i jeśli się na nie pracą doczesnego żywota zasługuje, asceci bezsprzecznie są mędrcami, przeciwnie, głupcami są, jeśli się wyrzekają używania doczesnego dla dóbr nieistniejących. Rozumieją to oni sami doskonale i jeden z największych ascetów współczesnych, ks. Vianney, mawiał żartobliwie o samym sobie: „znam kogoś, ktoby się bardzo złapał, gdyby nieba nie było". Niedowiarkowie twierdzą, że życia przyszłego nie ma, ale tego wcale nie dowiedli, a coraz

nowe, a inne z ich strony dowody dowodzą tylko, jak dawniejsze błahymi były, a ciągły ich niepokój i zgrzytanie zębami na przypomnienie przyszłego życia przekonywa, że w duszy swej słyszą głos natury. mówiący im ustawicznie: „nie tu koniec wszystkiego". Zresztą nie wdając się w długie rozprawy, powiem, że jest dla każdego dotykalny dowód istnienia życia przyszłego. Człowiek stworzony dla szczęścia — cała jego natura gwałtownie szczęścia potrzebuje Na ziemi go nie znajduje — więc musi ono być za ziemią Żeby temu zaprzeczyć, trzeba zaprzeczyć naturze rzeczy. Jakkolwiek bądź zresztą jest z niedowiarkami, my chrześcijanie nie możemy nie przyznać, że asceci są prawdziwymi mędrcami, bo wprost i bez wytchnienia, bez marnotrawienia sił i czasu dążą do tego, co przedewszystkiem człowiekowi potrzebne, do jego celu i szczęścia. My chrześcijanie nie wątpimy, że przyjdzie dzień, kiedy ta ich mądrość przed całym światem zajaśnieje, kiedy ją uznają najzagorzalsi niedowiarkowie — będzie to w dniu sądu powszechnego: „Tedy staną sprawiedliwi z wielką stałością przeciwko tym, którzy je cisnęli i którzy prace ich odjęli. Ujrzawszy będą zatrwożeni bojaźnią straszliwą i zdumiewać się będą w prędkości niespodziewanego zbawienia, mówiąc sami w sobie, pokutę czyniąc i dla ucisku ducha wzdychając: cić to są, któreśmy niekiedy mieli za pośmiech

i za przysłowie urągania. My głupi, mieliśmy żywot ich za szaleństwo i za sromotne ich dokończenie. Oto jako policzeni są między syny Boże i między świętymi dział ich jest" [1]). Nim ta straszna i pożądana zarazem chwila nadejdzie, nawet przeciwnicy nasi, odmawiający ascetom mądrości, muszą się zgodzić na przyznanie im logiczności. Tak, ludzie pobożni, to pierwszorzędni logicy. Mając przesłanki i uznawszy je za prawdziwe, wyciągają z nich wnioski bezwzględnie. Oby takich filozofów miłośników mądrości było jak najwięcej!

Czuję, że jeśli kto z zastanowieniem czytał poprzednie uwagi, to musiał pomyśleć - jeśli prawdą jest, że asceci są ludźmi cnotliwymi i rozumnymi, to muszą też być i szczęśliwymi, bo komuż należy się szczęście, jeśli nie rozumnym i cnotliwym? Rzeczywiście cechą ogólną prawdziwie pobożnych i ascetów jest to, że są najszczęśliwszymi z ludzi; co im zresztą przepowiedział Zbawiciel: „szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano" [2]). Jakto, zawoła który z naszych licznych Coquelet'ów [3]), asceza i szczęście? Toć to ogień i wo-

---

[1]) Mądr. V, 1—5.

[2]) Mat. VI. 33.

[3]) Coquelet jest u Veuillot'a uosobieniem liberała-postępowca, w gruncie niezłego człowieka, ale bardzo po-

da. Jakto? asceci mieliby być szczęśliwymi, a nawet najszczęśliwszymi, a wszak to są egzystencye zwichnione, serca złamane, sumienia obciążone wielkiemi zbrodniami, za które pokutują—i oni mieliby być szczęśliwymi, oni bez rodziny, bez przyjaciół, za kratami, w poście, samotności, z dyscypliną..."

Powoli Coquelet'cie miły—o zwichniętych egzystencyach, wielkich zbrodniach i złamanych sercach pomówimy później, na teraz powtarzam tylko, że prawdziwie pobożni, to najszczęśliwsi ludzie na świecie. Porozumiejmy się tylko najpierw, co przez ten wyraz szczęście rozumieć mamy. Ludzie często bardzo mięszają z sobą dwa pojęcia przyjemności i szczęścia i myślą, że szczęście zależy właśnie na jak największej liczbie przyjemności. Tak nie jest. Przy zaspokojeniu potrzeb natury naszej doznajemy wrażeń mniej lub więcej przyjemnych. *Ex „hoc enim*, powiada ś. Tomasz, *aliquis delectatur, quia habet bonum aliquod sibi conveniens vel in re, vel in spe, vel*

---

wierzchownego i chwytającego na ślepo wszystko, co bywa głoszone w imię postępu i liberalizmu. Najlepiej może charakter ten określił Veuillot, gdy z jakiegoś powodu powiedział o nim: mon pauvre, stupide Coquelet, *il a du bon!* Zapożyczyłem tej nazwy u Veuillot'a, bo rzecz mamy, niestety, a nad wynalezieniem odpowiedniego polskiego imienia nie chciałem sobie łamać głowy.

saltem in memoria" [1]). Te jednak miłe wrażenia zwykliśmy rozróżniać według ich natury na wyższe i niższe. Więc przyjemnością nazywamy stan zadowolenia, doznawanego przy zaspokojeniu potrzeb, przeważnie zmysłowych, albo też i duchowych, ale mniej ważnych, niższych, zaspokojenie tej lub owej władzy dusznej pojedyńczo i chwilowo. Doznajemy więc przyjemności, gdy zaspakajamy głód, zmęczonemu ciału dajemy spoczynek, używamy miłego towarzystwa, słuchamy pięknej muzyki i t. p. Przyjemność zatem nie sięga głębin duszy i nie trwa długo; można doświadczać mnóstwa przyjemności i nie być szczęśliwym (przykłady spotykają się na każdym kroku). Przyjemność jest jakby drobną monetą—można ją mieć często i nie być bogatym, bo jak bogactwo każe przypuszczać jakieś głębsze i pewniejsze źródło dobrobytu, niż grosz od przypadku złapany, a więc stan stały posiadania i obfitości, tak i szczęście jest stanem duszy stałym i sięgającym głębiej, niż zaspokojenie potrzeb ciała, albo chwilowych zachcianek duszy. *„Beatitudo enim est bonum perfectum, quod totaliter*

---

[1]) 1—2 q. 11. art. VI. „Bo wtenczas doznaje ktoś przyjemności, gdy ma odpowiednie sobie dobro albo w rzeczy samej, albo w nadziei, albo przynajmniej w pamięci".

quietat appetitum" [1]. Szczęściem więc należy nazwać zadowolenie, jakiego doznaje człowiek, gdy cała jego dusza, jej najgłębsze, najszlachetniejsze pożądania są zadowolone, gdy zostaje w stanie normalnym, gdy osiągnie cel, do którego dąży. Chociaż na ziemi takiego stanu nikt nie doświadczył jeszcze, zwykliśmy jednak przez analogię nazywać po ziemsku szczęśliwymi takich, którzy osiągnęli dobro bardzo pożądane, bardzo potrzebne i posiedli je na długo, lub na zawsze. Takiego uczucia doznaje np. człowiek, gdy znalazł pewny środek utrzymania siebie i rodziny, gdy znalazł przyjaciela, kochającą żonę, gdy uzyskał sprawiedliwość itd. Chwile przyjemności są częste, ale czy często szczęście znaleść można na ziemi? Niestety, któż inną dać może na to pytanie odpowiedź, niż wszyscy, kto nie przyzna słuszności Senece przed 18 wiekami piszącemu do Polybiusza: „Wierz tym, którzy prawdę zgłębiają — całe życie jest jedną męczarnią. Żeglując po tem morzu głębokiem a zawsze niespokojnem, wydani na wszystkie wahania jego przypływu i odpływu, rzucani, podnoszeni, popychani i odpychani bez ustanku, nigdzie nie możemy zarzucić kotwicy. Oddani fali jesteśmy jej igraszką,

---

[1]) „Szczęśliwość bowiem jest dobrem zupełnie uspakajającem pożądanie". Ibid. art. VIII.

uderzamy jeden o drugiego, często toniemy, boimy się zatonięcia zawsze. Na łonie tego burzliwego i rozkołysanego morza, żeglarz nie ma innego portu, prócz zgonu" [1]). Ponieważ szczęście jest stanem stałym i normalnym, więc w burzliwem życiu naszem zdarzać się ono może bardzo rzadko i jest jakby krótką chwilą zawieszenia broni w ciągłej walce, ciszy morskiej wśród burz ustawicznych. Ludzie chorzy na nerwy miewają czasami chwile ukojenia, niby *lucida intervalla*. Nic ich wtenczas nie szarpie za nerwy, nie targa za serce—w piersi i głowie spokój zupełny. Wtenczas życie, świat i ludzie wydają się im innymi. Ziemia się spokojnie zieleni, ludzie obok wad mają też i cnoty, mają czasami trochę serca, nieobca im zupełnie miłość i sprawiedliwość, niebo rozpościera się majestatycznie nad ziemią pracującą, a na tem niebie krążą spokojnie miliony innych światów—i z promieniami gwiazd jasnych spływa pewność do zbiedzonego serca, że wyżej ponad niemi jest oko opatrzne, i serce kochające, i ręka sprawiedliwa, a to uspokojenie jest rzeczą tak niezwykłą dla biednego chorego, że łzą mu oko zachodzi, „a serce porywa słodkie zachwycenie". Podobnie niezwykłym jest stan szczęścia na ziemi i podobne też chyba wywo-

---

[1]) Consolatio ad Polybium.

łuje wrażenia. Serce ludzkie zmęczone ciągłą walką, zranione niezliczoną ilość razy, zwodzone bez końca, dochodzi do tego, że lubo ciągle szczęścia pożąda, prawie się go lęka i wierzyć mu nie chce, cofa się niejako przed bezmiarem jego, jak się zmruża przed zbytkiem światła oko, przyzwyczajone do ciemności. I nic w tem wszystkiem dziwnego, bo zkądżeby się wziąć mogło szczęście stałe na ziemi? Szczęście to odpoczynek człowieka w stanie normalnym, to cel osiągnięty, to wszystkie potrzeby duszy zaspokojone — tego zaś na ziemi nie było dotąd, niema teraz i nie będzie nigdy (pomimo marzeń Spencera i jego adeptów), więc też i szczęście przelotnym tylko gościem wśród ludzi pozostanie. Taki stan wspólny jest wszystkim ludziom, owszem, dla przyczyn, o których tu mówić byłoby zadługo, ci, którzy najbardziej za szczęściem ubiegają się—najdalej są od niego; w rzeczywistości więc niema nic nadzwyczajnego w twierdzeniu, że w wyrzeczeniu się życia światowego można znaleść szczęście, bo przecie niema go z pewnością wśród świata. Ze wszelką więc słusznością powtórzyć możemy słowa chrześcijańskiego filozofa: „Patrząc na wstręt, jaki budzi życie religijne, możnaby pomyśleć, że życie wolne, usiane różami, ktoby jednak poznał oboje do głębi, przeląkłby się bez porównania więcej tego, niż tamtego. W rzeczy samej jest ono wy-

stawione na też same cierpienia, a niema pociech żywota chrześcijańskiego. Następnie stwarza ono sobie cierpienie wskutek nieporządków i zawodów, które zatruwają niepokojem i wstrętem dobra, jakie mieć może. Ostatecznie dochodzi do zguby wiecznej, do stracenia najpierwszego, najwyższego i jedynego Dobra. Cóż więc poświęcamy w życiu chrześcijańskiem? Poświęcamy pozory rzeczywistości, gdy w życiu wolnem rzeczywistość tracimy dla pozorów" [1]).

Przypatrzmy się jednak bliżej warunkom, w jakich żyją asceci i poznajmy racye, dla których nazwać ich można szczęśliwymi, a nawet najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi.

Nazwałem szczęściem stan błogiego zadowolenia, jakiego doznajemy, gdy osiągniemy cel pożądany. gdy na stałe a przynajmniej na długo znajdziemy się w warunkach odpowiednich naturze naszej. Jednym z takich warunków jest oddanie się stanowi, do jakiego się ma powołanie. Kto trafnie wybrał zatrudnienie

---

[1]) A. Nicolas. *L'art de croire II, 396 sixième edit.* Czwartą część, niestety, prawie nieznanego u nas powyższego dzieła głośny filozof i apologeta poświęca ważnej kwestyi *szczęściu*. Niejedną uwagę z tej księgi poczerpnąłem, a całą księgę polecam uwadze tych, którzyby bliżej filozoficznie pragnęli poznać, na czem szczęście zależy i gdzie go szukać można.

albo stan swój, ten wprawdzie nie osiągnął jeszcze szczęścia zupełnego, ale uniknął wielkiego nieszczęścia i postawił się w warunkach, dających wiele spokoju i zadowolenia. Zrozumie to każdy, szczególnie zaś ten, kto musiał oddawać się zajęciu wstrętnemu sobie; gdy się go pozbył, z pewnością doznawał wrażenia powrotu do zdrowia po ciężkiej chorobie. Jak zdrowie samo przez się nie stanowi całego szczęścia, ale jest bardzo ważnym jego warunkiem, tak samo jest z pracą w zawodzie, do któregośmy stworzeni. Wspomniałem już wyżej, że powołania i upodobania są bardzo rozmaite, a wśród tego mnóstwa są też ludzie wzdychający do ciszy, samotności i rozmyślania, ludzie rozmiłowani we wstrzemięźliwości, czystości i ubóstwie. Może się to komu wydawać rzeczą bardzo dziwną, ale faktem jest, że obok mnóstwa rzeczy dziwnych istnieje także i ta. W jednym rozdziale dzieła *Ça et la* Ludwik Veuillot wspomina o pięknej i bogatej pannie, właścicielce wioski nad morzem; panna ta nie chciała za mąż wychodzić, ale lubiła modlić się, chodzić nad brzegiem morza, śpiewać i czytać żywoty świętych. „Panno Felicyto, mówiono jej, dla czego pani śpiewa, czemu się modli, czemu nie idzie za mąż? Chodząc wieczorem po piaszczystym brzegu morskim, przyjemnie i wygodnie oprzeć się na ramieniu męża". „Dla mnie żywoty świętych są księgą

bardzo piękną. Ja śpiewam gdy słyszę, że morze śpiewa—gdy ono płacze, ja płaczę. Lubię na pagórkach i wybrzeżach deptać piasek, opłókany przez morze. Samotna na dziewiczym piasku lubię patrzeć na gwiazdy dziewicze, które dla mnie tylko świecą. To, co mi mówi morze wesołe lub smutne, i co mi mówi piasek, żadną nie deptany nogą, co mi opowiadają gwiazdy czyste, ja to wszystko słyszę w mem sercu i w sercu na to odpowiadam. Głos żaden mi tego nie powiedział i żaden też tego nie wypowie. Lecz, gdy kto jest przy mnie, morze niema już dla mnie tego głosu, który lubię, niema już westchnień, nie nuci pieśni. Szumu jego nie pojmuje już moje serce, a moje własne słowa nie są już wyrazem mej myśli. Piasek czysty skrzypi gniewnie pod stopami, depcącemi go obok moich; boskie promienie gwiazd nie padają tak słodko na moje czoło, nie przenikają równie głęboko do mego serca; niejedna skryje się nawet i nie widzę już wszystkich gwiazdek moich. Wszelki głos ludzki psuje mi żywoty świętych, nawet mój własny, gdy je głośno czytam, rozprasza zapach, jaki ta księga wydaje! Och co za wonność w milczeniu! Słodka jak kwiatek w poranku, silna i przejmująca jak morza. Co do oblubieńca, tom go już sobie wybrała. Pragnęłam go oddawna i nie odrzucił mnie. On mieszka wśród fal i przemawia ich głosem dźwięcznym; on mieszka na niebie,

a płomienie gwiazd, to jego wzrok święty. Na piasku nietkniętym moje oko rozróżnia ślad kroków jego; w kwiatach i falach widzę uśmiech jego" [1]).

Ludzi z takiem i bez porównania jeszcze większem do samotności upodobaniem jest bardzo wiele na świecie, osiągną więc oni pierwszy warunek szczęścia, gdy temu powołaniu zadość uczynią [2]). Jaki spokój i zadowolenie rozleje się w duszy wzdychającej do ciszy, modlitwy, usługiwania chorym, do spokojnej pracy umysłowej, rozmyślania nad tem, co nigdy nie mija, gdy nareszcie wyrwie się z zamętu ludzkiego szczebiotania o niczem, towarzyskich konwenansów, nudów, kłopotów i trosk familijnych—jaki spokój i szczęście, ten tylko osądzi, kto go doświadczył albo znał zblizka takich, którzy go zaznali. Że ogół ludzi światowych nie pojmuje podobnych powołań, nie dziwi mnie to wcale. Ogół jest krótkowidzący, zdaje mu się, że po za końcem jego nosa świat cały się kończy, i że nigdzie inaczej być i dziać się nie może, jak w jego własnej ubożuchnej

---

[1]) *Ça et là II liv. XI M-lle Felicité.*

[2]) Nie chcąc wdawać się w szersze wywody, powołanie do doskonałego życia uważam tu na równi z innemi powołaniami *przyrodzonemi*. Wiadomo jednak, że jest wielka między niemi różnica, o której na teraz przemilczam.

głowie i poziomem sercu, a że w tej głowie i sercu przy obecnych prądach i przekonaniach panują zasady i przekonania pani Buchholzowej [1]), więc, powtarzam, nic dziwnego, że o wyższych powołaniach mówią jak o greczyznie przed humanizmem mawiano — *graecum est; non legitur*. Dziwićby natomiast mogło, że nic o tem nie wiedzą ludzie, którzy się poświęcają badaniom psychicznym i socjalnym, wysadzają się na kierowników opinji, i uważają siebie za „błękitnych" w dziedzinie ducha, słowem, literaci i artyści. W wyobraźni tych panów mogą wprawdzie być po klasztorach i zgromadzeniach zakonnych ludzie powołani, ale są to wszystko ubożuchni duchem, natury poczciwe, proste a ograniczone, które mając kąt pewny, chleba kawałek i przełożonego do dawania rozkazów, żyją spokojni i szczęśliwi, szczęściem rośliny wegetującej w cichym zakątku. Zupełnie inaczej pojmują oni natury wyższe, które ich artystycznej fantazyi podoba się rzucić na bezbarwne tło ograniczonych braciszków i siostr konwersek. Ci wybrani zawsze muszą być do klasztornej ciszy i pobożnych ćwiczeń zapędzeni jakąś straszną przygodą, bez

---

[1]) Bohaterka powieści Juljusza Stinde'go *Rodzina Buchholzów*, typ mieszczki poczciwej w gruncie, ale niezmiernie poziomej.

powołania. Oczywiście! Czyż umysł i serce wyższe mogłoby być powołane do rozmyślania o Bogu, do przemywania ran i pilnowania chorych, do uczenia małych dzieci, do czytania i pisania książek ascetycznych? Przenigdy — gdyby nie owe straszne przygody, te wyższe istoty nie chodziłyby w kapicy, ale w „lekkich muślinach" bawiłyby gości w pięknych salonach, a kto wie—możeby nawet pisały bajki, powieści i poezye.

Ascetka p. Orzeszkowej wstąpiła do klasztoru, bo ją zdradził kochanek i przyjaciółka, uciekła za kraty, by zapomnieć *o nim* i *o niej*. Pomimo wszelkich ćwiczeń, które jej autorka każe odbywać, szczęścia nie znalazła, a jej względny spokój runął odrazu, skoro zobaczyła u małego dziecięcia oczy zupełnie takie, jak u *niego*. Czy wypadek podobny psychicznie prawdziwy, nie umiem powiedzieć, ale gdyby nim był nawet, tobym się mu nie dziwił. Nie raz zdarzało się, że ludzie przez ciężkie straty i wiekie bóle dochodzili do poznania i pokochania Boga, ale były one jakby zdjęciem katarakty z oczu, które już potem zupełnie inaczej patrzały. Strata ukochanych osób, zawód w miłości czy ambicyi wskazywały często ludziom (zwłaszcza wyższego umysłu i szlachetniejszego serca) znikomość dóbr, za któremi gonili, i zawracały na inną drogę—drogę pobożności i ascetyzmu. Wypadki takie budziły

powołanie, które dotąd drzemało, ale gdy się obudziło i rozwinęło, ludzie ci już nie myśleli o powrocie na dawne drogi, nie obawiali się wspomnienia o nich, bo przejmowały ich one litością, często obrzydzeniem, zawsze podziwem dobroci Boga, który przez cierpienia podniósł i zbliżył ich ku sobie, ale nigdy chęcią powrotu do dawnych warunków, nigdy żalem za tem, co jeśli nie zawsze było grzechem, to zawsze rzeczą nieodpowiednią dla męża wzrosłego i wzmocnionego na duchu. Tak samo ludzie dorośli z uśmiechem wspominają zapały studenckie i zabawy dziecinne. W życiu ś. Franciszka Borgii takim punktem zwrotnym był widok rozkładających się zwłok cesarzowej Izabelli; ś. Małgorzata z Kortony nawróciła się, gdy zobaczyła trupa swego kochanka pod stosem gałęzi; ks. Antoniewicz wstąpił do zakonu po stracie ukochanej żony i kilkorga dzieci, ale w tych i podobnych razach zawsze ludzie znajdowali szczęście, bo zostawali ascetami dla czystej miłości Boga, która się w nich rozpaliła, gdy wypadki złamały zewnętrzną lodową pokrywę. Wstępowanie jednak do klasztoru dla tego tylko, że zdradził kochanek, oddawanie się pobożności tylko dla zapomnienia o oczach jego, nie jest oznaką powołania, ale poprostu szukaniem ulgi dla siebie i w tem także w braku czego innego. Oddawanie serca Bogu nie dla Niego, ale dla tego, że człowiek wziąć go

nie chce, przypomina przysłowie ludu wołyńskiego: Daję ci Boże, co mi już niepotrzebne [1]). Rzecz więc naturalna, że takie dusze niepowołane nie mogą znaleźć w klasztorze szczęścia. Nie są wezwane do takiego życia; nie samego tylko Boga szukają, więc się Bóg też im nie oddaje. Cobyśmy też powiedzieli, gdyby kto zastał naszym przyjacielem—bo stracił majątek i jeść niema co?

Dla tego, żeby dzień był pogodnym, trzeba by go nie mąciły wichry i burze: tak samo żeby być szczęśliwym, trzeba się uwolnić od cierpień i przeciwności. To też w Apokalipsie zapowiada głos ze stolicy Bożej, że wybrani nie tylko będą ludem Boga, który zawsze będzie z nimi, ale nadto, że w nowem Jeruzalem „otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich, a śmierci dalej nie będzie, ani smętku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie" [2]). Takie zabezpieczenie to konieczny warunek szczęścia. Życie ludzkie mącone jest ustawicznie burzami i katastrofami rozmaitego rodzaju. Wiele z nich pochodzi z przyczyn wyższych, od nas niezależnych, ale bez zaprzeczenia mnóstwo z własnej naszej winy, bo w naszej woli mają swe źródło. Gdyby zatamować to źródło, gdyby pod-

---

[1]) *Na Tobi Bože, szczo meni ne hože.*

[2]) Apocal. XXI. 4.

ciąć u korzenia to złe zielsko, jakżeby bardzo można zbliżyć się do szczęścia możebnego na ziemi! Jednym z takich powodów niepokoju i niezadowolenia (bo o wszystkich nie sposób mówić) są nieznające granic wymagania wygód, zbytków, używania. Rosnąc ustawicznie, bynajmniej serca nie zapełniają—jak pusta beczka Danaid wymagają one ciągłego napełniania, a sprowadzają tylko zmęczenie i przesyt. To też często bardzo bywa, że dzieci miękkości i zbytku zazdroszczą ubogim ich ubóstwa, prostoty i zadowolenia. Ten przesyt i znużenie zbytkami bywa przyczyną, że wykwintni eleganci i elegantki marzą nieraz o cichym domku w cieniu drzew, o wsi spokojnej i zdrowej ba, o arkadyjskich pasterkach (co prawda na marzeniu i zabawie tylko poprzestają). Asceci pod tym względem zbliżyli się do ideału szczęścia: ich potrzeby sprowadzone do *minimum*. Pracowici wieśniacy, pasterze i inni prostaczkowie nie zawsze są tak zadowoleni ze swej prostoty, jakby się zdawać mogło; chęć używania przenika wszędzie i trawi nieraz serca ludzi z konieczności ubogich. Asceci dobrowolnie odrzucili wszystko, co zbyteczne, poprzestając na koniecznem, a przez to wysuszyli źródło niezliczonych przykrości i utrapień. Przedmioty troski i pracy całego życia: wygodne mieszkanie, wykwintne powozy, liczna służba, piękne

suknie, smaczna kuchnia—są dla nich „marnością i utrapieniem ducha".

Dwaj pobożni zakonnicy w Hiszpanii, zaskoczeni burzą, schronili się do zamku jakiegoś magnata. Przyjęto ich gościnnie i dano na noc wspaniale przybraną sypialnię. „Patrzno bracie, rzekł jeden z nich, dokąd to nas Pan Bóg za grzechy nasze zaprowadził".—Jakże to różne od tego, co zwykle widzimy, ale jacy też szczęśliwi ludzie, mogący tak powiedzieć o przedmiotach ubiegania się i pożądliwości ogólnej; im mniej ciężaru na wozie, tem lżej go ciągnąć koniom Veuillot opowiada gdzieś o zakonniku, który siedząc w celi, był pogrążony w czytaniu. Przyniesiono mu rozkaz, by udał się na misye do Afryki czy Ameryki. Złożył książkę, wziął brewiarz i poszedł. Po dwóch latach powrócił i czytał dalej od miejsca, na którem stanął! Szczęśliwa prostota świętych. Sądzę, że tak łatwego wybierania się w podróż pozazdrości każdy, a może nawet elegantka wioząca cztery kufry, ośm waliz i dwanaście ręcznych tobołków.

Przyzwyczajenie do wygód i zbytków jest bez zaprzeczenia przyczyną częstych burz w życiu, bez porównania jednak ważniejszem źródłem nie burz już tylko, ale prawdziwego nieszczęścia, bywają nieokiełznane żądze i namiętności. Rzecz to powszechnie wiadoma, że nie sposób zliczyć egzystencyj zwichniętych przez

zapędy pychy i miłości własnej, skąpstwa i pożądliwości ciała, gniewu i zazdrości itp. Nie sposób, powiadam, porachować, ile te namiętności spowodowały śmierci, chorób i kalectw, ruin majątkowych, ile łez popłynęło gwoli ich zapędom. Jeśli nie każdy aż tak daleko był uniesiony, każdy jednak z doświadczenia własnego wie, ile niepokoju i bólu sprawiły mu te nieprawidłowe zachcianki. Dzieci, ucząc się historyi świętej, wydziwić się zwykle nie mogą drażliwości Amana, obrażonego śmiertelnie tem, że Mardocheusz wstać przed nim nie chciał. „Co to jemu szkodziło? – niechby sobie staruszek leżał nawet, nietylko siedział" — powiadają. Gdy dorosną, poznają same, że daleko mniejsza nawet okoliczność pozbawia spokoju na długo, przyjaciół na wrogów zamienia — dzięki właśnie owym niepohamowanym namiętnościom. Gdyby więc można ująć je w karby, gdyby wysuszyć te powody utrapienia, jaki spokój i równowaga zapanowałyby w duszy! „Niepodobna wyrazić, powiada Nicolas, ile jest zadowolenia w takim stanie; zadowolenia, które towarzyszy duszy chrześcijańskiej pomimo umartwień i ofiar, na jakie zdobywać się musi, jaki niesmak towarzyszy duszy światowej pomimo zabaw i przyjemności, za któremi się ugania. Swoboda, pewność, pokój, porządek, miłość dają się jej uczuć w mierze nieskończonej prawie i tworzą koło duszy chrześcijańskiej jakby

świetlaną atmosferę, w której się ona rozpływa zupełnie" [1]).—Tu znowu asceci są szczęśliwszymi od światowców, bo trzymają na wodzy swe namiętności i dążą ustawicznie do przerobienia ich i uformowania podług modły moralności Chrystusowej.

Cóż to jednak za szczęście, zarzuci kto może, które zdobywać trzeba tak ciężkim trudem—postem, niespaniem, pracą, upokorzeniami? Zapewne, nie jest to szczęście zupełne; zapewne, praca bywa bardzo ciężką; ale gdzież i kiedy bywa inaczej na ziemi, gdzie „od chleba aż do nieba—wszystko, wszystko zdobyć trzeba".—Podziwiamy piękny obraz, a ileż dni ciężkiej pracy kosztował on malarza? Słuchamy z zachwytem sławnego muzyka, ale porachujmy ile godzin dziennie ćwiczy się on na swym instrumencie? Podoba się nam książka, ale ile czasu i pracy kosztowała ona autora? Zachwyca nas poezya, a czy wiemy jak ciężki ból ją zrodził? Jeśli więc nie uważamy za straconą ciężkiej i długiej pracy malarza, muzyka, uczonego, rzemieślnika, dla tego, że nam albo też im samym przynosi chwilową przyjemność, lub pożytek, to nie dziwmy się, że i asceci pracują—mają spokój i zadowolenie w tem życiu, a szczęście bez granic w przyszłości. „A każdy,

[1]) Op. cit. II. 371.

który się potyka na placu, od wszystkiego się powściąga. A onić, aby wzięli wieniec skazitelny, a my nieskazitelny" [1]). Kto szczęśliwy i kto lepszą obrał sobie cząstkę?

Duszy ludzkiej wrodzone zamiłowanie porządku. Ś. Augustyn określił piękno jako *splendor ordinis* (blask porządku); otóż każdy człowiek podług rozumienia swego szuka i miłuje ten blask i wspaniałość porządku. Dobry gospodarz lubi, żeby wszystko u niego było „porządne i w porządku", człowiek muzykalny rozkoszuje się porządkiem dźwięków, naturalista blaskiem porządku w naturze, słowem, lubo każdy rozumie i pojmuje to inaczej, każdy lubi i pragnie, żeby wszystko było porządnie i na swojem miejscu. Byłoby więc dziwnem, gdyby człowiek mógł być spokojny i zadowolony, żyjąc w nieporządku moralnym —to też po nad wszelki inny porządek drogim mu i miłym jest porządek etyczny, zgoda sumienia z prawem Często wprawdzie prawo moralne bywa przez ludzi źle pojęte, niezrozumiane, i ztąd pochodzi dziwne na pozór zjawisko, że ktoś postępując, źle jest zadowolony i spokojny. Tłómaczy się właśnie ową omyłką w pojmowaniu i tłómaczeniu prawa. Jeśli ktoś w dobrej wierze myli się, bywa zupełnie

---

[1]) Cor. IX. 25.

spokojny w sumieniu. Skoro jednak człowiek zna prawo moralne, a gwałci je, niemożliwem jest, by zaznał szczęścia i spokoju. Dla tego tak zwyczajną jest rzeczą widzieć ludzi świa towych, tonących w przyjemnościach i rozrywkach, a smutnych i nieszczęśliwych. „Wszyscy mi mówią, pisała Ninon de Lenclos do St. Evremond'a, że mniej mam powodu do skargi, niż kto inny. Jakkolwiek bądź tam jest, gdyby mi zaproponowano takie życie, powiesiłabym się raczej" [1]). Skąd pochodzi to zadowolenie z zachowania prawa moralnego i smutek z jego pogwałcenia? Odpowiedzmy na to słowami znanego filozofa francuskiego: „Na czem zależeć może szczęście istoty? pyta Cousin, roztrząsając Platona wstęp do Gorgiasza. Niech się kto nad tem poważnie zastanowi, a zobaczy, że prawdziwe szczęście jakiejbądź istoty w niczem innem nie jest, tylko w najściślejszym jej stosunku do swego prawa, to zaś nigdzie nie może być jeno w prawdziwej tej istoty naturze. Otóż czem jest człowiek? Naturą rozumną i wolną, zatem prawem jego jest prawda i sprawiedliwość. Stosunek człowieka do sprawiedliwości i prawdy oto jego prawo, jego porządek i prawdziwe szczęście. Zostawanie po za sprawiedliwością i prawdą, to prawdziwe dla niego

---

[1]) Cyt. Nicolas'a op. cit. 34.

nieszczęście i nędza. W duszy więc mieszka rzeczywiście szczęście lub nieszczęście... Nie można powiedzieć o człowieku, choćby był wielkim królem nawet, czy jest szczęśliwym lub nie, pokąd nie wiadomo, w jakim jest stosunku dusza jego do prawdy i sprawiedliwości" [1]).

Ludzie pobożni zostają w zgodzie z prawem moralnem człowieka, posiadają prawdę i zachowują sprawiedliwość, więc cóż dziwnego, że są szczęśliwi i jak jeszcze szczęśliwi! Ś. Augustyn, mówiąc o miłości Bożej, powiedział: „daj mi człowieka miłującego, a zrozumie, co mówię", tak samo powiedzieć można, dajcie mi sprawiedliwego, a zrozumie i oceni swe szczęście. Jakiem to jest szczęściem, możemy osądzić wszyscy, gdy przez cięższy upadek stracimy tę skromną sprawiedliwość, jaką posiada ogół „uczciwych ludzi".

Człowiek zdrowy często nie wie, jaki skarb nieoceniony w swem zdrowiu posiada, aż się to zdrowie zepsuje, tak też i chrześcijanin nie zawsze czuje całe szczęście owej równowagi moralnej, tego blasku porządku etycznego, w jakiej zwykle zostaje; ale gdy upadek tę harmonię zamąci, gdy żal, zgryzota, zwątpienie szarpać zaczną duszę, jakże drogą i cenną wy-

---

[1]) Nicolas op. cit. 380.

da mu się dawna swoboda, dawna zgoda z sumieniem! Taka to już natura ludzka, że wtenczas dowie się, ile trzeba cenić rzecz drogą, aż ją straci. Albo kiedy serce szarpane namiętnościami uspokoi się wreszcie w porcie cnoty i prawdy, jakiż zachwyt i szczęście! „Skoro przyjęliśmy chrzest, powiada ś. Augustyn, niespokojność, dręcząca nas z powodu przeszłego naszego życia, ustąpiła zupełnie. Nie mogłem się nasycić w owym czasie dziwną słodyczą rozważania głębokości zamiarów Twoich we względzie zbawienia rodzaju ludzkiego. O jak płakałem, towarzysząc hymnom i śpiewom, rozlegającym się w kościele Twoim! Głosy te mile wpływały do mojego ucha, a prawda Twoja do mojego serca" [1]).

Mógłbym tak długo rozważać rozmaite strony życia ludzkiego i wykazywać, że w gruncie rzeczy asceci „najlepszą w niem sobie cząstkę obrali"—żeby jednak nie być rozwlekłym, dam pokój życiu, a przejdę do śmierci. „Gdybyśmy sobie dobrze zdawali sprawę, powiada Nicolas, z udziału, jaki ma śmierć w kwestyi szczęścia, byłaby ona punktem wytycznym całego życia, jak była nim dla mądrości starożytnej, która streszczała się, jak wiadomo, w tej maksymie: *Filozofować, jest to nauczyć*

---

[1]) Wyznania ks. IX.

się umrzeć" [1]). Niema bo też w rzeczy samej w życiu jednego dnia jasnego, żeby nam myśl o śmierci słońca nie przysłoniła, niema kwiatu, któregoby cierniami swojemi nie otoczyła, niema słodyczy, żeby na dnie jej nie ukazało się straszne widmo śmierci Straszną jest ona z dwóch powodów, najpierw dla tego, że kończy i przerywa wszelką przyjemność, nadzieje, przedsięwzięcia, zaszczyty, a nadewszystko przerywa życie. Człowiek do postradania wszystkiego, co lubi, a szczególnie do niebytu, ma wstręt nieprzezwyciężony; całą naturą swą domaga się ciągłego szczęścia i ciągłego bytu, stąd bojaźń chwili, która wszystko zakończy. Jeszcze straszniejszy może jest wzgląd drugi, tj. że chwila, która tu wszystko kończy, zaczyna inny byt jakiś, a pytanie, jakim on będzie, dreszczem każdą duszę przejmuje. Są ludzie, którzy twierdzą, że przekonali się, że *tam nic nie będzie*. Trudno wierzyć, żeby się to komu w zupełności udało, bo dla tego trzebaby mieć dowody pozytywne, a gdzież one? Chrześcijanie mają objawienie stwierdzone wielu dowodami arcypozytywnymi. Nie wystarczają one niewierzącym, ale jakież oni sami racye przekonywające przytoczyć mogą na dowiedzenie, że *tam* nic nie ma?

---

[1]) L'art de croire II. 345.

O ilem się z ich dowodami spotykał, nie zawierają one nic oprócz wykrzykników, frazesów o mądrości bieżącego wieku i pewnej liczby szykan pod adresem wsteczników klerykalnych—to trochę za mało na tak wielkie ryzyko. Jeden z przyjaciół Voltaire'a doniósł mu raz z tryumfem, że znalazł przekonywający ostatecznie dowód, że nie ma piekła i że zupełnie jest pod tym względem spokojnym.— „Szczęśliwyś przyjacielu, odpisał mu filozof, mnie jeszcze bardzo daleko do tego [1]). Można nie bez zasady twierdzić, że niezmierna większość niedowiarków jest zdania Voltaire'a; jakkolwiek bądź zresztą, cała prawie ludzkość, gdy myśli o śmierci, powtarza ze strachem:

Quantus tremor est futurus
Quando judex est venturus,
Cuncta stricte discussurus!

Ta perspektywa wieczności i losu szczęśliwego lub nieszczęśliwego, jaki w niej sobie gotujemy, tak skraca i zmniejsza radość i cierpienia tego życia, rzuca na nie tak silny cień lub światło, tak pochłania czas obecny, że trzeba nie znać się na szczęściu, żeby się nie kierować podług tej przyszłości. Kiedy się pomy-

---

[1]) Że prawdę na ten raz mówił, dowiodła śmierć jego, o której jeden z obecnych powiedział, że gdyby szatan mógł umrzeć, nie inaczejby umierał.

śli, że „to, które teraz jest prędziuczko przemijające i lekkie nasze utrapienie, nader na wysokości wagę chwały wiekuistą w nas sprawuje" [1]), jak nie lekceważyć cierpienia tak drobnego w porównaniu do tego, czego ono warte? Jak nie zebrać go w sobie, jako nasienia dla przyszłego żniwa chwały? Z drugiej strony, gdy pomyślimy o tej wieczności nieszczęścia, jaką ważymy za błysk fałszywej przyjemności, za chwilę złudzenia. jak nie wyrwać raczej oka, nie odciąć ręki, niż z tym okiem i z tą ręką wpaść do ognia wiekuistego? [2]). To też miał zupełną racyą zakonnik z Wielkiej Kartuzyi, który na ścianie swej celi wypisał tę arcymądrą sentencyę: *„Le plaisir de mourir sans peine, vaut bien la peine de vivre sans plaisir"* [3]). I gdybyć to o nas szło tylko samych, ale śmierć ze swym bolesnym rozdziałem i ze straszną zagadką życia przyszłego zawisła nad wszystkiem, co nam drogie, nad każdą głową kochaną, cięży na najświętszych i najsilniejszych uczuciach. Znane wszystkim obawy o życie rodziców, dzieci, krewnych, ciężkie chwile, przepędzone u łoża przyjaciela, gdy ucho w każdym szmerze zdaje się słyszeć cichy szelest

---

[1]) II. Cor. IV. 17.

[2]) Nicolas I. cit. 351.

[3]) Przyjemność umierania bez trudu, warta trudu życia bez przyjemności.

skrzydeł anioła śmierci, i wiemy, w co zmienia się wtenczas szczęście ziemskie, jaki cień czarny pozostaje na długo, czasami na zawsze. Zdawałoby się, że już i tego wszystkiego dosyć, a jednak bywają okoliczności i względy, które tę chmurę cierpienia i smutku jeszcze bardziej zgęszczają — kiedy do uczuć przyrodzonej miłości dołączy się szacunek należny cnocie, podziw i cześć dla rozumu, miłość dla piękna, a nadewszystko — urok cierpienia niezasłużonego z poddaniem. Widziałem gdzieś obraz przedstawiający pogrzeb męczennicy. W ustronnem zaciszu przygotowany grób, obok niego kamień z wyrytą palmą męczeńską i napisem *pro Xto*, a pod tem krótkie epitaphium *Sabina filia charissima*. Ciało męczennicy składa do grobu grono czcią przejętych mężczyzn i zapłakanych niewiast, a ojciec sędziwy o poważnej brodzie uchwycił bezwładną rękę swej córki i do ust na pożegnanie przycisnął. W tym długim ostatnim pocałunku wylał on całą cześć chrześcijanina dla męczennicy Chrystusowej i miłość ojca, którego kochanie w męczarniach skonało. Chrześcijanin nie rozpaczał, bo wiedział, że jego *filia charissima* żyje i szczęśliwa na wieki, ale gdyby nie miał tej pewności? Wiedzieć, że serce szlachetne bić przestało złamane niezasłużonem cierpieniem, widzieć drogą postać zmęczoną i bladą zapadającą na wieki w bezdenną przepaść nicości, widzieć wypłakane oczy

ze łzą ostatnią zamknięte na zawsze, a nie wiedzieć, czy kto łzy te powróci, czy radość i szczęście zastąpią cierpienia, czy nowe życie oświeci bladą skroń męczennika, to chyba musi być prawdziwie Dantejskiem *nessun maggior dolore*. „Uczułem, powiada w podobnem położeniu Cezara, uczułem wszystkie męki rozdziału, wszystkie próżnie nicości. . i usiadłszy na brzegach morza tego, prosiłem się duszy mojej, aby wyszła ze mnie" [1]).

Gdyby więc można znieść śmierć pod tym dwojakim względem, jakiż przewrót nastąpiłby w kwestyi szczęścia! Gdybyśmy mogli odjąć śmierci jej kosę i przejść jej ciemności bez zatrzymania się w nich, uniknąć jej grozy, zapewnić sobie zawczasu jej korzyści—uniknęlibyśmy rozbicia i posiedlibyśmy tajemnicę szczęścia" [2]). To właśnie sprawuje wiara nasza. Podług niej śmierć jest właściwie początkiem życia, a życie ziemskie jest jakby snem, niby życiem poczwarki, nim się w motyla przerodzi, jest przygotowaniem do prawdziwego życia i środkiem zarobienia na szczęście bez końca. Chrześcijanin wierzący może zupełnie słusznie wołać ze ś. Pawłem: „Gdzie jest zwycięstwo twe śmierci? gdzież jest śmierci oścień

[1]) „Sen Cezary".
[2]) Nicolas op. cit.

twój" [1]), tem bardziej może to uczynić asceta. Już wiemy, że ludzie ci biorą rzeczy jak one są – wzniósłszy się nad codzienne drobne zjawiska, patrzą oni na życie z punktu widzenia wieczności, a z tego punktu śmierć jest początkiem szczęścia i życia wiekuistego; dla nich więc jest ona rzeczywiście *punktem wytycznym*, do którego całe ich stosuje się życie. Możnaby tomy zapisać, gdybyśmy chcieli przytaczać przykłady, jak asceci, a nawet wszyscy dobrzy chrześcijanie, przejmowali się tą myślą; nietylko więc nie sprawiała im ona żadnej przykrości, lecz przeciwnie, napawała dziwnym spokojem, dodawała otuchy w cierpieniach i walkach. Zapewne, asceci są ludźmi i pozostają nimi do śmierci, więc nie zawsze i nie wszyscy mogą się wznieść nad naturę ludzką o tyle, by nie czuć zgoła „ościenia śmierci", by nie czuć nigdy bojaźni, nie zaboleć nad śmiercią bliskich swoich i drogich. Ś. Paula opłakiwała śmierć córki, ś. Hieronim, starzec podeszły, płakał długo po śmierci swej świętej przyjaciółki, ś. Augustyn po śmierci matki, ale jakże te smutki i kolce były złagodzone w porównaniu do obaw i żalu ludzi światowych, do bezgranicznej rozpaczy niewierzących! Bardzo często za to wśród świętych i pobożnych lu-

---

[1]) Cor. XV. 55.

dzi śmierć zamienia się na pożądanego gościa, oczekiwanego z niecierpliwością, i to nie dla tego, by skończyć prędzej to życie, jak raczej, by zacząć tamto, lepsze. Już ś. Paweł utrzymywał, „mnie żyć jest Chrystus, a umrzeć zysk" [1]) i wołał *cupio dissolvi et esse cum Christo*. Miljony męczenników szły na śmierć w męczarniach „jako na gody weselne"—pustelnicy i zakonnicy z utęsknieniem wzdychali do Pana „wywiedź z ciemnice duszę moję" [2]). Ś. Ignacy mawiał, patrząc na niebo: *quam sordet terra dum coelum intueor*, ś. Teresa: „cierpieć albo umrzeć"—„i tem umieram, że umrzeć nie mogę". Ale pocóż uciekać się do wzorów, że tak powiem, klasycznych! Myślę, że nie jednemu z moich czytelników zdarzało się być świadkiem chrześcijańskiego życia i śmierci chrześcijańskiej i słyszeć radosny okrzyk wyzwalającej się duszy—idę już, idę, mój Jezu!

Czem i jak się to dzieje, pytają światowcy i niedowiarkowie, jak wytłumaczyć ten objaw nienaturalny? Dla nas, wierzących, jest to rzeczą łatwą. Objaw ten rzeczywiście nienaturalny, bo nadprzyrodzony, jest skutkiem wiary i łaski. Dla niewierzących istnieje *fakt*, a jak go oni sobie tłómaczą – „ja nie wiem"—odpowiem z po-

---

[1]) Philip. 1. 21.
[2]) Ps. CXLI.

etą. W każdym razie jest rzeczą niezawodną, że ze względu na śmierć, asceci są najszczęśliwszymi ludźmi, bo w końcu prawdą jest, że *le plaisir de mourir sans peine, vaut bien la peine de vivre sans plaisir.*

Zapewne, pomyśli sobie może kto z moich czytelników, wszystko to bardzo dobre i piękne, ale brakuje tu czegoś. Dobrze jest bezwątpienia życie spędzić wśród zajęć i praktyk, do jakich się ma z natury upodobanie, dobrze jest trzymać na wodzy wybuchy namiętności, prowadzić życie proste i umiarkowane—unika się przez to mnóstwa przykrości i nieszczęść nawet. Zbawienną jest rzeczą myśleć o śmierci i do niej swe życie stosować, można się nawet zgodzić na zasadę kartuza i żyć bez przyjemności, by umrzeć bez przykrości, ale wszystkie te względy są natury negatywnej, dają tylko niektóre, bardzo ważne zresztą, elementy szczęścia, szczęściem samem nie są. Może być krajobraz najpiękniejszy, złożony z drzew, wody, dolin i pagórków, ale smutno wśród niego człowiekowi i zwierzętom nawet, gdy nad temi pięknościami chmurne się niebo rozciąga. Natomiast niech słońce zaświeci, a wnet niebo, ziemia i morze nowem życiem zadrgają - człowiek i wszystko, co żywe, weseli się, rusza, uśmiecha. Takiem słońcem w życiu człowieka jest miłość. Rzecz wiadoma, że nigdy ona długo na ziemi nie gości, że nawet

rzadko kiedy jest bez przykrej jakiejś domieszki, a jednak człowiek tak jej pożąda, tak mu ona wrodzona i konieczna do szczęścia, że wszystko dla niej uczynić jest zdolen: poświęci całą pracę całe szczęście, odda krew swoję i życie; konając w cierpieniu, wyczerpany i znękany, żałować nie będzie swego poświęcenia, bo „mocna jest jako śmierć miłość. Wody nie mogły ugasić miłości i rzeki nie zatopią jej: choćby człowiek dał wszystką majętność domu swego za miłość, wzgardzi ją jako nic" [1]). Asceci wznoszą się nad wszelką miłość przyrodzoną i dla tego człowiek światowy wyobraża ich sobie jako ludzi „zrozpaczonych", którzy ze wzrokiem gdzieś po za obłoki utkwionym, smutni i wynędzniali, w ponurem milczeniu stąpają po ziemi, rozmyślając o śmierci. Tak sobie wystawiają ascetów na świecie i dla tego ze wstrętem i zgrozą odwracają oczy od tych próżni, tego chłodu, tych ciemności—przenoszą nad nie krótkie chwile, i mijające błyski ziemskiej miłości, i długie o nią zabiegi, a dłuższe jeszcze po utraconej żale i rozpacze. Szczególny błąd zaprawdę, bo właśnie asceci są ludźmi przedewszystkiem miłującymi, kochają tak silnie i stale, jak ludzie świeccy nigdy nie potrafią, miłują wiernie i gdy miłość ziemska ma

---

[1]) Pieśń nad pieśn. VIII 6. 7.

swój czas i porę, a potem gaśnie, miłość ascetów wzrasta ustawicznie i wzrastać będzie „do końca świata—i po końcu świata". Gdy w miłości ziemskiej pełno skarg i żalów na brak wzajemności, gdy na każdym kroku spotykają się „niewdzięczne i niewdzięczni", asceci są zawsze wzajemności pewni—owszem najwyższa miłość uprzedza ich, sama do nich przychodzi i ich się serca domaga: „Oto staję u drzwi i kołacę, jeśliby kto usłyszał głos mój, wnijdę do niego" [1]). To też asceci są z tego właśnie względu szczęśliwymi i najszczęśliwszymi z ludzi, bo miłują i są umiłowani, dla tego niczem jest dla nich ubóstwo, umartwienie, trudzenie ciała, długie czuwanie, niczem misye dalekie i prace apostolskie, nawet tortury i śmierć straszliwa—kochają, więc resztę za nic sobie ważą, bo „choćby człowiek dał wszystką majętność domu swego za miłość, wzgardzi ją jako nic". *Da amantem et scit quid dico* (ś. Aug.). Tak, asceci kochają, ale że miłość ich jest inną, niż ludzi światowych, że jest im nieznaną, więc wyobrażają sobie, że jej niema. Znam prostaczków, którzy nigdy gór wysokich bardzo nie widzieli i nie chcą wierzyć, by mogły wznosić się aż do obłoków i za obłoki—tak samo nieznający innej miłości, prócz zwykłej, nie chcą przypuścić, by nad nią

---

[1]) Apocal. III. 20.

coś wyższego być mogło, nie wierzą, by serce ludzkie wznieść się mogło nad zwykłą historyą Numy i Pompiliusza. A jednak wznosi się —*e pur si muove*—nim wszakże dalej pójdziemy, wypada mi pierwej słów kilka o naturze miłości powiedzieć.

Człowiek jest już tak stworzony, że pożąda wszystkiego, co mu z natury jego jest koniecznem, potrzebnem, pożytecznem i że to, czego pragnie, ceni, szanuje, dobrze mu życzy (*amor concupiscentiae et amicitiae*). Ponieważ człowiek złożony jest z ciała i duszy, więc też dwojakiej natury są przedmioty pożądania jego: im więcej zbliżony jest do zwierzęcia, im bardziej jest ciałem, tem bardziej przedmioty pragnienia jego są poziomej i cielesnej natury. Wśród pogan nieraz bywały przykłady, że wszystkie pragnienia jego są poziomej i cielesnej natury. Wśród pogan nieraz bywały przykłady, że wszystkie pragnienia i pożądania były skierowane do przedmiotów nieżywych—kubka, pierścienia, posągu. Zdarza się to i teraz pomiędzy duszami niskiemi. Kobieta płocha odda zbawienie duszy za bransoletę lub broszę. Wieśniak nieraz bardziej żałuje zginionego wołu lub „gadziny", niż zmarłego dziecka. Matki o lichej głowie i sercu często przywiązują się do psów i kotów więcej, niż do córek i synów, i to rzecz naturalna—czego kto wart, tego też dla siebie szuka. Kiedy takie upodobania niż-

szego rzędu nie przechodzą zwykłej miary, nie dajemy im nazwy miłości.

Mówimy *lubię* to, *podoba* mi się to; nazwę miłości zachowujemy dla przedmiotów wyższych i uczucia gorętszego. Ludzie szlachetniejsi lubią wiele rzeczy, kochają tylko ludzi; a im są wyżsi, tem bardziej szukają w swych bliźnich prawdy, piękna i dobra, starają się w nich kochać te przedewszystkiem zalety. I to właśnie jest prawdziwą ludzką miłością. Swoją drogą dodać należy, że się ludzie bardzo często mylą, kochają takich, którzy tego nie warci, biorą szych za złoto, liczmany za dobre pieniądze. Jak się to dzieje, że człowiek widzi przez czas pewien w drugim człowieku zalety, których często nikt w nim inny nie widzi, a nawet i on sam po niejakim czasie; że dla tych zalet rozgrzeje płomieniem najżywszej miłości; że widzi piękno, prawdę, dobro w swem społeczeństwie, kraju, rodzinie w wyższym stopniu, niż jest w rzeczy samej, a znowu nie dostrzega wad i plam, nie będę mówił teraz, bo to do mego przedmiotu nie należy. Zrobię natomiast uwagę, że jeśli człowiek kocha piękno, prawdę, dobro w tak małych dozach znajdujące się na ziemi, to wznosząc się coraz wyżej, powinienby wzrok swój ku źródłu ich zwrócić i w niem się rozmiłować. „Gdy Bóg jest nadewszystko godny miłości, powiada autor teologii mistycznej, cóż jest bardziej racyonalnego

nad to, by Go nietylko mieć w najwyższej cenie, ale w sercu i praktyce tak mocno stać przy Nim, byśmy raczej wszystkiego gotowi byli pozbyć się, niż Jego miłość postradać" [1]). Takby być powinno, ale tak nie jest. Miłość Boga — ideału wszelkiej piękności, prawdy i dobra, jest najwyższem szczęściem dla człowieka; dla niej on nawet stworzony został, a jednak sam przez się własnemi naturalnemi siłami wznieść się do niej nie zdoła. Nie znał jej starożytny poganizm. Plato raz tylko użył wyrazu miłość Boga, a chociaż pojmował miłość najwyższego piękna, to jednak nie przypuszczał nawet, by Ono mogło być wzajemnem [2]) człowiekowi. Nie zna tem bardziej takiej miłości poganizm nowożytny, gorszy daleko od dawnego. Jak lampa czy pochodnia, lubo jej przeznaczeniem gorzeć i świecić, pozostaje zimną i ciemną, nim do niej człowiek ogień przybliży i płomień jasny roznieci, tak człowiek, lubo dla miłości Bożej stworzony, nie zna jej i nie umiłuje Boga, aż On sam w nim miłość tę rozpłomieni. „Żaden do mnie przyść nie może, jeśli go Ojciec, który mnie posłał, nie pociągnie" [3]).

---

[1]) *Schram* Theol. myst. 1. 219.

[2]) Dla tego miłość bez wzajemności nazywa się platoniczną.

[3]) Joan. VI. 44.

Miłość Boga jest darem nadprzyrodzonym. Pierwszy jej początek otrzymują wszyscy chrześcijanie już przy chrzcie ś., znają ją i w niej żyją wszyscy w łasce Bożej zostający, posiadają ją w wyższym stopniu ludzie pobożni, asceci. Dla tego właśnie, że miłość Boga jest darem Jego nadprzyrodzonym, dla tego, że jest wyższą nad siły ludzkie naturalne, że niemasz jej wśród przyrodzonych miłości, nie znają jej ludzie i nawet, że jest, wierzyć nie chcą. A jednak istnieje ona i owoce swe przynosi. Jeśli wśród zeschłej okolicy wstąpimy do zielonego i bujnego ogrodu, od razu zgadniemy, jaka jest ukryta i niewidoczna przyczyna tej zieleni. Jest nią wilgoć—oko jej bezpośrednio nie widzi, ale ze skutków z łatwością się jej domyśla.

Tak samo lubo świat nie zna miłości Bożej, powinien przyznać, że ona istnieje, bo świadczą o niej zeznania ludzi posiadających ją, a jeszcze głośniej świadczą ich czyny. Gdybyż to świat miał dobrą wiarę i chciał być logicznym! Gdyby kto zamierzył zebrać świadectwa i zeznania świętych o ich miłości ku Bogu i szczęściu, jakiego doznawali, nigdyby tej pracy nie podołał. Każdy święty, każdy asceta, każdy pobożny chrześcijanin w końcu, to mniej lub więcej doskonały miłośnik Boży, więc też ta miłość tryska w każdej prawie czynności ich życia i każdy z nich mógłby powtórzyć za ś. Bernardem: „Jeśli piszesz, nie

smakuje mi, jeśli tam nie czytam o Jezusie, jeśli rozprawiasz i opowiadasz, nie smakuje mi, chyba w tem brzmi Jezus. Jezus miód w ustach, harmonja w uchu, radość w sercu'' [1]).

Więc też prawdziwie niezliczona jest liczba takich zeznań wyrażonych w modlitwach, hymnach, pieśniach, mowach i westchnieniach. Coś z tych zeznań, coś z opowiadań o zachwytach i ekstazach doszło do wiadomości ogółu, a literaci i poeci zrobili z tego dla użytku publiczności typ ascety, goniącego i wzdychającego za słodyczami objawienia w sposób tak czułostkowy i niesmaczny, że chyba przydałby się do jakichś „*Ständchen* – Listków — Kwiatków'' itp. błahych rzeczy. W rzeczywistości miłość ascetów jest zupełnie inną. Zawsze podziwiałem u nich w wyrażaniu najczulszych i najtkliwszych uczuć dziwną energię, męskość i siłę—i to rzecz naturalna. Ludzie, całe życie pod bronią stojący, nie umieją wzdychać jak pasterze w sielankach lub poeci w sonetach i kanzonach. Ś. Piotr zapytany przez Chrystusa, czy Go miłuje, odpowiada poprostu: Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię miłuję — i umarł za swoję miłość na krzyżu. Ś. Paweł powiada: „mnie żyć jest Chrystus'' (tj. życiem mojem jest Chrystus), „miłość Chrystusa

---

[1]) *Sermo 14 Super Cantica.*

przyciska nas" i z dziwną energią dodaje: „któż tedy nas odłączy od miłości Chrystusowej? Utrapienie, czyli ucisk, czyli głód, czyli nagość, czyli niebezpieczeństwo, czyli prześladowanie, czyli miecz?" [1]. A że nie w sentymentalnem roztkliwieniu tak mówił, stwierdziło jego życie. „W pracach rozlicznych, mówi sam o sobie, w ciemnicach obficiej, w raziech nad miarę, w śmierciach częstokroć. Od żydów wziąłem po pięćkroć po czterdzieści plag bez jednej. Trzykroć byłem bit rózgami, razem był ukamienowan, trzykroćem się z okrętem rozbił" itd. [2]. Szczerość jego miłości stwierdziła śmierć wreszcie. Nadeszły prześladowania i jedenaście miljonów męczenników wylało krew dla miłości Jezusa; akta męczeńskie pełne są jej wyznań, wzruszających swą prostotą i stanowczością. Któż nie słyszał o ś. Augustynie, jego nawróceniu i miłości? *Wyznania* i *Soliloquia* to jedna prawie nieprzerwana miłośna rozmowa z Bogiem. „Nie wątpliwem lecz pewnem sumieniem kocham Cię Panie. Przeniknąłeś serce moje słowem Twojem i ukochałem Ciebie. Lecz niebo i ziemia i wszystko, co w nich jest, woła na mnie, żebym kochał Ciebie" [3]. Im bliżej nas, tem więcej mamy świadectw wewnętrznego ży-

---

[1] Rom. VIII, 35.

[2] 2. Cor. XI. 23—25.

[3] Wyznania ks. X 6.

cia świętych ascetów i ich miłości ku Bogu, że wspomnę tylko o ś. Bernardzie, Franciszku z Assyżu, Bernardynie ze Sienny. Kiedy protestantyzm z jednej strony głosił zasadę —*pecca fortiter sed crede fortius et non nocebunt tibi centum homicidia et mille stupra*, z drugiej strony powstali w Kościele katolickim ludzie, którzy na samo wspomnienie grzechu omdlewali jak ś. Aloizy Gonzaga. Młodzieniec ten tak był zatopiony w miłości Bożej, że dla spełniania zwyczajnych w życiu zakonnem obowiązków i posług kazali mu przełożeni odrywać myśl od Boga i wtenczas dziwne było zjawisko, bo jak powiada brewiarz „*irrito conatu fugiebat occurrentem sibi ubique Deum*" (daremnym wysiłkiem uciekał przed zabiegającym mu wszędzie Bogiem). Ekstazy i miłość ś. Teresy znane są powszechnie. Ś. Piotr z Alkantary porwany miłością Boga wybiegał z ciasnej celi na pola i łąki dla ochłodzenia się, ś. Filip Nerjusz w czasie każdej prawie mszy wpadał w zachwycenie. Ale powtarzam, nie sposób wyliczyć nawet imion tych wielkich miłośników Bożych, a tem bardziej ich zeznań. Gdyby kto z goniących za marą szczęścia na świecie, mógł zajrzeć do duszy przejętej miłością Boga, jakżeby się zdziwił, zobaczywszy w niej tyle miłości spokojnej, czystej, mocnej i tyle szczęścia. Zaglądnąć tam jednak nie spo-

sób, a żadne słowo oddać tego, co dusza czuje, nie potrafi:

Nec lingua valet dicere
Nec littera exprimere
Expertus potest credere
Quid sit Jesum diligere [1]).

Expertus... Żeby w całej rozciągłości tego wyrazu być zdolnym do sądzenia, trzeba być świętym, ale niejakie wyobrażenie o ich szczęściu każdy wierzący mieć może. Wychowałem się wśród ludu wołyńskiego i od niego w dzieciństwie mojem dowiedziałem się, że kiedy błyska, to znaczy, że obłoki i błękit rozrywają się i przez tę szparę ukazuje się na chwilę światłość niebiańska. Sądzę, że każdy szczerze wierzący i według sił swoich po ścieżce przykazań Pańskich dążący, miewał w swem życiu chwile, w których dla niego rozerwały się chmury i przez wązką szczelinę zjawiła się na chwilę jasność z wysoka. Gdzieś w cichem ustroniu, w samotnej modlitwie, czasem w wielkiem strapieniu, nastanie w duszy spokój wielki, przejdzie jakby szum wiatru cichego, z którego Pan przemówił do Eliasza [2]). Co się wtenczas dzieje z duszą i sercem ludzkiem! Gotowo

---

[1]) Język wypowiedzieć nie zdola, Ani pismo wyrazić, Kto doświadczył uwierzyć może, Co znaczy Jezusa miłość (Hymn ś. Bernarda).

[2]) 3. Król. XIX. 12—12.

ono ze ś. Piotrem wołać: Panie dobrze mi tu jest. Rozumie ono wtenczas energię ś. Pawła i za nim drżącemi usty powtarza—„ani ogień, ani miecz, ani głód, ani nagość..." Zazdrości dziewicom z Apokalipsy śpiewającym pieśń wiecznie nową, gdy ono oprócz westchnień i łez i słów urywanych nic wydać nie może. I któż zresztą opisze i wypowie, co dzieje się w duszy ludzkiej, gdy ją Duch Boży podniesie na chwilę i mówi do niej, a ona do Niego „jękami niewymownemi". A jakże wtenczas wygląda to wszystko, za czem p. Orzeszkowa każe żałować swojej ascetce po 12 latach „nadprzyrodzonego" życia? Jużci człowiek miłujący Boga kocha wszystko, co na świecie warto być kochanem, co drogie i święte, ale kocha trochę inaczej, niż ludzie światowi. Gdy słońce wejdzie znikają wszelkie formy niejasne i nieokreślone, wszelkie błędne ogniki, fosforyczne blaski, meteory, komety, gwiazdy nawet - oko widzi tylko słońce i to, co jego światłem oświetlone; tak też gdy miłość Boga kogo oświeci, znikają wszelkie niepewności, nieokreślone uczucia, błędne ogniki i gwiazdy ziemskie – dusza widzi tylko Boga i to, co przed Jego światłem nie znika, ale je przyjmuje i odbija. „Oczy jego", „głos jej", wspomnienia młodzieńczych dziejów schodzą do rozmiarów właściwych. Trzeba czytać zeznania ś. Augustyna, lub ś. Teresy, żeby wiedzieć, jak sobie to potem lek-

ceważyli, jak się wstydzili nawet. A owe wspomnienia balowe, „muślinowe stroje", muzyka, tańce, sale oświetlone *à giorno*, wycieczki i rozmowy, żarty i dowcipy, wszystko to leży w ich pamięci gdzieś w bezdennej głębi, pomięszane z lalkami i konikami dzieciństwa, bo one teraz powtarzają za ś. Pawłem: „Gdym był dziecięciem, mówiłem jako dziecię, rozumiałem jako dziecię, myśliłem jako dziecię. Lecz gdym się stał mężem wyniszczyłem, co było dziecinnego" [1]. P. Orzeszkowa lubi widocznie naturę, wystawia jednak ascetów stroniących od niej i żyjących w wiecznej ciemności, wilgoci, ciasnocie (nie ona jedna zresztą jest tego przekonania). Wspomniałem już, że w rzeczywistości było i jest inaczej, ale przypuśćmy, że tak w samej rzeczy bywa zawsze, to i wtenczas nawet znalazłby się środek osłodzenia tych niewygód. Kiedy bolończycy Enzia, syna Fryderyka II, za próbę ucieczki zamykali na całe życie do podziemnego lochu, pozwolili samotność jego podzielić kobiecie, któraby się na to odważyła. I znalazła się taka odważna, dała się zamknąć w podziemnej izbie i mieszkała w niej lat kilkanaście, aż do śmierci męża. Nie zważała na utratę widoku nieba i ziemi, bo kochała. Czyż p. Orzeszkowa

---

[1]) 1. Cor. XIII. 11.

sądzi, że miłość dla Boga mniej silna, niż dla pięknego mężczyzny? Zaprawdę, kogo od Niego nie oddzieli ani śmierć, ani nagość, ani miecz, ani głód, ten może mniej dbać o piękne widoki, chociaż swoją drogą, gdy je widzi, lubi na nie patrzeć i wielbić Tego, który je stworzył. Otóż, żeby już skończyć z „Ascetką" p. Orzeszkowej, trzeba przyznać, że szanowna autorka malowała ją z pamięci, podług zwykłego szablonu światowego. O życiu wewnętrznem ascetów, o ich zajęciach, charakterze, celu, miłości i szczęściu miała ona takie wyobrażenie, jak Kalpurniusz w Fabioli Wisemana o początku i historyi chrześcijan. „Chrześcijanie, prawił światły filozof pogański, należą do cudzoziemskiej sekty, której założyciel żył kilka wieków temu w Chaldei. Nauka jego przeniesiona była do Rzymu za czasów Wespazyana przez dwóch braci, zwanych Piotr i Paweł. Niektórzy utrzymują, że to ci sami bracia bliźnięta zwani przez żydów Mojżesz i Aaron, z których młodszy kupił od brata prawo pierworodztwa za koźlątko, którego skóra była mu potrzebną na rękawiczki. Nie zaręczam za autentyczność tego, co zapisane w mistycznych księgach żydów, że jeden z tych braci, widząc, że brata ofiary i ptaki dawały szczęśliwsze przepowiednie, niż jego własne, zabił go, jak nasz Romulus zabił Remusa, z tą różnicą, że użył do tego zabójstwa oślej szczęki, za co był

powieszonym przez króla macedońskiego Mardocheusza na szubienicy na 50 stóp wysokiej, za oskarżeniem siostry wspólnej Judyty. Wszakże, gdy Piotr i Paweł przyszli, jak mówiłem, do Rzymu, Piotr był poznany za niewolnika Poncyusza Piłata i za rozkazem pana swego ukrzyżowany na Janiculum idt." [1]). „Ten światły wykład początków chrześcijaństwa, dodaje autor, słuchany był z podziwieniem przez wszystkich gości". — Światłych Kalpurniuszów nie brakuje dotąd i także chciwie są słuchani, to tylko niezmiernie smutna, że nauczyciele i słuchacze wyrzekali się kiedyś przez usta swych chrzestnych rodziców tego pogaństwa, do którego wrócili i tego pana, pod którego chorągiew znowu się zaciągnęli!

Kiedy mowa o miłości Boga wśród ascetów, nie sposób opuścić miłości ich ku bliźnim swoim nietylko dla tego, że obie te miłości zostają w najściślejszym z sobą związku, ale i dla tego także, że wśród ludzi świeckich, wśród braci zwłaszcza literacko-artystycznej, najcudaczniejsze pod tym względem panują wyobrażenia. Asceci podług nich, to oschłe, cierpkie, jak zakonnica Orzeszkowej, odludki, to wyrodni synowie społeczeństwa, którzy samolubnie zerwali swoje względem niego obowiązki,

---

[1]) Fabiola rozdz. VI.

stąd też wieczny zarzut przeciwko nim, że nie mają miłości bliźniego, że żyją tylko dla siebie, że porzucili świat, gdzie każdy żyje jakoby dla bliźniego swego. Tak mówią wśród świata; kiedy jednak ktoś świadom rzeczy porównywa miłość ku bliźnim ascetów i ich oszczerców mniej więcej postępowych i liberalnych, pierś jego wzbiera tem samem uczuciem niewypowiedzianego oburzenia, które wybuchnęło z serca nieszczęśliwej Maryi Antoniny sławnym na zawsze protestem, gdy ją oskarżano o psucie własnych dzieci. Ciekawą niezmiernie rzeczą byłaby dokładna analiza i określenie miłości bliźniego wśród przeciwników chrześcijańskiej pobożności i ascetyzmu. Nie podejmuję się tego zbyt obszernego zadania, lecz poprzestanę na kilku tylko uwagach. Nie da się zaprzeczyć, że jak za czasów panującego poganizmu, już w II wieku naszej ery, pojęcia o miłości bliźniego z pomiędzy chrześcijan przechodziły nietylko do pogan, ale nawet do prawodawstwa rzymskiego, tak i teraz nie sposób było uchronić się najzawziętszym nawet wrogom naszym od pewnego wpływu chrześcijańskiej pod tym względem doktryny i praktyki; to też najzacieklejsi przeciwnicy nauki Chrystusowej wywieszają sztandary z hasłem miłości bliźniego, tylko że ją przechścili szkaradnem nazwiskiem *altruizmu*. Co prawda dziwoląg ten pozostaje w dziedzinie teoryi, a w praktyce światowej czem jest

miłość bliźniego? Nie pomylę się bardzo, jeśli powiem, że niezmierna większość ludzi w praktyce życiowej tyle się troszczy o miłość bliźniego i o wymagane tak srodze od ascetów obowiązki względem ludzkości, co o mieszkańców księżyca lub Jowisza. Jużci, w chwilach groźnych a stanowczych, budzą się w sercach lepszych i wyższych uczucia litości, ofiarności, czasami nawet poświęcenia dla ogółu—zwykle jednak, w codziennem życiu, za obrębem wierzących i ze świadomością pobożnych ludzi, każdy żyje dla siebie i swojej rodziny, kocha swoją żonę, dzieci, rodziców, kocha czasami przyjaciół, lubi tych, którzy mu się podobają, czasami tych, którzy mu coś dobrego zrobili, słowem przez miłość bliźniego ludzie światowi rozumieją czysto przyrodzone, do pewnego stopnia wspólne ze zwierzętami, uczucie przywiązania do bliskich sobie ludzi przez związki krwi, przez przyzwyczajenie itp. względy, a objawiające się zwykle przez namiętne wybuchy i uniesienia, ściskania, pocałunki, pieszczoty, częste odwiedziny, długie gawędy i szczebiotanie, rzadziej przez poświęcenie w nieszczęściu, opiekę w chorobie, wsparcie groszem i pracą własną. U ascetów nie widzi się objawów czułości, więc się im odmawia miłości bliźniego, więc się im czyni najdziwniejsze zarzuty i zaprzecza tytułów, do których zdobyli najświętsze prawo pracą całego życia, poświęceniem, o ja-

kiem świat nie ma pojęcia, ofiarą mienia, zdrowia i życia. Nie mogę pominąć tu milczeniem jednego z wielu podobnych wybryków, który, już dawno temu, utkwił w mej pamięci, jak cierń, a który dziś wydobywam i kładę przed czytelnikiem, jako ciekawy okaz zarozumiałości, niesprawiedliwości i nieuctwa przeciwników Chrystusowej nauki i jej wyznawców. Było to przed laty kilkunastu (1875 r.). Warszawa utrzymywała wtedy nigdy niegasnący znicz na ołtarzu czystej, ścisłej, bezwyznaniowej nauki i wyrabiano tam tej wiedzy takie mnóstwo, że nad grodem Syreny unosił się stale opar mądrości, który nam, zdala patrzącym, wydawał się dziwnie podobnym do mieniącej się chmury, z samych baniek mydlanych złożonej. W tym to czasie, znana ze swych liberalnych przekonań autorka, p. Eliza Orzeszkowa wystąpiła w ratuszu warszawskim z prelekcyą publiczną w której prawiła „o wpływie wiedzy na rozwój miłosierdzia". Oczywiście, przy hucznych oklaskach słuchaczy, pokazało się, że pierwsza dla miłosierdzia zrobiła wszystko, a chrześcijańska miłość nietylko nic nie zrobiła, ale jeszcze zaszkodziła, bo nauka kościoła miała sprowadzić „różnokolorowe ptaki fantazyi", wskutek czego obłąkanych traktowano po barbarzyńsku, palono czarownice itp. Stawianie podobnej tezy dowodzi z jednej strony, że p. Orzeszkowa nie dość dobrze znała wtedy Warszawę, i dekla

mując przeciw chrześcijańskiej miłości ani się domyślała, że czyni to właśnie wśród trzech przybytków dla cierpiących przez tęż miłość wzniesionych, z drugiej zaś strony, że lepiejby była zrobiła, gdyby po dawnemu pisała powieści o dziwnie doskonałych i szlachetnych żydach, mieszkających gdzieś za bajeczną rzeką Sambatie [1]), ale nie brała się do rzeczy naukowych, dla jakich brakło jej kompetencyi. W rzeczy samej, już samo postawienie tematu rozprawy jest wadliwe, bo, innemi słowy, jest to to samo co dochodzić, czy ludziom więcej pomogło narzędzie chirurgiczne, czy ręka chirurga? Komuż nie wiadomo, że prawdziwa miłość nie będzie stała z założonemi rękoma, ale postara się i o wiedzę i o wszelkie środki potrzebne, zdobędzie się na czyny, o jakich najmędrszym ludziom ani się śniło, gdy tymczasem wiedza bez miłości tyle tylko zrobi—ile jej zapłacą. Trzebaż tego dowodzić? Nic łatwiejszego, bo przykładów można przytoczyć nie setki i tysiące, ale miliony i tysiące milionów. Ten sam św. Paweł, który tak dobrze określił naturę miłości, po całym świecie zbierał jałmużny dla nawiedzonych głodem żydów i sam ją zaniósł, choć oni go zabić chcieli

---

[1]) Za tą rzeką mają mieszkać, podług wierzeń żydowskich, Sabatejczycy, pochodzący wprost od Mojżesza.

i Rzymianom wydali. Św. Paulin, biskup z Noli, na naukach ścisłych nie znał się podobno wcale, ale, gdy już wszystko swoje i kościelne oddał na wykup jeńców, sam oddał się do niewoli barbarzyńcom, by z niej syna ubogiej wdowy wyzwolić. Św. Leon, miłością naglony, po dwakroć piersią bezbronną osłonił miasto swoje od najsroższych najezdców. Święci Feliks Valois i Jan z Matty, nie znając chemii ni anatomii, założyli owo słynne i święte zgromadzenie Śś. Trójcy od wykupowania niewolników, a któż opowie, ile zrobili dobrego, ile złego przenieśli? Oto kilka wierszy wyjętych ze starej trynitarskiej książki: „Sam święty nasz protoplasta, powiada jej autor, doświadczył na sobie, co synowie jego będą musieli przenieść i co ich oczekuje. Ten bowiem... przybył do Afryki, do Tunisu. Przyjazd jego był dla jeńców powodem wielkiej radości... zaraz bowiem zaczął zwiedzać więzienia, zbierać więźniów, z panami ich o wykup się układać... ale gdy już 220 więźniów wykupił, miłość jego okazała się większą niż fundusze; pozostawali więźniowie, nie było pieniędzy, ani środka wykupienia... Święty wybawca sam siebie oddaje w zastaw, ale skąpi Agareńczycy, wpadłszy w furyą, powiadają, że im takiej monety nie potrzeba... napadają na niego, jako na oszusta, a zwlokłszy z sukień srodze go obili i napoły umarłego i bez tchu zostawili... Rok

1224, gdy OO. Robert Victorianus i Korneliusz Anglicy usiłowali w Algierze wyzwolić chrześcijan z więzień niewiernych, barbarzyńcy im gardła przerżnęli. Nie wiele później, bo 1231 r., dwaj naszego zakonu Ojcowie Galevanus da Perilas i Piotr Dalmao z klasztoru Illerdeńskiego, gdy bardzo wielu w Algierze wykupili nieszczęśliwych i już powracali, napadnięci przez Maurów i pojmani wraz z więźniami w morzu potopieni są" [1]). I takie martyrologium ciągnie się bardzo długo. Miłość to ascetyczna powznosiła niezliczone szpitale, domy dla pielgrzymów, przytułki dla starców, sierot, podrzutków; ona wzbudziła zakony i zgromadzenia opiekujące się pielgrzymami, budujące mosty, uczące bezpłatnie dzieci zaniedbane, że wspomnę tylko znanego dziś powszechnie księdza Bosco. Tą miłością nauczony Św. Wincenty a Paulo umiał sam jeden karmić dwie prowincye całe, niszczone wojną, założył kilka zgromadzeń dla opiekowania się różnego rodzaju nędzami ludzkiemi, a wśród dzieł jego dotąd jedno świeci najczystszym i niezrównanym blaskiem tj. Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia, zwanych u nas Szarytkami. A ileż to imion jaśnieje przed nim i po nim i obok nie-

---

[1]) *Triumphus misericordiae etc. aucthore I. F. Joanne a S. Felice Viennae Austriae 1704*

go! Opiekunowie obłąkanych Św. Jan Boży i Jan de Wier, nauczyciel głuchoniemych ks. de l'Epée, obrońcy nieszczęśliwych czarownic głośnej sławy księża Fryderyk Spee, Korneli Loos i Tanner. Nie wiem, czy bardzo był biegłym w medycynie, skromny i nikomu dawniej nieznany zakonnik, gdy obrał sobie za cel życia trędowatych na wyspie Molokai. Jak dzisiaj wiadomo przy pomocy kilku zakonników i zakonnic zrobił on tam to, czego dotąd nie uczynił żaden bezwyznaniowy fakultet medycyny. Wątpię także, czy znała się na ekwiwalentach chemicznych i na kosmicznej fizyce ta biedna siostra zakonna, która przed kilku laty prowadziła przez ulice Paryża długi szereg dziewcząteк z jakiejś szkółki zakonnej; wtem rzucił się na nie pies wściekły; nikt z walecznych *bourgeois* na pomoc nie przyszedł, ale bezbronna *ascetka* (jakże inna od niesmacznej karykatury Orzeszkowej) rzuciła się na rozszalałe zwierzę i pozwoliła mu kąsać siebie tak długo, aż się dzieci pokryły... w kilka dni potem zmarła w męczarniach. Albo ten znowu przykład, przed dwoma laty w pismach ogłoszony: dla uratowania dziecka, w jednym ze szpitali paryzkich, siostra Cecylia pozwoliła sobie wykroić z ręki tyle żywego ciała, ile go było potrzeba dla pokrycia rany na ręku czy ramieniu dziecięcia. O święte i szlachetne niewiasty, jakże niezmiernie lepsze, mędrsze i wyższe jeste-

ście od tych siostr waszych, co wiary nie znają i was nie rozumieją, a czernią i wyszydzają! Jedno uderzenie waszego kochającego serca więcej warto, niż ich życie całe, w ciągu którego napisały książek wiele, ale nie o jednej z nich powiedzieć można, co w satyrze Brambeusa Lucyper mówił o czyjejś transcendentalnej fizyce: „zatkajcie nią tę szparę—żaden promień światła przez nią się nie przedrze" [1]). Wielki poeta zapytywał niegdyś, czy jest jeszcze jedno serce niewieście szlachetne i za to prześladowane, kochające i niepoznane i jeśli jest to mu swój utwór ofiaruje,—śmiało powiedzieć można, że jeśli jest jeszcze i póki będzie gdzie jedno choćby serce szlachetne, to w niem każdy z tych chrześcijańskich, jawnych czy ukrytych miłośników bliźniego tryumf swój święcić będzie; wszakże zupełnym i całkowitym będzie on dopiero w dniu onym, gdy sędzia wszystkich ludzi powie do nich: „łaknąłem, a daliście mi jeść, pragnąłem a napoiliście mnie, byłem gościem a przyjęliście mnie, nagim a przyodzialiście mnie, chorym a nawiedziliście mnie, byłem w więzieniu a przyszliście do mnie" [2]).

---

[1]) Brambeus (Sękowski). „Wielkie posłuchanie u Lucypera". Mowa tu o szparze, która się zrobiła w sklepieniu piekielnem i przepuszczała światło słoneczne, ku utrapieniu oczu książęcia ciemności.

[2]) Mat. XXV. 35, 36.

Gdy w taki sposób pojmują i praktykują miłość w świecie ascetów, cóż dla braci swoich czynią dobrego w świecie zwolenników *czystej wiedzy i nauki?* Robią bardzo wiele: miewają odczyty, urządzają tańcujące zabawy, no, i pani Konopnicka Marya radzi, żeby dla biedaków bez dachu i chleba kościoły w dzień i w nocy stały otworem! Bądźmy jednak sprawiedliwymi i mówmy bez ironii. Renan kiedyś bardzo trafnie powiedział (nie zawsze mu się to zdarzało): „Został nam jeszcze rdzeń moralny dawnej wiary, choć porzuciliśmy jej kajdany. Bez naszej wiedzy zawdzięczamy bardzo często tym odepchniętym zasadom resztki naszej cnoty. Żyjemy cieniem, wonią pustego naczynia. Po nas będą ludzie żyli cieniem cienia co mi się zbyt lekką wydaje potrawą" [1]). Innemi słowy wychodzi to na to, com wyżej powiedział, że nawet przeciwnicy chrześcijanizmu, żyjąc wśród chrześcijan, wpływowi ich obyczajów i nauki ulegają. Dlatego wielu wyzutych już z wiary ma jednak niektóre wniesione przez nią dobre uczucia i porywy, dlatego niejeden bezwyznaniowiec praktykuje wcale nieźle miłosierdzie i miłość bliźniego, choć się do heroizmu nie wzniesie. Jednak, im dalej od słoń-

---

[1]) Cyt. Jeske Choiński w art. „Doktryna o nadludziach".

ca, tem mniej światła, im bardziej kto się w świat bezwyznaniowej wiedzy pogrąża, tem mniej go miłość bliźniego obchodzi, aż w końcu, gdy przesiąknie zupełnie *czystą* wiedzą, wtenczas w dziedzinie filozofii wykwitnie mu ona jako system Nietschego, nazywający wyzyskiwanie słabych przez mocnych rzeczą zupełnie dobrą, naturalną, etyką „nadludzi"; w świecie poezyi uwydatni się wstrętem do ubóstwa i ubogich, jak u dekadentów; w świecie praktycznym— prusko liberalnem „*Faust vor Recht*". W życiu codziennem spotykamy dość często taką wiedzę i wiemy czego ona warta—dla ludzi niemających czem płacić. Ów lekarz, który zdrowej dziewczynie *dla nauki* zaszczepił raka, bezwątpienia hołdował czystej wiedzy bez miłości; takąż wiedzę posiadał głośny chirurg, który mnie przyjął, bom kilka rubli za bilet zapłacił, ale mi mówiono, że ubogi mógł umrzeć przed jego drzwiami. Opowiadał mi naoczny świadek, że słyszał w wagonie głośnego specyalistę, opowiadającego z oburzeniem, że w miasteczku, dokąd za grubą zapłatę był wezwany, obległ go taki tłum jego ubogich współwyznawców żydów, chcących leczyć się „bezpłatnie", że musiał wezwać policyą, by rozpędziła to „łajdactwo". Gazety ogłosiły, że w Wiedniu, w czasie cholery 1892 r, na 2000 z górą lekarzy, zaledwo 42 zgodziło się leczyć ubogich bezpłatnie. Nie potrzeba więcej przytaczać przy-

kładów, bo każdy, przypatrzywszy się bliżej, z łatwością przekonać się może, jak mały zakres działalności obejmuje na świecie tak sławiona miłość blizniego; rozciąga się ona zwykle do swoich najbliższych, a objawia się nietylko w taki sposób o jakim wyżej mówiłem, nietylko czasami poświęceniem siebie, ale, niestety, często bardzo poświęceniem drugich dla dobra swoich. Otóż ten ciasny zakres miłości z jednej strony, a z drugiej sposób okazywania jej, sprawiają, że ludzie niepojmujący i nieznający ascetów pomawiają ich o brak cnoty, którą oni celują, tylko, że jest ona u nich inną i inaczej bywa praktykowaną. Miłość chrześcijańska bliźniego jest koniecznem następstwem i dopełnieniem miłości Boga, dla tej prostej racyi, że kto miłuje światło, ten je miłuje nietylko w źródle jego i ognisku, ale i w odblasku i odbiciu. Chrześcijanin, asceta tembardziej, kocha Boga, a ponieważ każdy człowiek jest stworzonym na obraz i podobieństwo Jego, ponieważ jest albo być może, jak długo żyje, uczestnikiem nadprzyrodzonego życia łaski, ponieważ wszyscy są współdziedzicami królestwa niebieskiego, braćmi w Chrystusie Jezusie i synami jednego Ojca Niebieskiego, ponieważ ten Ojciec nadto chce, żebyśmy się wszyscy w Nim i dla Niego wzajemnie miłowali, więc człowiek pobożny prawdziwie kocha wszystkich bliźnich swoich w Bogu i dla Boga. Nie mogę tu dłu-

żej nad naturą takiej miłości rozszerzać się, powiem tylko, że o ile jest cnotą nadprzyrodzoną, ma ona swe źródło w łasce Boskiej, o ile zaś uważaną będzie ze strony ludzkiej tylko, jest skutkiem rozumu i woli, jest więc o tyle wyższą (choćbyśmy ją tylko jako czyn czysto ludzki uważali) od każdej miłości przyrodzonej, powstającej w nas mimo naszej wiedzy i woli, o ile każdy czyn dobry, spełniony ze świadomością i dobrą wolą, wyższym jest od bezwiednych i bezwolnych uczuć i postępków. Ponieważ miłość taka jest inną, bez porównania wyższą, więc też i objawia się w inny, bardziej męzki i dojrzały sposób, niż zwykła rodzinna, czy jaka inna miłość przyrodzona. Jak każdy świecki człowiek, gdy postarzeje, chociaż zawsze kocha rodzinę, nie okazuje tego w taki sposób, jak w latach młodości, tak, tembardziej, poważny asceta nie może i nie powinien naśladować tych rozpieszczonych miłośników, coby chcieli życie przemarzyć „w jednym długim uścisku lub pocałunku". Asceta dba najpierwej o dobro wyższego rodzaju, o którem dzieci świata zbyt często zapominają — o dobro duszy bliźniego - to pierwszy przedmiot jego troski, dobro ciała idzie po tem, a że przytem mniej się mówi, że się czasu nie traci na gawędy, że asceta umie się powstrzymać w wybuchach uczuć swoich, to tylko na pochwałę jego przemawia. Któż z nas nie wolałby mniej

trochę oświadczeń przyjaźni, uścisków, słów słodkich, a więcej czynów, gdy pora ich nadejdzie?

To, co się wyżej rzekło, tłumaczy nam jeszcze jeden objaw w stosunkach ascetów ze światem, który szczególnie ludzi drażni, tj. unikanie towarzystw i bardzo wstrzemięźliwe stosunki z rodziną; przytaczają nawet nieraz z goryczą przykłady świętych, zwłaszcza ascetów pierwszych wieków na wschodzie, którzy nie chcieli zgoła widzieć, czasem ani mówić z najbliższymi krewnymi, którzy do nich zdaleka bardzo przyszli. Tu właśnie zastosować trzeba znany wiersz Goethego: „*Wer den Dichter will verstehen — Muss in Dichters Lande gehen*". Święci i asceci bynajmniej nie są, jak się zwykle mniema, na jeden model ulanymi ludźmi, każdy z nich ma swój własny charakter, ulega wpływom i obyczajom, musi się stosować do potrzeb swego czasu i kraju, trzebaby więc te wszystkie okoliczności poznać i rozważyć, by należycie ocenić ich postępowanie, nieraz szorstkie napozór względem swych krewnych. Najważniejsza jednak bodaj racya tego będzie, że nie chcieli oni bez rzeczywistej potrzeby narażać się na niebezpieczeństwo i nie chcieli bez dostatecznego powodu zstępować z wyżyn na niziny. Jakież niebezpieczeństwo może być w stosunkach rodzinnych? Bywa, i niemałe nawet; nie mówię tu o jakichś podej-

rzanej natury stosunkach, ale o tym duchu świata, który sobie w najlepsze wśród uczciwych nawet skądinąd rodzin prosperuje. Jakże często wśród naszych krewnych lub blizkich spotkać się można z przekonaniami, że stan kapłański jest *dobrym kawałkiem chleba*, że kościelne stosunki i instytucye służyć bardzo dobrze mogą dla wyniesienia swej rodziny, że obowiązki względem Boga powinny ustępować miejsca ludzkim względom, a cóż to się działo w owe czasy, wśród rodzin niedawno wyszłych z pogaństwa, często w niem jeszcze pogrążonych? Jeśli teraz zakony i instytucye duchowne jaknajrzadziej i niechętnie puszczają do świata swą młodzież, jeśli starsi idą do niego tylko przez miłość bliźniego, bo niewiele ze światem mają już wspólnego, to tem łatwiej zrozumieć postępowanie ascetów z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Nieraz znowu nie chcieli oni zstępować z wyższego szczebla na niższy, bez prawdziwej potrzeby, raczej konieczności, a pogawędzenie przez godzinę z kimś ze swoich i uściskanie się kilkakrotne tylko dla przyjemności uważali oni za rzecz nieodpowiednią i niepotrzebną, bo byli większemi sprawami zajęci. Tak urzędnik „na służbie", żołnierz na szyldwachu lub we froncie nie zna nikogo, ani ojca, ani matki, tylko obowiązek, jaki w tej chwili spełnia. Jeśli tych pojmujemy, zrozumiejmy i ascetów, spełniających obowiązek bez

porównania wyższy, świętszy i zbawienniejszy— służbę Bożą, zbawienie własne i dobro przeważnie *dusz* ludzkich.

Były rzeczy i wypadki, byli ludzie wreszcie, których już dawno nie stało, ale nad ich pamięcią dotąd świeci aureola niezgasła, o.acza ich blask jakiś szczególny i wskazuje ciągle oczom potomności, niby światła, co się unosiły nad utopionym Czech męczennikiem; a nie tylko wskazuje, lecz także ciągnie ku nim serca i rozpłomienia umysł, bo na te przedmioty i wypadki rzuciła swą jasność poezya, bo ona to przedziwnym urokiem otoczyła te dawno zamarłe postaci. Do takich pięknem poetycznem jaśniejących ludzi należy przedewszystkiem za liczyć ascetów i świętych. Czuję, że twierdzenie moje mocno Coquelet'a oburzy. Cóż bo znowu, powie, utrzymujecie, że są szczęśliwi— niech sobie będą zresztą, ale co wspólnego mają z poezyą te suche, smutne, milczące i wymęczone indywidua? Czasami, co prawda, pięknie odbija stary pustelnik z siwą brodą, gdy, jak w Oberonie, daje schronienie kochającej się parze, ale w rzeczywistości... prawdziwa poezya dla mnie to młodość, wesołość, piękność, wreszcie choćby... *Wein, Weib und Gesang*. Już to muszę przyznać, że chociaż wojowniczością nie odznaczam się wcale, nigdy nie mogłem zgodzić się z Coquelet'ami, bo każdy z nas co innego o tej samej rzeczy rozumiał;

tak też dzieje się i z pojmowaniem poezyi. Co o niej sądzą inni, mniej mnie w tej chwili obchodzi, natomiast muszę się wytłumaczyć z tego, co ja o niej myślę. Więc najpierw zapewniam, że ją sobie wielce cenię i ważę i nieraz do niej stosuję słowa Krasińskiego: „Gwiazdy w około twojej głowy—pod twojemi nogami fale morza - na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły—co ujrzysz jest twojem—brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą—niebo jest twojem—chwale twojej niby nic nie zrówna". Tak, wszystko do poezyi należy, bo mówiąc o niej mam na myśli nie tylko tę, której szatą słowo, ale i tę, która bije z rzeźby i malowidła, tkwi w formach architektonicznych, brzmi w dźwiękach muzyki, która zaklęta w naturze całej lub jej cząstkach, która złotą rzuca poświatę na ludzi i ich czynności: wszędzie spotkać można poezyę. Poetyczną jest spokojna łąka, kwieciem różnobarwnem ubrana, cichy strumyk szemrzący gdzieś w leśnej ustroni i poetycznem jest także gwałtowny strumień górski, i burza, co do ziemi drzew korony zgina, i morze, ku niebu rzucające bałwany: pełno poezyi w cichem gniazdku rodzinnem, ale pełno jej także w mężach żelaznych, gdy biegną do boju, aż ziemia drży pod ich stopami, a potem giną samotni na polach nie swoich, śląc ostatnie westchnienia ku dalekiej stronie i ludziom dalekim. Czemże więc

jest ta poezya, a raczej słuszniej może, czem jest poetyczność? Czem dla świata fizycznego i oczu ciała jest promień słoneczny, tem dla świata duchowego są promienie innego słońca—ideału.

Przedmioty tem słońcem oświecone zaraz inaczej się nam przedstawiają i na fantazyi naszej czynią specyalne, a jedno z najprzyjemniejszych i najmilszych wrażeń. Ideałem zaś jest dla nas największe dobro, piękno i prawda; wszystko więc, co zaświeci jedną z tych trzech jasności, będzie oświecone światłem poezyi, będzie poetycznem. Poetycznym więc będzie kwiat piękny, cichy strumyk, spokojna i uczciwa starość, niewinna młodość, bo w tem wszystkiem odkryjemy piękno, które się nam podoba, spokój i szczęście, które jest dobrem; poetycznym nam się wyda mężny żołnierz, wzburzone morze, silna burza, bo piękną i dobrą jest rzeczą męztwo i poświęcenie, bo w morzu i burzy dostrzegamy potęgę i siłę, która jest dobrą i piękną itd. Jak więc potrójny promień słońca jest światłem dla ziemi, tak potrójny, jeśli tak mówić można, promień Ideału: dobro, prawda, piękno, jest światłem ducha—jest poezyą.

Otóż są ludzie, czy przedmioty, mające w sobie samych tę własność poetyczną, to światło ideału, są też inni ludzie, którzy mają dar rzucania takiej poetycznej poświaty na

wszystko, mają moc podnoszenia przedmiotów zwykłych, poziomych ku ideałowi—to artyści — poeci. Wielki to i szczytny przywilej artystów, że mogą na co im się podoba rzucić światło poezyi—ale dla tego potrzeba, żeby sami w ideał wierzyli i dążyli do niego. W czasach, gdy ludzie przestaną szukać czegoś wyższego i lepszego nad ziemię; gdy istniejący na niej porządek rzeczy uznają za alfę i omegę wszystkiego, przestaną artyści szukać ideału, a hasłem ich będzie „sztuka jest naśladownictwem natury widzianej przez pryzmat indywidualności artysty". Nie będą już dzieł swoich oświecali poezyą, jak prawdziwi artyści, lecz poprzestaną na kopiowaniu natury, jak fotografowie. Właśnie za naszych czasów kierunek ten, na zachodzie przynajmniej, panuje w sztuce wszechwładnie. Niektórzy cieszą się z tego i tryumfują; smutne to tryumfy, bo tylko chore oczy mogą się radować, gdy słońce zajdzie i świecić przestanie. Wracam jednak do rzeczy.

Artysta prawdziwy może poruszyć naszę wyobraźnię, a za nią i inne władze duszy, i wywołać w niej wrażenie poetyczne za pomocą przedmiotów, postawionych odpowiednio potrzebie i naturze ich w świetle poetycznem, albo też odtwarzając umiejętnie przedmiot z natury swej poetyczny; takimi właśnie są asceci, będący najwyższem wśród ludzi uosobieniem piękna moralnego. Sądzę też, że wśród asce-

tów znaleźć można poezyę wszelkiego rodzaju, upoetyzowane wszelkie warunki ludzkiego bytu, wszelkie walki i uczucia, tylko, że są one różne od światowych walk i uczuć, bo się przeobrażają pod wpływem życia nadprzyrodzonego i nabierają innego charakteru. Jeśli można użyć tu porównania wziętego z muzyki, to poezyę ascetów i świętych przyrównałbym do głosu organów. Bez zaprzeczenia piękny jest fortepian, ale (na mnie przynajmniej) robi wrażenie jakby suchości i sztywności salonowej dobrze wychowanych ludzi. Skrzypce nadają się wybornie do sentymentalnych, lirycznych rzeczy, wiolonczella przypomina uczucia tajone gdzieś w głębi namiętnych poetycznych natur, flet znowu wiejską prostotę i sceny sielankowe, i tak każdy instrument ma swój odcień, swój charakter, czasem bardzo piękny, ale zupełnie różny od tonów organu głębokich, rzewnych, silnych, ale zawsze odznaczających się jakąś trzeźwością, brakiem sentymentalności, lecz za to głębią religijnego namaszczenia, na jakie żaden inny instrument się nie zdobędzie – chyba żywy głos ludzki.

Niezbyt dawno, będąc w Lucernie, wszedłem do miejscowej fary. Słońce blizkie zachodu przeświecało przez kolorowe szyby, ale w górze pod wysokiemi sklepieniami panował mrok tajemniczy. Kilkadziesiąt osób siedziało w milczeniu, czekając na rozpoczęcie koncer-

tu [1]). Jakoż za chwilę odezwały się organy. Przyznaję, że taki instrument i takiego organistę pierwszy raz słyszałem, więc słuchałem pilnie, tem bardziej, że sztuki umyślnie widocznie były tak dobrane, by dać poznać całą rozmaitość regestrów. I oto rozbrzmiała melodya jędrna a prosta, niby życie ludzi zdrowych i wierzących, którzy przeszli przez ziemię z różańcem w jednem ręku, a pługiem w drugiem. Czasami słyszałem głosy mnichów, nucących w chórze antyfony gregoryańskie, czasami śpiew ludu, niby nasze „Święty Boże", napełniał nawy świątyni. Potem znowu co innego — Ave Maria, jednego z nowszych muzyków. Modlitwa *solo* rozpłynęła się w akordach coraz cichszych, łagodniejszych - słychać wreszcie jakieś dźwięki tajemnicze, jakieś szepty i tchnienia mistyczne—odezwała się *vox humana* z akompaniamentem skrzypiec, violi i niewiem jakich już instrumentów. Złudzenie było zupełne. Zdało się, że to święte dziewice Flandrin'a zstąpiły ze swego fryzu [2]) i ciągną w tryumfie ku niebu i nucą hymn anielski, tylko że

[1]) Dla zadość uczynienia licznym żądaniom przyjezdnych, chcących słyszeć organy, pierwsze podobno w całej Szwajcaryi po fryburskich, zarząd kościelny pozwala latem na dawanie koncertów od 6 do 7 wieczorem. Odbywają się one zresztą najprzyzwoiciej.

[2]) W kościele Ś. Wincentego a Paulo w Paryżu.

grzeszne ucho słów jego rozróżnić nie może Nuciły coraz ciszej i znikły w przestrzeni. Po chwili odezwała się jakaś dziwna „fantazya" wszystkie regestry były w robocie, wzbudzając zachwyt i podziw—jeśli nie zawsze dla utworu, to dla organów zawsze. Słyszymy pastorałkę; pastuszkowie grają na fletni—czasami głosy cichną tak, że ledwo je ucho odróżnić zdoła i zdaje się, że to szmer owadów, igrających wysoko, a przybywają do nich coraz inne a inne, krzyżując głosy w osobliwszy sposób, a zawsze z przedziwną czystością i jasnością. Przypominał się koncert owadów z Pana Tadeusza, tylko że nie było „fałszywego półtonu komarów". Aż oto zrywa się burza, wiatr gwałtowny uderza o kościelne okna, grzmi, i piorun bije po piorunie, a mistrz po klawiszach przebiega z taką szybkością i tak dziwne wydobywa dźwięki, że zda się widzisz zygzaki błyskawic. Biedne pastuszki uderzają w modlitwę, ale ją głuszą piorunowe akordy, a jeszcze więcej bas potężny, tło tych akordów stanowiący. Myślisz, że to chyba ziemia rozdarła się do głębi i ztamtąd grzmi ten głos straszliwy, od którego filary zdają się dygotać jak trzcina od wiatru, a okna trzęsą się niby liście osiki. Nie umiem znaleźć porównania dla tej mocy i tego majestatu, bo żaden inny instrument nie da o nim wyobrażenia.

Przed kilku laty bawiłem w Karlsbadzie i w jakimś ogrodzie słuchałem koncertu dwóch muzyk wojskowych. Orkiestry wojskowe austryackie mają sławę ustaloną, grały też wybornie i słuchałem z przyjemnością. Naraz odzywa się raźno wojenna pobudka. Zaczęła się odrazu z wielką fantazyą i mocą. Po niejakim jednak czasie tempo zaczyna być coraz bardziej *presto* a tony coraz bardziej *forte*. Nie ulega wątpliwości, to kawalerya rzuciła się do ataku i pędzi niby lawina z góry. Pancerni czy ułani, mniejsza o to, widzimy ich, jak lecą cwałem przez pola i błonia; brzęczą szable, furkają chorągiewki, tętnią konie, grzmią salwy armatnie coraz częściej i mocniej, a oni lecą niepowstrzymani i na śmierć niebaczni. Słuchacze spoglądają na siebie rozszerzonemi nerwowo źrenicami, jakby pytając, co to z tego będzie, i niejednemu z nich może wydało się, że i on tam, niby Witold w Grunwaldzie Matejki, pędzi po błoniu z ogniem w oczach, z żelazem w ręku... Zetknęli się w końcu. Trąby zawrzały ze wszystkich sił, bębny i kotły napełniły ogród i okolice niesłychanym hałasem, ryknęły puzony, zagrzmiały grancassy i zdało się, że liście powinny się były z drzew posypać a kamienie ze skał okolicznych pospadać, i mimowoli człowiek za głowę się schwycił, czy ona przynajmniej w tej ruinie na miejscu została.

Wrażenie było piorunujące, ale nie można go porównać nawet do basu, który brzmiał w kościele w Lucernie. Przypominał on chyba głos trąby archanioła na sąd ostatni wzywającego, przychodził mi nawet na myśl tekst proroka „Pan zaryczy z Sionu" [1]), ciarki chodziły za skórą i słuchałem go z jeremiaszowem „a, a, a" na ustach. Po krótkiej przerwie znane a żałobne akordy odezwały się z chóru. Wsłuchuję się i widzę, jak ciągną powoli tłumy w żałobie z pochylonemi głowami, niosą świece woskowe i milczą. Muzyka gra marsz żałobny, a na dalekiej wieży kościelnej kołysze się dzwon potężny i uderza w obie strony raz po raz. Stanęli wszyscy, dzwon umilkł, a odezwał się śpiew znany chyba po świecie całym. Słyszałem go nie wiem już ile razy, ale najpiękniej wykonany na najlepszym fortepianie, nie dawał wyobrażenia o tym śpiewie organowym. Gdzieś między ziemią a niebem w tajemniczym kolorowym półmroku płakała dusza, zaklęta czy zatrzymana na chwilę w swym locie. Łkała i zanosiła się od płaczu i nuciła pieśń bezbrzeżnej i bezdennej żałości, a prześpiewawszy raz, wracała znowu do swojej zwrotki, jak człowiek, co biada nad straconem szczęściem. Słuchaliśmy też bez tchu i ruchu.

---

[1]) Amos. 1.

Znowu odezwała się muzyka, zabrzmiały minorowe akordy. Kondukt żałobny poruszył się także. Idą coraz dalej, grają coraz ciszej. Już wszystko znikło, już cicho zupełnie, a słuchacze jeszcze siedzą i jeszcze im brzmi w duszy dzwon, muzyka i śpiew i budzą smutek drzemiący w głębi serca.

Otóż jak utwory muzyczne nawet świeckiej treści zupełnie przemieniły się w grze na organach, tak poezya nabiera innej wcale cechy i charakteru, gdy się w świętych objawia. Ma ona mniej sentymentalności (może nawet zupełnie jej niema), mniej wyszukane formy, mniej świetną powierzchowność, ale za to więcej męskości, siły, głębokości, a nadewszystko więcej prawdy. Tam niema czczych frazesów i pięknie brzmiących słówek. A powtarzam, można wśród ascetów znaleźć wszystkie rodzaje poezyi, satyrę chyba tylko wyjąwszy. Do najpoważniejszego rodzaju poezyi należą obrazy walk ludzkich. Bohaterskie wojny pod murami Troi dotąd zachwycają wszystkich; każda pierś młoda przejmuje się entuzyazmem dla obrońców termopilskiego wąwozu. Lubimy śledzić za zmianami losu, wysiłkami woli i energii, a wszystkie postaci, które się w walkach, zwłaszcza za sprawę szlachetną, odznaczyły, otacza aureola poezyi, choć je nie zawsze poeci opiewali. Achilles i Hektor, obrońcy Grecyi od najścia Persów, Cyd Campeador i Pelagiusz,

Karol Wielki, Godfryd de Bouillon, Sobieski, Andrzej Hofer, Mohort i Cabecille hiszpańscy z 1807 r. w wysokim stopniu poetyczni, bo są uosobieniem przymiotów najpiękniejszych—męstwa, poświęcenia, miłości prawdy i dobra. Otóż śmiem twierdzić, że dzieje ascetów nastręczają nam tysiące przedmiotów poetycznych dla tych samych przyczyn; można to powiedzieć o wszystkich naogół ascetach, ale przeważnie już o męczennikach.

Jakie bo też tam spotykamy zdumiewające objawy męstwa, miłości, poświęcenia, heroizmu, przewyższającego wszystko, na co człowiek zdobyć się może! Zważmy bowiem, że to nie są ludzie idący wprawdzie na śmierć, ale i zadający ją drugim—te miliony mężczyzn, kobiet, starców i dzieci nawet idą na stracenie i co gorsza na tortury bez innej broni, prócz wielkiej miłości i zupełnego zaparcia się siebie. To też ani opisy walk z Iliady, czy Jerozolimy wyzwolonej, ani bitwy i pojedynki odmalowane mistrzowskiem piórem Sienkiewicza, nie wzruszą, nie porwą tak czytelnika, jak te walki męczenników, jak ich proste a śmiałe odpowiedzi bez żadnej sztuki, zapisane w aktach męczeńskich. Nic dziwnego, że ś. Teresa, będąc jeszcze młodą dziewczynką, a naczytawszy się z bratem swoim dziejów męczeńskich, porzuciła z nim razem dom rodzinny, by szukać

męczeństwa wśród Maurów [1]). Nie jeden męczennik znalazł zachętę i podnietę do swego heroizmu w dziejach swoich poprzedników, ale jeśli nie każdy czytający poszedł tak daleko, jeśli nie każdy nawet zdobył się na bliższe naśladowanie ich cnót nie tak heroicznych, to chyba nie wielu nie odczuło poetycznego wpływu takich postaci, jak ś. Wawrzyniec, Sebastjan, Eustachy. A cóż już mówić o kobietach! Był czas, że poeci lubili wprowadzać do swych utworów niewiasty wojownicze, obdarzając je męczeństwem i siłą nietylko nie kobiecą, ale nawet nie ludzką. Przyznaję, że tego rodzaju męstwo w niewieście budziło we mnie zawsze niesmak, jako rzecz nienaturalna i nieprawdziwa. Jeszcze Klorynda w Jerozolimie Tassa ujść może od biedy, ale Bradamanty i Marfizy Ariosta są poprostu wstrętne. Takie nienaturalne i niesympatyczne objawy męstwa wśród kobiet nietylko w wyobraźni poetów istniały. W epoce upadku Rzymu kobiety bywały gladyatorkami, fechtowały się, walczyły w cyrku, udawały marynarzy i żołnierzy; takie też ideały męstwa wytworzył Ariosto w swym pogańskim poemacie, tak też i teraz w świecie, który się odchrześcijanił, spotykamy kobiety „mężne", które się biją na florety, należą do klubów pły-

---

[1]) Wuj spotkał ich w drodze i zawrócił dzieci do domu.

waczek, uprawiają sport itd. Racya tego jest taka, że tylko chrześcijanizm siłę i męstwo człowieka kładzie w duchu; poganizm zna tylko moc ciała i siłę pięści, kto chce być mężnym i silnym po pogańsku, musi rozwijać siłę fizyczną. Dla tego po za chrześcijanizmem kobieta nie umie inaczej być mężną, jeno przerabiając się na *virago*.

Nie takie typy mężnych niewiast przedstawiają nam dzieje męczeńskie. Tam siła i męstwo niewieście złożone w sercu i woli, a występują w postaci tak wzniosłej, czystej i pięknej, obok słabości ciała, obok wstydliwości dziewiczej, bije od nich łuna poezyi tak wysokiej i świętej, że podziw, wzruszenie, entuzyazm w modlitwę przechodzą. Dość wspomnieć ś. Cecylję, Agnieszkę, Agatę, Blandynę. Kto zna dzieje męczenników, ten chyba chętnie przyzna wraz ze mną, że jest to przedmiot epopei tak szczytny, że geniusz Dantego jejby nie podołał - dla tego może dotąd czeka na swego piewcę. Poezya bojów i walk wzbudza nie sam tylko podziw i entuzyazm dla siły lub męstwa; oprócz innych uczuć gra w niej niepośledni rolę współczucie dla walczących mężnie, ale zwyciężonych, bo *causa victrix placuit diis, sed victa Catoni* (sprawa zwycięska podobała się bogom, lecz zwyciężona Katonowi). Postaci mężne, ale nieszczęśliwe, może jeszcze poetyczniejszemi nam się wydają, niż ich

zwycięzcy. Dziwny urok melancholicznej poezyi otacza Hektora, wleczonego po ziemi przez Achillesa, ostatnie walki Kartaginy i Viriatusa, rozpaczliwą obronę Numancyi. Konstantyn XI Paleolog, gdyby umarł spokojnie na swem łożu, nikogoby nie obchodził, ale w pamięci każdego pozostanie chyba na zawsze jako ostatni bohater gasnącego Byzancyum, gdy się w purpurze cesarskiej rzuca w zamęt walki i ginie. Kiedy jednak możemy śledzić za tem, jak na głowę niewinną zbiera się burza, której się nie obroni, wtenczas tragiczność dosięga szczytu i poezya nabiera charakteru tak pełnego grozy, że nie wszyscy znieść ją i zasmakować w niej mogą. Tak się dzieje np. gdy widzimy, jak Jago sieciami swemi oplata Desdemonę, albo gdy w tragedyach greckich taka np. czysta Antygona pada ofiarą nieubłaganego prawa. Otóż taka poezya nieszczęścia, cnoty i męstwa, taka tragiczność do najwyższego posunięta stopnia otacza mnóstwo postaci męczeńskich. Dzieje np. męczenników angielskich XVI w. są tak przejmujące, że nie każdy znieść potrafi widok niezrównanej świętości wydanej na łup okrucieństwa i podłości bez granic i miary. Niczem w obec tego wszystkie tragedye Szekspira.

Zupełnie innego rodzaju jest poezya żywota pustelniczego. Głośny francuski aeronauta G. Tissandier opowiada, że raz przedsięwziął powietrzną swą wyprawę przed wieczorem.

Wzniósł się powoli ku górze i widział ziemię ozłoconą promieniami zachodzącego słońca, słyszał głosy trzód wracających do domu, dolatywały go przyciszone echa piosenek ludzkich, a góry, pola i lasy wydawały zapach tak nieopisanej słodyczy, że ziemia cała zdała mu się jednym wielkim trybularzem, ślącym swe kadzenie ku niebu. Podobnego wrażenia doznaje dusza zdolna odczuć poezyę, gdy się rozczytuje w żywotach pustelników dawnych i teraźniejszych ascetów, żyjących w samotności i milczeniu. Pustynia, samotność, milczenie mają w sobie ogrom szczytnej poezyi, nie dla każdego jednak dostępnej. Ludzie dzień cały biegający w kółko koło swoich interesów, prze padający za wodewilem i baletem, obracający językiem od obudzenia się do zaśnięcia, nie mogą sobie jużci wyobrazić nawet, co w tem pięknego być może. Dusze szlachetniejsze, lubo może do życia kontemplacyjnego niestworzone, odczuwają często potrzebę samotności, nęci je rozkosz skupienia w ciszy i oddaleniu od gwaru.

Jan Gnatowski, dostawszy się na szczyt góry ś. Jerzego na wyspie Prinkipoi i patrząc ztamtąd na morze Marmora, Konstantynopol i okolice, i doznając najwyższych estetycznych wrażeń, powiada w końcu: „I przyszło mi na myśl, jak dobrze byłoby tak zostać na tej wyżynie samemu z Bogiem nad sobą i morzem

szemrzącem u stóp i w jednem długiem marzeniu przemknąć przez tę garść chwil, stojących jeszcze na drodze do wiecznej cichości i zapomnienia..." [1]).

Pustelnicy urzeczywistniali to marzenie, to też nad ich pamięcią unosi się atmosfera ciszy, skupienia, prostoty, umartwienia, pokory a nadewszystko pokoju, tego pokoju, którego świat dać nie może. „Żywoty Ojców" *(Vitae patrum, verba seniorum, historia lausiaca)* przedstawiają nam ich, jakby galeryą starych portretów, bez żadnej pretensyi, a często i bez znajomości sztuki malowanych. Ile tam jednak poetycznych szczegółów, pięknych, a zarazem pocieszających i nauczających. Niech mi tu wolno będzie przytoczyć jeden z nich, jako przykład [2]). Pafnucy prowadził w pustyni dziwny żywot pustelniczy, w niczem niepodobny do życia zwykłych ludzi, ani nawet do życia świętych nowszych czasów, żywot którego surowość przechodzi wyobrażenie. Razu jednego rzekł do siebie: jaki jest święty do którego podobny jestem? Pytanie przeszło w modlitwę. Panie, mówił, do którego ze świętych Twoich najbardziej jestem zbliżony? Pafnucy, Pafnucy,

---

[1]) Listy z Konstantynopola X.

[2]) Zdarzenie to, wyjęte „z Żywotów Ojców", przytaczam podług opowiadania Ernesta Hello w *Physionomie des saints*.

przemówił do niego głos, podobny jesteś do muzykanta, śpiewającego we wsi niedaleko Heraklei. Pafnucy zdziwił się, jak jeszcze od dnia urodzenia swego nie dziwił się nigdy. Grajek śpiewający we wsi nie odpowiadał pojęciu świętości, jakie był sobie wyrobił. Poszedł do tej wsi i pytał o grajka. Ot tam jest w szynku, powiedziano mu, śpiewa i bawi pijących. Pafnucy przechodził ze zdziwienia w zdziwienie. Zbliża się do śpiewającego, prosi o rozmowę na ustroniu i pyta, jakiemi drogami doszedł do tak wielkiej doskonałości przed Bogiem i aniołami Jego?—Dobry człowiecze, powiada muzykant, żartujesz chyba ze mnie. Jestem ostatni z nędzników. Przedtem, nim zacząłem śpiewać po szynkach, byłem z profesyi złodziejem, należałem do bandy rozbójników. Życie moje jest stekiem występków i sam sobą się brzydzę.— Pafnucy zamyślił się.—Szukaj dobrze, rzekł mu, może znajdziesz jaki dobry uczynek.—Były złodziej przypomniał sobie, że raz wyrwał z rąk swych kolegów i odprowadził do domu dziewicę Bogu poświęconą, potem, że znalazłszy na pustyni kobietę uciekającą przed więzieniem za podatki, nakarmił ją, napoił i dał 300 sztuk srebra dla wykupienia męża i dzieci z więzienia państwowego. „Zdaje mi się, dodaje cytowany autor, że ta historya zawiera w sobie coś szczególnego. Pozwala nam niby przez okienko wejrzeć na sprawiedliwość Boską, która

wszystko waży, sądzi nieomylnie, biorąc na uwagę łaski otrzymane, pokusy zwyciężone, rozmaitość stanów i pozycyj. „Zdaje mi się, że głos, który mówił do Pafnucego, przemawia i do nas także, jednym powiada: macie się za dobrych—nie wynoście się; drugim: macie się za złych, nie rozpaczajcie”.

Nie brak też wśród tej rzeszy świętych objawów dobrego humoru i delikatnej ironii. Oto przykład. „Razu jednego wyszli z klasztoru bracia dla odwiedzenia ojców, mieszkających na pustyni. Gdy zaś przyszli do niejakiego podeszłego eremity, ten przyjął ich z radością wielką i jako jest we zwyczaju, dał im posiłek, wiedział bowiem, że byli drogą zmęczeni, więc dał im jeść przed dziewiątą godziną (tj. przed naszą 3-cią) i co miał w swej celi, postawił przed nimi, by jedli i sam też bawił się z nimi. Wieczorem zaś nieszpory, modlitwy i psalmy podług zwyczaju odprawili, podobnie też i w nocy uczynili. Pomieniony zaś starzec oddzielnie w innem miejscu spał i słyszał, jak ci rozmawiali z sobą i mówili: jednak ci pustelnicy lepiej i więcej jedzą, niż my po klasztorach. Słysząc to, starzec milczał. Gdy dzień nastał, wy bierali się w dalszą drogę, chcąc odwiedzić starca mieszkającego w sąsiedztwie, a gdy wychodzili, rzekł im ich gospodarz: pozdrówcie go odemnie i powiedzcie mu: bacz, a nie podlewaj jarzyn. Gdy tedy przyszli do owego

drugiego pustelnika, powiedzieli, co im polecone było, ten zaś zrozumiał, a wziąwszy braci, dał im kosze do robienia i sam siedząc z nimi, nie ustawał w pracy ręcznej. Wieczorem zaś przy świetle dodał jeszcze psalmy do zwyczajnych, a po skończonych modlitwach rzekł im: My wprawdzie nie mamy zwyczaju posilać się co dnia, ale z powodu przyjścia waszego wypada, byśmy wieczerzali i położył przed nimi chleb suchy i sól, mówiąc: z racyi waszej obficiej dziś będziemy wieczerzali; dodał więc trochę octu i soli i trochę oleju. Gdy zaś wstali od jedzenia, znowu zaczął psalmy śpiewać prawie aż do świtu i rzekł im: ze względu na was, nie możemy całego kanonu prześpiewać; więc odpocznijcie trochę, boście z drogi zmęczeni. Gdy zaś nastała pierwsza godzina z rana (tj. 6 ta), chcieli odejść od niego, ale im nie pozwolił starzec, mówiąc: Raczcie zostać ze mną jeszcze dni kilka; dzisiaj was nie puszczę, ale przez miłość ku wam zatrzymam trzy dni jeszcze. Ci zaś to słysząc, w nocy wstali i nim zaświtało, pokryjomu uciekli z miejsca tego" [1]).

Czasami ta ironia objawia się w tak tragicznych okolicznościach, że przeraża prawie odwagą. Tak kiedy cesarz Waleryan zażądał od ś. Wawrzyńca wydania skarbów kościel-

---

[1] *Verba seniorum*. 5

nych, ten obiecał mu je pokazać za dwa dni. Zebrał tedy wszystkie kaleki, starce, ubogie, którymi się opiekował, na dziedziniec kościelny, a przyprowadziwszy namiestnika Hippolita— oto są, powiedział, skarby nasze [1]). Prawda, że człowiek żartujący z rozpalonej kraty, mógł sobie na taką odpowiedź pozwolić. Wszak męczony na ruszcie, znowu zdobył się na tragiczniejszą jeszcze ironię: już upieczony jestem z tej strony, rzekł do sędziego, przewróć i jedz.

Gdy świat starożytny skonał, a części składowe nowego przebiegały Europę od krańca do krańca, zjawia się ś. Benedykt, który uporządkował na Zachodzie kierunek ascetyzmu zakonnego. Widzę go siedzącego spokojnie u drzwi swego opactwa na Monte Cassino, gdy u stóp jego wre i rozpada się wszystko. Tam wysoko, zdala od świata, pielęgnuje on zasiew, który z czasem na cały świat się rozejdzie, niosąc cywilizacyę, ład, naukę i wiarę. Postać to wysoce szlachetna, spokojna, rozumna i pełna niewyczerpanej dobroci. Życie jego, jak je przedstawił ś. Grzegorz W. w 11 księdze swych Dyalogów, to prawdziwy poemat. Odtąd rozrastają się zakony i mnożą coraz bardziej.

---

[1]) Każdy chrześcijanin zrozumie myśl Ś. Wawrzyńca zawartą w tych słowach, swoją drogą zdaje mi się, że była w nich ukryta ironia, może bezwiednie wypływająca z tak sprzecznych pojęć o skarbach.

Nie tu miejsce rozwodzić się nad ich znaczeniem i potrzebą, chcę tylko zauważyć, że obok mnóstwa innych stron dodatnich, życie zakonne ma jeszcze poezyę, którą najlepiej zrozumie, kto ją pozna na miejscu. Z powodu niezależnych odemnie okoliczności rzadko mogłem czerpać z tego źródła, jednak przypominam sobie kilka chwil wysoce poetycznych, spędzonych w klasztorze lub z zakonnikami. Dotąd pamiętam, jak raz wieczorem chodziłem długo po klasztornym ogrodzie, a przyjaciel zakonnik opowiadał mi o starcach siwobrodych, skromnych i czystych jak dziewice, o pracach i radościach surowego nowicyatu, o zakonnikach serca prawdziwie macierzyńskiego, o pobożnych ćwiczeniach, walkach, przykrościach i pociechach, a w około pachniały kwiaty, słońce ostatnie promienie posyłało na chmury i na szczyty drzew i na krzyże kościelne, głęboko w lazurze pławił się ptak jakiś—wszystko to, razem z milczeniem i spokojem, stanowiło jakby ramy do tego obrazu pełnego poezyi, który się przedemną rozwijał z gawędki, bez żadnej prowadzonej sztuki. Podobnego wrażenia zapewne doznawał Sienkiewicz, gdy odwiedzał misyę Białych Ojców w Zanzibarze. „Dom i ludzie uczynili na mnie dobre wrażenie. Panuje tam ubóstwo i pogoda... W godzinach, w których dzieci nie hałasują, ogród zalega milczenie, tylko słońce chodzi, patrzy i piecze.

Po południu, między grzędami i wśród drzew, snują się białe habity ojców i rozlegają się śmiechy małych murzynków, ale i wówczas nad domem i nad ogrodem zdaje się unosić słowo: „*pax*" (Listy z podróży do Afryki). Kiedy mowa o zakonach, nie sposób pominąć ś. Franciszka z Assyżu. Typ to najdoskonalszego zakonnika i zarazem najpoetyczniejszy może człowiek na świecie. Wysoce obdarzony od natury, wszystkie dary przyrodzone przetopił w ogniu nadprzyrodzonej miłości. Miłował on Boga, ile człowiek miłować może, a ta miłość przeszła i na stworzenie. Ludzi, świat zwierzęcy i nieożywiony nawet objął ten święty kochającem sercem—wszyscy też byli mu „braćmi i siostrami"—ludzie najpierwej, ale tak że słońce i księżyc, wiatr i woda. Zresztą poetyczna ta postać oddawna nęciła poezyę i sztuki plastyczne; zdaje mi się jednak, że żadne poematy nie mogą się porównać z żywotem ś. Franciszka, jaki znajdujemy w kronice seraficznej. O. Prokop prawdziwą ucztę przygotował dla wszystkich miłośników poezyi, wydając ten żywot bez żadnej zmiany w dawnem tłumaczeniu polskiem [1]). Wieje z tej książki

[1]) Żywot Ś. ojca Franciszka z Assyżu, Patryarchy trzech zakonów, z kroniki braci mniejszych kapucynów wyjęty. Warszawa 1863.

zapach, jakby „z pola, któremu pobłogosławił Pan". Czy tylko jeden zresztą ś. Franciszek tak pełen poezyi? Mnóstwo poetów pod skromnym habitem i to nie tylko poetów w słowie, ale więcej jeszcze w życiu, więc np. Jacopone di Todi, więc ś. Bernard, Tomasz z Akwinu; tam na tle lasów i skał Grenobli odbija spokojna i poetyczna postać ś. Brunona, założyciela kartuzów, gdzieindziej znowu ś. Feliks Valois i Jan de Mata, siedząc nad źródłem wśród leśnej zieleni, rozprawiają o wykupie niewolników chrześcijańskich i kładą podstawy zakonu ś. Trójcy. Gdybym chciał przedmiot ten należycie opracować, musiałbym chyba całą księgę poświęcić poruszonemu tu tematowi poetyczności w świętych i ascetach, a temat to jeden z najwdzięczniejszych.

Ostateczny więc wniosek, powie mi Coquelet, z tego wszystkiego, co wyżej powiedziano, że asceci są wcieloną doskonałością — nie masz w nich wady, oni tylko mają rozum, oni jedni szlachetni i cnotliwi, oni szczęśliwi i poetyczni; cały świat oprócz nich nic nie wart i nic nie pozostaje wszystkim nam do zrobienia, jak ubrać się w kapicę i śpiewać psalmy o północy; — nic z tego! Tak daleko nie idę. Że ostatecznie ten się najmędrszym okaże, kto umiał razem myśleć i pracować całe życie na to „co jedno potrzebne", nie ulega najmniejszej wątpliwości; prawdą jest także, że

kto chodzi w światłości, nie błądzi i jest szczęśliwym, ile na ziemi być nim można; że pełno w żywotach ascetów poezyi, to także jest faktem stwierdzonym i całkiem naturalnym, bo gdzie prawda, dobro, miłość, tam też i poezya. Pomimo tego wszystkiego wcale nie twierdzę, że całe światło, ciepło i życie skoncentrowało się po klasztorach i pustelniach. Kto mówi, że słońce świeci, wcale jeszcze gwiazdom światła nie zaprzecza; z tego, że lilia biała mocno i pięknie pachnie, nie wypada, żeby inne kwiaty ogrodowe, a nawet polne żadnego zapachu nie miały. Nie chcę także twierdzić, że asceci nie mieli wad żadnych, tem bardziej, że ich nie mieli ludzie, noszący habit i suknię duchowną. Mówiąc o ascetach, miałem wprawdzie na myśli rzeczywistych tylko ascetów, wyłączywszy wszelką ich parodyę w osobach bigotów, rozpuszczonych mnichów, przechodzących do szeregów Garibaldi'ego, amatorów obfitego stołu i butelki, odzianych, niestety, w sutanny duchowne;—ale i tam nawet wśród doskonałych, lubo w małej mierze, spotykamy ułomność ludzkiej natury, bo nic na ziemi bez zarzutu nie było. Jednak pomimo ułomności i błędów, jakim święci i asceci ulegać mogli, rzeczą jest najpewniejszą, że oni to właśnie stanowią kwiat, a raczej rdzeń rodzaju ludzkiego i im zawdzięczamy wszystko, cokolwiek dobrego stało się na ziemi

Nie mówię już o działaniu i wpływach niewidzialnych, o ich modlitwach i zasługach u Boga dla ludzi, ale tylko o historycznie stwierdzonych faktach. Ascetami byli męczennicy wszyscy i oni to krwią swoją zaleli nieczyste ognie pogaństwa i wynieśli na wierzch krzyż Chrystusowy, oni pierwsi wprowadzili w praktykę zaszczyt chrześcijańskiej cywilizacyi: odwagę przekonań i nietykalność własnego sumienia. Ascetami byli pustelnicy i pokutnicy i oni to stanowili reakcyą straszliwego zepsucia obyczajów zgasłego poganizmu. Jak umarły człowiek rozkłada się i gnije, tak i poganizm zostawił po sobie istną zarazę moralności – surowa cnota tych ascetów była środkiem antyseptycznym, jakby powiedzieli lekarze. Ascetami byli ojcowie i doktorowie Kościoła i oni uratowali czystość nauki Chrystusowej od błędów Aryusza, Pelagiusza, Manichejczyków, Donatystów i innych. Ascetami byli zakonnicy, którzy uratowali nauki i cywilizacyą wśród zamętów barbarzyństwa, oni nawracali zepsute ludy do cnót chrześcijańskich, oni byli tamą przeciwko szerzącym się błędom herezyi XVI wieku, oni od początku aż dotąd niosą światło wiary na krańce świata. Jeśli więc prawdą jest, że cywilizacya prawdziwa jest córką nauki Chrystusowej [1]) to prawdą jest także, że

[1]) Wiem, że wielu jest przeciwnego zdania—na teraz tylko do chrześcijan przemawiam.

najpierwszą w tem zasługę mają asceci, nauki tej najwierniejsi wyznawcy i opowiadacze.

Kiedy Skarga skończył swoje „perłami uhaftowane i kwiatami poezyi usiane" Żywoty świętych, przepraszał ich za nieudolną o nich pracę: „A osobliwie ja grzesznik wielki upokarzam się nogom waszym i całuję proch stóp waszych, iżem o wysokich i nigdy niewypowiedzianych cnotach waszych i żywocie niebieskim, moim pomazanym językiem śmiał mówić i drugdziem się wysłowić waszę nieogarnioną sławę kusił".

Nie wiem już tedy, co jabym powinien powiedzieć i jak się tłumaczyć, że słabem piórem mojem powierzchownie i nieumiejętnie dotknąłem tak wielkiego, pięknego i szczytnego przedmiotu. Przyznaję też najchętniej, że można mi zarzucić, jak autorce „Błękitnych", że opisuję sfery, których dobrze nie znam. Nie będę się nawet bronił, zwykłą bronią mierności *in magnis et voluisse sat est,* ale odpowiem zachętą, by niezadowoleni z tego niedołężnego szkicu prawdziwych „błękitnych" rodzaju ludzkiego zechcieli dopełnić tego, czego brakuje *infirmitati meae*, praktycznem zaznajomieniem się z osobami ascetycznemi, literaturą ascetyczną i ascetycznem życiem—*venite et gustate*...

Teraz przechodzę do drugiej połowy mojego zadania. Wykazawszy w bardzo ogólnym

i niedokładnym zarysie charakter i cechy ascetów, z jakiemi się przedstawiają w życiu i historyi, zamierzam teraz porównać z niemi te przymioty, jakiemi ich obdarzają literaci i artyści nasi, a obok nich pewna część społeczeństwa.—Powiadam, pewna tylko część, bo większość ma podawnemu we czci ludzi Bogu wyłącznie poświęconych, mniejszość za to, czytająca co do rąk wpadnie, wierząca każdej bredni, wydrukowanej w gazecie, oddawna już zatraciła należyte o zajmującym nas przedmiocie wyobrażenie. Z powodów, o których zadługo byłoby mówić, znajomość religii, osób i rzeczy z nią związanych jest między nami coraz mniejsza; więc też asceci, z którymi ta część społeczeństwa stara się nie mieć żadnych stosunków, znani jej są tylko z podania i dla tego stali się postaciami, o których obiegają pojęcia najosobliwsze. Kiedym te wyobrażenia spotykał w dziełach sztuki i literatury, kiedym je porównywał z rzeczywistością i widział, jaka otchłań między nią a tem, co o niej piszą i mówią, doznawałem uczuć, jakiemi był zapewne przejęty Ludwik Veuillot, gdy z powodu jakichś liberalnych pismaków zawołał: *non, je mourrai avec le regret de n'avoir pu dire, combien je les trouve sots* [1]).

---

[1]) „Nie; umrę z żalem, żem nie mógł wypowiedzieć, zajak głupich ich uważam". — Wiem, że L. Veuillot nie

Jednem z coraz bardziej rozpowszechniających się w naszej literaturze fałszywych pojęć o ascetach jest to, że żyją oni życiem sztucznem, że dla utrzymania się na drodze pobożności muszą unikać światła i ciepła słonecznego, a także widoku pięknej natury. Nasi literaci osadzają ich w wilgoci (skazując na nieuleczone reumatyzmy), w mrocznych sklepionych celach, prawie jak dzikie zwierzęta lub płazy, pochowane w ciemnościach niedostępnych rozpadlin. Takiemi zrobiła p. Orzeszkowa swoję bohaterkę i jej towarzyszki. Nie ona zresztą jedna takiego jest przekonania. W r. 1882 czy

---

ma miru w niektórych naszych kółkach katolickich Zarzucają mu brak miłości bliźniego, której sami mają bardzo wiele, tylko że się w szczególny sposób objawia. Gdy tacy katolicy znajdą w pismach bezwyznaniowych najjaskrawsze fałsze i najzjadliwsze obelgi, nietylko już na wiernych Bogu, ale na Boga samego, przyjmują to z zadziwiającym rzeczywiście spokojem. No, tak, zapewne, mówią wtedy, przesadził bo przesadził—tego mu się nie chwali, ale że styl piękny, to piękny... i kto wie, może ma racyi trochę? Jeśli jednak spotkają w pisarzu wierzącym, jak np, Veuillot, okrzyk bolu lub zgrozy, jeśli mu się zdarzy w zapale polemiki nazwać rzecz po imieniu, więc głupstwo głupstwem, a niegodziwość niegodziwością, opuszcza ich zwykły spokój i rzucają gromy na śmiałka, który zapomniał o miłości, nakazanej przez Chrystusa Pana i pozwala sobie na ironię i łajanie. Gdyby ci panowie mogli zajrzeć kiedy do głowy i serca człowieka wierzą-

3-im p. Marya Konopnicka wybrała się w podróż za granicę i w „Kłosach" umieszczała swoje wrażenia z podróży. Pisała jużci najwięcej o sobie, ale także po części i „o krajach, które miały zaszczyt słać się pod jej stopy" (wyrażenie jednej z recenzyj współczesnych). — Dojechała tak do jeziora ś. Wolfganga (w Salzkammergucie) i zwiedzała jego piękne okolice. Było jej tam bardzo dobrze; widoki piękne, powietrze zdrowe, więc też przyznała się, że „chwytała coś namiętnego w piersi z każdem odetchnieniem". Opisując piękne brzegi jeziora, szanowna podróżniczka tak się poetycznie wy-

---

cego i kochającego swą wiarę, gdyby mogli widzieć, co się w nich dzieje, gdy nędza umysłowa i moralna plwa na to, co mądre, święte i wielkie, możeby wybaczyli broniącemu swych skarbów, że nie zawsze zasłania się tylko i niezawsze tępym walczy orężem Co więcej, gdyby przeczytali w Piśmie ś., jak prorocy przemawiali do zatwardziałych żydów, ś. Jan nad Jordanem do faryzeuszów i saduceuszów, jak do nich przemawiała najwyższa miłość, sam Zbawiciel, przekonaliby się może, że dla umyślnej niewiadomości, dla złej woli, dla rozmiłowania się w złem, miód i słodycz nie wystarczą, ale można i trzeba użyć bardziej ostrych środków. Przyznaję zresztą, że podziwiam tak szczytną miłość bliźniego, bo sam jej nie posiadam i tylko rozrzewnienie mnie chwyta, gdy myślę, czegoby mogli dokazać ci ludzie o gorącem sercu, *gdyby choć w połowie tak kochali Boga, jak miłują nieprzyjaciół Jego.*

raziła: „ku wschodowi rozsuwa się granitów ściana i na łaskawszych gór stokach puszczają się lasy szumne, a pod niemi stoją w rosach świeżością dyszącc jary, pełne tajemniczych cieniów, ptasich poświstów, woni kwiatów dzikich i upojeń życia. Hej, młody mnichu, nasuń kaptur na oczy, a nie chodź tędy zmierzchem letnim, wieczorne pacierze szepcący. Bo zagoreją ci oczy i usta zapłoną i pierś ci ruszą tęsknoty namiętne i wyciągną się ramiona twoje i łuny gorące pójdą ci przez oblicze od krwi waru i modlitw zapomnisz i własną głową mur ten roztrzaskać zechcesz. Wróć lepiej do stęchłej swej celi, a zamknij ją na wrzeciądz, a piersiom i porywom swoim daj napis *pax vobis*" [1]). Już 8 lat upłynęło [2]) od chwili, gdym to napędzanie mnicha do celi przeczytał, ale p. Konopnicka zdołała włożyć w ten krótki ustęp tak sporą dozę bezdennej nieznajomości rzeczy, a jeszcze większy zapas niezrównanej pewności siebie i błogiego uczucia wyższości nad nędznymi mnichami, że pomimo lat kilku, nieraz mi on na myśl przychodził i zawsze rozmyślania moje nad nim kończyłem wykrzyknikiem: nie; będę umierał z żalem, że nie zdołałem wypowiedzieć całego podziwu dla tej retorycznej figury!

---

[1]) „Kłosy" 1883 Nr. 920.

[2]) Pisałem to w 1891 roku

Przeszłego roku i ja także zawędrowałem nad jezioro ś. Wolfganga, przyznaję jednak ze wstydem, żem wtenczas zupełnie zapomniał, czyje stopy przed 8 laty brzegi jego deptały i dzięki temu zapomnieniu używałem zupełnej swobody. O ucieczce do celi lub o nadwyrężaniu sobie głowy o nadbrzeżne granity anim pomyślał! Owszem dzień ten zapisałem do najpiękniejszych w mojej wycieczce. Pamiętam go dotąd. Był to ciepły letni dzień po długiej słocie. Wszędzie pełno było życia „w rosach świeżością dyszały jary", lasy ledwo szumiały od leciutkiego wiatru. Pamiętam gładką toń szmaragdowego jeziora, prześliczne góry poprzesłaniane mgłami, otulone w modre i fioletowe zasłony, pamiętam pacierze odmawiane nad urwistym brzegiem i tęskną grę na cytrze ślepego tyrolczyka i wiele innych przyjemnych wrażeń. Tak się nawet zdarzyło, że gdy moje towarzystwo odjechało do Ischlu, ja wracałem samotny pieszo doliną między grzbietami Schafberga i Dachsteinu i wracałem właśnie „zmierzchem letnim—wieczorne pacierze szepczący". Pamiętam to wszystko wybornie, ale nie mogę sobie przypomnieć najmniejszej racyi do tego, żeby wśród tych piękności „chwytać do piersi *coś* namiętnego z każdem odetchnieniem". Może dla tego właśnie, że byłem spokojny, zauważyłem za to *coś* innego, na co roznamiętniona świeżem powietrzem poetka uwagi nie

zwróciła. Nad brzegami jeziora ś. Wolfganga leży miasteczko tegoż imienia, a w niem na skale tuż nad wodą kościół. Stoi on w miejscu, z którego najbardziej czarowny roztacza się widok, ale co ważniejsza, kryje grób i celę, albo raczej grotę świętego, od którego kościół, miasteczko i jezioro otrzymały nazwę. Święty mieszkał w tej grocie długo, czy ona była *stęchłą,* nie wiem, ale to pewna, że nie bał się on piękności, które miał ciągle przed oczyma, że nie roznamiętniały go one i nie spotkała go żadna ze strasznych rzeczy, jakie p. Kon. wróżyła młodemu mnichowi, bo nie uciekł ztamtąd, ale mieszkał sobie spokojnie, modląc się do Boga i czyniąc dobrze ludziom. Co więcej, faktem jest, który bardzo łatwo sprawdzić, że mnisi młodzi i starzy lubili osiedlać się właśnie w miejscach najpiękniejszych, a nie spotkałem nigdzie wzmianki, żeby który z tego powodu chciał głową burzyć ściany klasztorne. Tak klasztor macierz kartuzów leży w dzikich wprawdzie, ale arcypięknych górach pod Grenoblą, ś. Franciszek z Assyżu znaczną część życia przepędził w gajach i na górach, gdzie modlić się lubiał, niezmiernie surowy zakon karmelitów bosych powstał na górze Karmelu, skąd zakonnicy mają ciągle przed oczyma jeden z najpiękniejszych widoków na świecie; znana jest z piękności swego położenia Kartuzya ś. Marcina pod Neapolem, siedlisko ś. Be-

nedykta na Monte Cassino; sam też podziwiałem i zachwycałem się uroczem położeniem niejednego klasztoru, jak np. kamedułów na Bielanach krakowskich, norbertanów na Strahowie w Pradze, kapucynów w Altdorfie w Szwajcaryi. Faktem więc, powtarzam, jest, że owa legenda o stęchłych celach, o mroku ustawicznym, w jakim asceci przebywać muszą, o unikaniu i stronieniu od pięknej natury, by im nie zapłonęły usta i oczy, by piersi nie ruszyły tęsknoty namiętne i by krwi własnej war nie pobudził ich do różnych ekscentryczności—jest bajką i płodem poetycznej ignorancyi. Prawdą jest, że asceci pięknej natury nie boją się i że dowiedzieliby się z najwyższem zdumieniem od p. Kon., że lasy szumiące, rosą pokryte jary i zmierzch letni mogą roznamiętniać ludzi. Zkądby jednak baśń taka powstać mogła i gdzieby się ta chimera wylęgła? Za nieomylną prawdziwość mego domysłu nie ręczę, ale zdaje mi się, że powstała ona z właściwości ludzkiej sądzenia drugich podług siebie, widzenia świata w takim kolorze, jakiego są okulary na naszym nosie. Wiadomo, że wielkie miasta są przeważnie siedliskami ludzi i literatów pseudopostępowej i bezwyznaniowej barwy (chociaż nie brak ich wszędzie). Oprócz innych względów pociąga ich tam, może bezwiednie nawet, to, że bliżej są ludzi, a dalej od Boga. Teatry,

giełdy, resursy zasłaniają im niebo, zamiast gwiazd mają latarnie gazowe, zamiast szumu lasów—turkot powozów, woń kwiatów zastępuje dym topionego asfaltu i perfumy, zamiast modlitw i kazań—czytają własne pochwały *w swoich* pismach, albo ich słuchają na zgromadzeniach kółek wzajemnej adoracyi. Prowadzą życie całkiem sztuczne. Kiedy z tego zaklętego koła wyrwą się na świat szeroki, piękna natura ich upaja, świeże powietrze roznamiętnia, więc prawią od rzeczy, choć często wiek i stanowisko nakazywałyby „mieć contenans", jak mówiła nieoceniona p. Jowialska.

Asceci i mnisi przyzwyczajeni są do prawdy i do natury, patrząc na jej powaby i cuda, jakby na skrzydłach podnoszą się ku najwyższej piękności; — oni roznamiętnienia nie czują na wiosnę, ani o zmierzchu letnim, bo są czem innem zajęci—czują je natomiast dla fizycznych i fizyologicznych powodów zwierzęta, a zapewne i ludzie, których największym zaszczytem jest uważać siebie za pochodzących w prostej linii po mieczu i kądzieli od małpy ogoniastej. Pierwsze nie mają władzy psychicznej, panującej nad szybszem krwi krążeniem, drudzy się jej pozbyli. Niechże już sobie zresztą żyją podług jednych praw, ale niech do towarzystwa nie ciągną ascetów; każdy z nich bowiem mógłby odpowiedzieć z fran-

cuskim poetą: *je n'ai pas merité ni cet excés d'honneur, ni cette indignité* [1]).

Ludzie światowi, nie mając wyobrażenia o pragnieniach i dążeniach duszy chrześcijańskiej, a chcąc w jakiś sposób wytłómaczyć życie pokutne, jakie prowadzą asceci, chcąc nawet może okazać przychylność klasztorom, powiedzieli sobie, że są one potrzebne, jako miejsce ucieczki sumień obarczonych zbrodniami, jako schronienia dla zgryzoty i żalu. Podobało się to bardzo umysłom powierzchownym i niejeden dobrodusznie dotąd powtarza: trzeba przecie zachować przytułki dla żałujących grzeszników i dla serc złamanych. „Patrzałem jak przechodziła processya, opowiada Veuillot. Byli tam kapucyni w grubych habitach, bosi i z odkrytą głową na palącem słońcu. Przy mnie stali dwaj poważni francuzi. Jeden handlował winem burgundzkiem, drugi Bordeaux, obaj jednak sprzedawali wino Cette. P. Rapet rzekł do p. Maréchal --Ci kapucyni musieli jednak dobrze nabroić, kiedy taką sobie naznaczyli pokutę. —P. Maréchal odpowiedział: „Jednak niema może między nimi tylu zbrodniarzy, jakby się zdawać mogło. Zwiedzałem kilka klasztorów i doprawdy spotykałem tam uczciwe fizyo-

[1]) Nie zasłużyłem ani na ten zbytek zaszczytu ani na taką zniewagę.

nomie". Opuszczam dalszą rozmowę dwóch handlarzy fałszywego wina i przechodzę do odpowiedzi Veuillot'a. „Ja, dzięki Bogu, znałem i obcowałem z wielu zakonnikami, mnichami, *frati,* duchownymi w rozmaitych habitach i rozmaitych powołań. Rzadkie pobyty w klasztorach należą do najpiękniejszych chwil mego życia. Widziałem mnicha we wspaniałych klasztorach, samotnego, uczonego, uprawiającego rolę; widziałem żebrzącego syna ś. Dominika albo ś. Franciszka w jego klasztorze, podobnym do ula. Widziałem kleryka regularnego, teatyna, barnabitę w jego małej celi, zapełnionej książkami, otoczonego penitentami; widziałem Misyonarza wracającego z antypodów. Widziałem ich z blizka, widziałem ich często. Prawdą jest, że prowadzą oni życie pracowite, umartwione, pełne poświęcenia, ale żaden nie wybrał go sobie pod naciskiem wielkiej skruchy, lub wielkiej boleści. Wstąpili oni do klasztoru nie dla tego, że popełnili zbrodnię, ale że bali się cienia grzechu, nie dla tego, że przeszli przez wielkie strapienia, ale że czuli wielką miłość. Przez bojaźń grzechu ukryli się w klasztorze, dla miłości Boga poświęcili życie na chwalenie Go i na uczynki ofiarne. Chcieli żyć bez plamy, w pracy, w pokorze, w miłości, żyć dla Boga. Nie dziwię się, że p. Maréchal znalazł wśród nich uczciwe twarze. Bez wątpienia klasztory widziały wielkich pokutników.

Dezyderyusz, król Lombardów, zamknięty z łaski Karola W. w klasztorze, dobrowolnie został mnichem. Życzyłbym tego wielu innym. Można także przytoczyć i wielkie boleści... lecz gdyby klasztory miały być zapełnione pokutnikami za wielkie zbrodnie i opłakującymi wielkie straty, stałyby pustkami. Prawdziwie wielkie zbrodnie są córkami wielkich ambicyj, których przedmiotem wielkie fortuny i wielkie rozkosze – to całkiem przeciwne powołaniu zakonnemu. Wielkie strapienia, smutki z krzykiem głośnym i wyrywaniem sobie włosów, możebne w duszy źle wykształconej i przy wierze niepewnej — to także całkiem przeciwne powołaniu zakonnemu. *Wielkie zbrodnie kwitną na wielkim świecie, albo idą do galer; wielkie boleści z wielkiemi krzykami kończą się w kuchni, w operze albo na powtórnym ślubie*... a prawdą jest, że trzeba zachować klasztory, żeby było na świecie miejsce dla wielkich cnót i źródło dla wielkich radości" [1]).

Do podkreślonej uwagi Veuillota chyba nic dodawać nie potrzeba. Wielkie zbrodnie kwitną na świecie, jeśli „ciężkie roboty" ich spokojnego kwitnienia nie przerwą. To też przyznać trzeba, że, u nas przynajmniej, rzadziej już teraz z powyższą sentymentalną tezą spo-

---

[1]) *Le Parfum de Rome*. I. Les cloîtres.

tkać się można, czasem tylko ze stron obcych jakąś brednię w tym rodzaju wiatr do nas zaniesie. Przed laty kilkunastu, 20 nawet może, w odcinku jednego z pism codziennych wychodziła powieść Ouidy *Idalia*. Bohaterka była bezwyznaniową panną i oczywiście szczytem doskonałości; kochał się w niej bezwyznaniowy młodzieniec, drugi szczyt doskonałości. Nie pomnę, jakie już losy zaniosły ich do Neapolu (a działo się to jeszcze za Burbonów). Panna za opór biskupowi, pierwszemu ministrowi, została przez tegoż skazana na zamknięcie w klasztorze... męzkim. Klasztor ten zaś był zapełniony mnichami, z których każdy był skończony „sumogrado", jakby ich nazwała p. Kubikowa [1]), bo byli to dawni rozbójnicy, teraz gorliwi zakonnicy podług wyobrażeń bezwyznaniowej autorki. Kiedy prośby i groźby mnichów żadnego na bohaterkę nie wywierały skutku, zabierali się oni do katuszy i właśnie dyscyplina miała krajać delikatne ramiona Idalii, gdy jak bohater z Orlanda szalonego wpadł kochanek. Drzwi wyłamał, mnichów rozpędził, rozdał im na prawo i na lewo sporo upominków, narzeczoną porwał— i dalej do furty. W czasie tego jednak odwrotu, wobec którego zbladła Anabasis Ksenofonta, jeden z zakonników przypomniał sobie dawne rzemiosło, rzucił za uciekającymi siekierą

---

[1]) Opowiadanie *K. Junoszy* „Nieruchomość Nr. 000".

i ranił młodzieńca w ramię. Ten jednak dosiadł konia i rozpoczęła się ucieczka, ale jaka... Więc wpadli do oliwkowego lasu—krzaki pachniały, gałęzie szarpały, gwiazdy świeciły, krew się lała z rany, a oni lecieli. Potem zajechali w kaktusy (w nocy trudno się oryentować) i znowu szarpanie i krew, i okropności, a gwiazdy na to patrzą i mrugają, a oni lecą, a oni lecą. I było tej gonitwy przez całe trzy numery, nim przy końcu trzeciego nie wpadli nareszcie do skalistego wąwozu, nie znaleźli jakiejś groty itd. itd. Wspomniałem o tej ramocie, żeby po raz niewiem który sprawdzić i uskarżyć się na pokarm literacki, jakiem pisma peryodyczne karmią nasze społeczeństwo. Wszyscy chyba znają młynek używany w gospodarstwie. Urządzony on jest tak, że ziarno spada na dół, a plewy wiatr, powstający od skrzydeł, wynosi dalej. Otóż chyba młynek literacki skrzydła swe zwrócił w naszę stronę, bo żadna plewa drukowana za granicą nas nie minie i niechybnie dostanie się do Warszawy, gdzie rzesza tłómaczów i tłómaczek zaraz ją przebierze w swojską sukienkę i dalej puści.

Przechodzę teraz do pojęcia światowego o ascetach, które nazwałbym kardynalnem, tj. że ascetyzm jest ucieczką serc i dusz złamanych. Już wyżej wspomniałem, że zdarzało się nieraz, iż ludzie, straciwszy podporę, na które się wspierali, poznali kruchość wszystkiego, co

ziemskie i oparli się na niezłomnej opoce, na Bogu. Takich ludzi, chwilowo płaczących i zbolałych, nie można nazwać złamanymi, nie ich też zwykle tym się przymiotnikiem oznacza. Złamani to tacy, którzy stracili wszystko: wiarę w ludzi, nadzieję, miłość, dla których świat stał się jedną wielką pustynią; złamani, to przeważnie ludzie, których zawiodła miłość. Otóż takie serca zawiedzione, zgorzkniałe albo zbolałe po śmierci lub zdradzie kochanej osoby, lubią literaci osadzać w klasztorze; takie tylko dusze podług nich mogą oddawać się ascezie. Nie umiem powiedzieć, kiedy to szczególne wyobrażenie o chrześcijańskiej doskonałości zrodziło się w naszem społeczeństwie. Jeszcze w przeszłym wieku chyba nikt u nas nie przypuszczał, że dla poświęcenia się Bogu, trzeba, by pierwej kochanka zawiodła. Myślę, że ta idea powstała w pierwszej połowie naszego wieku, kiedy to księżna Wirtemberska pisała swoję „Malwinę albo domyślność serca", kiedy sentymentalne panny sypały po ogrodach kopce „nieziszczonym snom" i kładły kamienie „zawiedzionym nadziejom". Rozbajronizowana wyobraźnia lubiła zaludniać pustelnie i gotyckie klasztory wyschłemi postaciami o oczach ognistych—a kiedy te postacie zaczynały rozpowiadać, strasznych się rzeczy ludzie dowiadywali o boskich licach, zdradzonych przysięgach, sztyletach, truciznach i o wiecznym ogniu pod

burym habitem. Było to wszystko bardzo czułe, choć prawdy pozbawione, jednak, jak powiada Veuillot, *„cette sottise a parfaitement pris dans les demi-cervelles"* [1]), i dotąd mamy „zrozpaczonych ascetów", mamy klasztory jako „schronienie dla dusz złamanych". Obawiam się, że znowu Veuillot uznany będzie za brutala, ale doprawdy ma zupełną racyę w tym razie; bo czy można rozumnie powiedzieć np., że do podpierania ścian, dachu, czy też innego jakiego ciężaru używają ludzie podpór czy słupów złamanych? Co złamane,—samo stać nie może, jakże więc ciężar jeszcze podtrzymać zdoła? Jeśli dla człowieka niepowołanego w stanie normalnym nawet reguła zakonna i życie ascetyczne byłoby ciężarem nieznośnym, to tembardziej byłoby ono ciężkiem człowiekowi złamanemu, który jest do niczego. W rzeczywistości asceci nietylko nie są pogrążeni w ponurej rozpaczy, ale po wszystkie wieki z piersi ich zawsze brzmiała hosanna, hymn szczęścia i radości—wiemy już dla czego, bo kochali Boga i bliźniego. Przytoczę kilka zeznań takich, wziętych tu i owdzie. Już ś. Paweł zapewniał: „Pełenem pociechy, nader obfituję weselem w każdem utrapieniu naszem" [2]). Nie było spo-

---

[1]) To głupstwo doskonale się przyjęło u półgłówków.

[2]) 2. Kor VII. 4.

kojniejszych i szczęśliwszych ludzi nad tłumy pustelników. „Gdziem ujrzał wklęsłe doliny- woła jeden z nich, lub strome szczyty i skał urwiska, tam było miejsce mojej modlitwy i Bóg świadkiem, że po wielu łzach, po długo utkwionych w niebo oczach, zdawało mi się, że widzę wokoło siebie zastępy aniołów, a wtedy szczęśliwy i wesoły śpiewałem: za Tobą Pa, nie dla wonności Twoich biegniemy" [1]).

Kardynał Ximenes u szczytu władzy i zaszczytów wzdychał i tęsknił za swą pustelnią w lesie Costannarskim, gdzie chodził boso, zbierał drewka na opał i prowadził życie podług najsurowszej reguły ś. Franciszka. Ś. Franciszek Ksawery wśród niezliczonych trudów dalekiego apostolatu doznawał takich radości i słodyczy, że wołał „dość już Panie, dość". Żyjący dotąd opat trapistów z Mariannhill (w Natalu), wyliczając kwalifikacye potrzebne dla wstąpienia do tego najsurowszego ze wszystkich zakonów, kończy tak: „melancholików nie przyjmujemy nigdy, bo tacy w żadnym zakonie na nic się nie zdadzą, cóż dopiero w zakonie trapistów. U nas melancholik, mruk i posępny ani ośmiu dni nie wytrzyma. Między trapistami są same wesołe umysły" [2]),

---

[1]) S. Hieron. Ep. 22 ad Eustach., cyt. *X. Hołowiński.*

[2]) Szkice cywilizacyi Afryki południowej, *X. M Czermiński.* 81.

a jednak ci ludzie wstają o 2 w nocy, mięsa, ryb, jaj, masła nigdy nie jadają, zachowują ciągłe milczenie i nawet przełożeni kilka godzin dziennie pracują ręcznie, braciszkowie już od 3 w nocy są przy robocie. Nie mogę pominąć szkicu z natury, jaki znalazłem niedawno w listach z podróży do Afryki Sienkiewicza, tj. wzmianki o ks. Le Roy, misyonarzu w Zanzibarze. „Wyobraźcie sobie człowieka młodego, żywego jak iskra, który, gdy wychodzi nawet na przechadzkę po Mnasimoi, to nie idzie, ale pędzi, jakby chodziło o jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę; który załatwia codzień tysiące czynności, naucza, odprawia nabożeństwo, drukuje słownik, rozpisuje listy i który zarazem odznacza się wysokiem wykształceniem i prawie dziecinną wesołością. Nieśmiejącego się ks. Le Roy widziałem tylko na ambonie i przy mszy, ale nawet i wówczas twarz jego zostaje zupełnie jasna. Febra wypisała mu na czole *adsum*—ale w jego wesołości niema nic gorączkowego. Jego uśmiech jest wylaniem się na zewnątrz radości i pogody człowieka przeświadczonego, że obrał najlepszą cząstkę. Ciekawy typ psychiczny nawet dla tych, którzy nie mogą iść i nie pójdą podobną drogą".

Chrystus Pan powiedział razu jednego do żydów, jeśli mnie wierzyć nie chcecie, wierzcież uczynkom, które ja czynię;—można to do ascetów zastosować. Jeśli ludzie nie chcą w ie

rzyć ich słowom i zeznaniom, powinniby wierzyć uczynkom, a zna je świat cały. Asceci dni całe spędzają na uczeniu dzieci, na pielęgnowaniu chorych, idą na koniec świata, głosząc wiarę Chrystusową, cierpią nędzę, prześladowania, słowem niosą „ciężar dnia i upalenia", bo na nich to przeważnie, jak niebo na bajecznym Atlasie, spoczywa sprawa utrzymania i rozszerzania królestwa Bożego na ziemi. Chciałbym widzieć duszę światową „nie złamaną", którąby przez tydzień tylko mogła zachowywać i wypełniać to, co „zrozpaczeni" i złamani asceci robią przez całe życie: chciałbym widzieć np. ludzi postępowych, z miłością ludzi na ustach, z pogardą dla przeżytego katolicyzmu w sercu, zastępujących miejsce przez dni kilka tylko bohaterskich sióstr dominikanek i misyonarzy wśród trędowatych na wyspie Molokai. Pamiętam, że po śmierci o. Damiana jeden z tygodników bardzo złośliwie proponował, by kto od *Głosu* i *Przeglądu Tygodniowego* zajął opuszczone miejsce - pomimo jednak wielkiego popytu na *miejsca*, nie słyszałem, by kto z tego stronnictwa pochwycił ten wakans. Zajęli go podawnemu „zrozpaczeni asceci o złamanem sercu". Proszę mi więc nie mieć za złe, że, kiedy rozmyślam o tem wszystkiem, to znowu czuję, że umrę z żalem, bo nie zdołałem wypowiedzieć, co myślę o tej szczególnej logice. Ten, kto ledwo

ma siłę dźwigać własny ciężar na osłabionych nogach, kto szuka ratunku w rewolwerze, stryczku lub topielach wodnych, to człowiek pełen życia, postępowy, rozumny, pełen *zdrowej zmysłowości*, a nadewszystko wyznawca zdrowych zasad prawdziwego postępu, co wyrósł na podkładzie zbutwiałego chrześcijanizmu. Kto zaś idzie przez życie raźno, ale w habicie zakonnym, kto niesie pociechę strapionym, pielęgnuje chorych, ale nie patrzy na piruety prima balleriny lub na popisy Sary Bernard, kto stał się „wszystkiem dla wszystkich", ale żyje w czystości, ubóstwie i umartwieniu, kogo nie bawi „król karnawał" ani zielona żaba jadąca na krecie po *Promenade des Anglais* w Nizzy—ten jest zrozpaczonym ascetą i duszą złamaną. Brakuje jeszcze, by powiedziano, że jeśli zakonnik podniesie bez wysiłku 10 pudów i złamie podkowę, będzie cherlakiem wobec *petit crevé* mogącego unieść—laseczkę z bambusu o gałce złoconej—*Non, je mourrai avec le regret*...

Dotknijmy teraz bliżej głównej przyczyny owego mniemanego wykolejenia, koniecznego dla zostania ascetą—zawsze podług przekonania naszych literatów. Przyczyną tą, jak wiadomo, jest miłość. Literaci bardzo lubią zawiedzionego kochanka lub kochankę odziać w habit, wsadzić za kratę i traktować jak p. Orzeszkowa swoję Ascetkę—to takie wzruszające!

Dziwna rzecz doprawdy, jak ludziom trudno trzymać się drogi średniej, po której prawda chadzać zwykła. Jedni powieściopisarze darzą publiczność wstrętnym naturalizmem, inni jakimś nienaturalnym i niezdrowym sentymentalizmem. Naturaliści niby malują ludzi, jakimi są, w rzeczywistości jednak, gdzieś z szynkowni, rynsztoków, więzień, domów rozpusty wywlekają postaci tak moralnie chore, tak wstrętne i zakazane, że nawet „łotrzykowie, którzy za ordynansem Herodowym, że użyję słów Rzędziana, wyrzynali święte niewiniątka, nie mogli już mieć szpetniejszych fizjonomij". Po przeczytaniu takiego utworu rzuca się go ze wstrętem do kąta, mówiąc: chwała Bogu, tak źle nie jest. Inni znowu, i to w przeważnej liczbie, malują nam miłość i miłość, bez końca i miary, aż do znudzenia i zniecierpliwienia. Kiedy się np. w poezyach Mickiewicza lub Krasińskiego spotyka kilka lirycznych utworów w tym rodzaju, czyta się je z przyjemnością, bo w dziełach ich miłość zajmuje tyleż miejsca, ile zajmowała w życiu—więc jest tu prawda i miara; ale kiedy się otworzy „Le rime di Petrarca" i zobaczy całą książkę sonetów i canzonów nietylko do Laury, ale do jej cienia, rękawiczki, puklu włosów etc.—trzeba wielkiej odwagi, by przeczytać choćby połowę, tak to robi się nudne i ckliwe, pomimo bardzo pięknej formy. Powiedziałbym to samo o powieściach

i poezyach. Gdyby kto z innej planety poznał naszę literaturę piękną, pomyślałby, że mieszkańcy ziemi kochają się i nic innego nie robią, że ziemia nasza, to państwo wróżki Alciny, gdzie:

...z jasnem i wesołem czołem
Zdaje się zawsze kwiecień panować:
Tam są młodzieńcy i panny; ten u źródła
Śpiewa słodko i zachwycająco,
Tamten w cieniu drzewa, inny u stóp góry
Żartuje i tańczy lub coś niepospolitego czyni,
A inny zdala od wszystkich wiernemu druhowi
Opowiada swe miłosne przygody [1])

tymczasem... tymczasem jest wcale inaczej. Miłość prawdziwa, uczciwa i wierna coraz jest rzadszą. Co dnia słyszymy o polowaniach na posagi, o poróżnionych małżeństwach, o zupełnym zaniku uczuć szlachetniejszych, o cynizmie nawet, a w książkach ludzie schną z miłości, zapominają dla niej o najświętszych obowiązkach, o Bogu nawet—rzucają się dla niej do wody, albo wstępują do klasztoru. Gdzie literaci, noweliści, a zwłaszcza nowelistki, widzą tę miłość trawiącą, wiecznie trwałą, gdzie te liczne niepocieszone kochanki i kochankowie? Prawdą jest, że miłość na świecie istnieje i zawsze istnieć będzie, że ma swoje niepo-

---

[1]) *Orlando furioso can.* VI. 74.

ślednie znaczenie w życiu ludzkości, że jest rzeczą dobrą i poetyczną, jeśli nie przechodzi granic rozumu i uczciwości; ale faktem jest także, zdaje mi się nie ulegającym żadnej wątpliwości, że nie jest *jedynym* motorem i dźwignią życia ludzkiego, że jest w niem wiele innych stron bardzo poetycznych, bardzo pięknych, a o wiele szlachetniejszych, niż owe nieskończone nigdy dzieje *jej i jego*, z waryacjami bez końca. W coby zamieniła się muzyka, gdyby w niej nic innego nie było, oprócz „Liebeslied" kołysanki, albo marzącego nokturna; jakby wyglądało malarstwo i rzeźba, gdyby nie znały innych przedmiotów nad Romeo i Juliettę albo Francesca i Paolo? Sądzę, może mylnie, że ta konieczność „romansu" jako *jedynej* treści dzieł literatury pięknej, a szczególnie powieści, jest poprostu modą i konwencyonalnością naszej epoki. Dawniej nie na ten jeden tylko temat śpiewano. To też, jeśli wśród arcydzieł literackich można wskazać pewną ich liczbę treści wyłącznie erotycznej, zdaje mi się, że bez porównania więcej jest takich, w których albo nic o miłości niema, albo zajmuje ona w nich tyle tylko miejsca, ile w życiu. Przypomnę Iliadę, Odysseę, tragedye greckie, Boską komedyę, Jerozolimę wyzwoloną, niektóre dramata i tragedye Szekspira, Luizyady, Pana Tadeusza, Nieboską komedyę, Grażynę, Don-Kiszota... nieocenionego Don-Kiszota. My-

ślę o nim nieraz z zazdrością. Literatura europejska chorowała na błędne rycerstwo, na Amadysów, Rolandów, Astolfów, Belianistów itp dziwolągi, jak teraz na naturalizm i wyłączność. miłości. Przyszedł Cerwantes i za pomocą Don-Kiszota niby miotłą olbrzymią wymiótł te wszystkie dziwotwory i oczyścił literaturę. „Kiedyż się zjawi *Saavedra* nowy?"—Może jednak mylę się. Nie jestem literatem z profesyi, kwestya, lo której mówię, obchodzi mnie bardzo niewie e, więc też nad nią zbytnio głowy sobie niemęczyłem. a uwagi powyższe podaję ze wszelkiem zastrzeżeniem. Wiem, że liczne grono podlotków i staruszek bez zajęcia mocnoby mi było przeciwne, może i kto więcej jeszcze, może tak potrzeba, jak jest, ale czego pewny jestem, to tego, że nie potrzeba, by tę miłość,— a raczej rozbicia się w miłości—przenosić do klasztorów i życia ascetycznego, dla tej prostej racyi, że w takiej transpozycyi niema prawdy życiowej. Nie każdy może zwiedzać klasztory, jeszcze mniejsza liczba może je poznać i zbadać, ale każdemu dostępne żywoty ascetów, akta i dokumenta historyczne, niech je przeczyta, a zobaczy, ile jest prawdy w tych wszystkich urojonych rozpaczach i zawodach. Przeczytałem żywotów świętych, błogosławionych li wielkich w Kościele ludzi więcej, niż trzy nasze naczelne postępowe autorki razem (nie znaczy to, żebym się chwalił, że ich bardzo

dużo przeczytałem, bo z dzieł naszych pionierek *postępu* można wnosić, że ta gałąź literatury jest im zupełnie obcą), a nie przypominam sobie ani *jednej* rzeczywistej awantury w rodzaju siostry Mechtyldy p. Orzeszkowej. Zdarzały się wypadki nawrócenia jak ś. Maryi Magdaleny, ś. Augustyna, ś. Małgorzaty z Kortony, Maryi Egipcyanki, Pelagii, ale tu o żadnej zawiedzionej miłości mowy nawet nie było; zdarzało się nierównie rzadziej, że ktoś z ascetów, jak np. ś. Teresa, znał przez czas jakiś światową miłość, ale desperacyi za nią, ani nawet żalu śladu u nich znaleźć nie można— traktują to poprostu jako dzieciń若stwo. Zdarzały się też bezwątpienia wypadki, że ktoś zawiedziony i złamany wstępował do klasztoru, ale to były wypadki oderwane i nie ma żadnej racyi do robienia reguły z wyjątków. Na czem więc oparta ta szczególna opinia? Zapewne i na nieznajomości rzeczy, może i na złej woli, a może najwięcej w tem „owczego pędu"— skoro jedna owca skoczyła, to i reszta za nią.

Przed laty krążyła po naszem mieście powieść niewieściego pióra (tytułu nie pamiętam), wzbudzając zachwyty bez końca. Zaczynał się ten utwór od błogosławionego malarza Fra Angelico da Fiesole, a kończył na śpiewaczce Augusta III Faustynie Bordoni. Jakim sposobem autorka sprzęgła te tak od siebie dalekie i różne postaci, teraz nie potrafię powiedzieć, pa-

miętam tylko, że powieść była rzeczywiście z talentem napisana i że kochano się tam na umor. Mniejsza już o innych i o Faustynę, ale i błogosławionego Giovanni Angelico autorka do klasztoru wpędziła i świętym zrobiła, bo kochał się w jakiejś pannie, a odrzucony, z desperacyi został mnichem—jak zwykle. Autorka tej powieści z pewnością złej intencyi nie miała (widać to było ze wszystkiego), ale nie wiedziała, co czyni i szła za przykładem swoich poprzedników i towarzyszy po piórze, więc nie zdawała sobie nawet sprawy, jaką krzywdę wyrządziła błogosławionemu zakonnikowi. Wierzący chrześcijanin pojmie ją z łatwością po chwilowej rozwadze. Jakto, wierzymy, że Bóg będzie szczęściem naszem przez wieczność całą, szczęściem takiem, jakiego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nic podobnego nie wstąpiło, i ten ideał piękna i dobra wszelkiego w praktyce tak mało znaczy, że chyba taki tylko sięgnąć po niego zechce, kogo odrzucała Chloe albo Angelica? W każdym razie, gdyby prawdą było, że Fra Giovanni wstąpił do klasztoru wskutek miłosnego zawodu, nic nie stracił, owszem wiele zarobił na tej zamianie. Cudownie piękne postaci jego obrazów, pomimo wadliwej techniki, będące podziwem świata całego, mówią dostatecznie, na jakie piękno patrzał on oczyma ducha—żadna Fornarina niczem podobnem nie

natchnie. Powiadam „gdyby nawet", bo w rzeczywistości nic podobnego nie było, Vasari przynajmniej tak o nim pisze: „Brat Jan Anielski z Fiesole, na świecie zwany Gwidonem, będąc nie mniej znakomitym malarzem i miniaturzystą, jak doskonałym zakonnikiem, zasługuje z obydwóch powodów na zaszczytne wspomnienie. Ten chociaż mógłby najwygodniej zostać wśród świata i, oprócz własnego mienia, zarabiać jeszcze za pomocą sztuki, którą już w młodości posiadał w wysokim stopniu, chciał jednak dla własnego *zadowolenia i spokoju*, będąc z natury *poważnym i dobrym*, a także dla zbawienia duszy swojej, zostać zakonnikiem w zgromadzeniu braci kaznodziejów" [1]).

Dość jednak tych uwag ogólnych, nie dla jednego może zbyt już rozwlekłych; pozwolą łaskawi czytelnicy, że im teraz okażę kilka kwiatów, zerwanych tu i owdzie na obszernej niwie piśmiennictwa. Nie będą one rościły pretensyi żadnej do wyczerpania przedmiotu, mają tylko służyć jako illustracya i dopełnienie tego, com wyżej powiedział. Zaraz na wstępie przyznać muszę, że kwiaty te wcale pięknemi nie są—odrazu poznać można, że to wyroby sztuczne, z pamięci, podług upodobania i gustu

---

[1]) *Le opere* 1. 298.

osobistego wyrabiane. O ile przypomnieć sobie mogę, tylko w *Narzeczonych* Manzoni'ego spotkałem dwie postaci ascetyczne malowane z natury: *o. Onufry* kapucyn i kardynał *Frydryk Borromeusz;* żyją oni, mówią i działają, jak prawdziwi i rzeczywiści asceci, a wyborna i także zupełnie naturalna figura niezrównanego Don Abbondia dodaje im jeszcze wypukłości. O. Onufrego wprawdzie zdaje się jakiś wypadek smutny do zakonu zapędził, tam jednak on wcale nie był duszą złamaną, lecz stał się świętym, prawdziwym miłośnikiem Boga i ludzi, których też bronił i wspierał. Po za tem nie wiele chyba prawdy w kreśleniu ascetów znaleźć można—nasi i obcy literaci tyle mają do czynienia, lustrując salony i dworki, podsłuchując rozmaite tętna serc rozkochanych, snując w przeróżnych arabeskach jednę zawsze nić, albo też przeglądając szynkownie i rynsztoki, przewracając wszelkie brudy i fetory, że już im czasu ni ochoty nie stanie na badanie ascetów. Zresztą od czegóż komunał? Jak w teatralnej garderobie jest habit, sznurek, broda, dla ubrania zakonnika, tak i u panów literatów i literatek jest pewien zasób pojęć na ten sam przypadek; w razie potrzeby można dodać trochę sarkazmu, dorzucić trochę błota — publiczność uwierzy i przyjmie.

Przed laty bardzo u nas jak i wszędzie czytany był Walter Scott. W dziełach jego spo-

tkałem parę razy zakonników katolickich; łatwo zgadnąć, jakiego rodzaju byli to zakonnicy. Na podkładzie trzywiekowego prezbyteryanizmu, zasiew Knoxa mógł zrodzić tylko nieznajomość, uprzedzenie i nienawiść. Jeśli W. Scot był zbyt szlachetnym, by nienawidzieć, to za to nieznajomość i uprzedzenie u niego tak wielkie, że możnaby się dziwić—gdyby nie o katolicyzm chodziło. W *Klasztorze* benedyktynom przyznaje autor jedyny przymiot dobry, uczoność, zresztą ich udziałem sama nędza moralna. Ponieważ ten utwór pełen fantazyi, jakichś dziewic ze mgły, tajemniczych głosów itp. dziwów, niebardzo licuje z trzeźwem usposobieniem naszej epoki, więc niebardzo też na niego zwracano uwagę; bez porównania więcej znany jest Ivanhoe. Szczególny to zaprawdę romans historyczny. Uczciwych ludzi spotyka się tam tylko prawie wśród złodziei zwierzyny i żydów. Tak, stary lichwiarz Izaak i jego piękna córka Rebeka to bohaterowie powieści i najcnotliwsi ludzie. Rycerze i zakonnicy za to wszyscy „sumogrady"—szczególnie zakonnicy. Co to za rozpustne, obżarte i nikczemne istoty ci wszyscy benedyktyni i templaryusze, którzy tam działają, a jakie przytem nieprawdziwe, nienaturalne. Rozmowy ich faryzajskie zupełnie mi przypominają zakonnice w *Ascetce* p. Orzeszkowej; ciągle na ustach „nasza święta reguła, nasz święty Kościół, nasi święci prawodawcy"

i to bez żadnej racyi ni potrzeby, ot tak sobie *à propos des bottes,* jak mówią francuzi. Dziwna rzecz jak się dwie tak odległe ignorancye z sobą zeszły! W. Scott pisał w czasach, gdy liberalizm okrywał żydów płaszczem humanitaryzmu, widział w nich ofiary średniowiecznego fanatyzmu za wierność wierze swych przodków. Od tego czasu okoliczności bardzo się zmieniły. *Ofiary* dały bliżej poznać siebie i cnotę swoję. To też ludy europejskie bronią się na gwałt od tych niewiniątek kordonami, wyjątkowemi prawami, agitacyą. Zmieniły się też w ojczyznie znakomitego romansopisarza i pojęcia o zakonnikach. *No popery* odzywa się czasem jeszcze w zakątku jakim, ale dzieciom ś. Benedykta, Franciszka i innym, wolno już wobec wszystkich nosić swój habit spotwarzany i czynem przekonywać, że nie samą tylko nauką świecić są zdolni, ale cnotą i poświęceniem.

Bez porównania jednak więcej, niż zakonnicy z powieści W. Scott'a, miała u nas rozgłosu postać z romansu Wiktora Hugo „Nędznicy". Domyśleć się łatwo, że mówię o miłosiernym biskupie z D***. Biskup ten zachwycał wielu bardzo, pobożne nasze damy mówiły o nim ze łzami w oczach, nie domyślając się nawet, do jak szkaradnej pułapki Hugo prowadził swych czytelników za pomocą tej przynęty. Znał on ich dobrze i wiedział, że legiony czytające nie myślą o tem, co czytają. L. Veu-

illot, mówiąc o pierwszej rozmowie biskupa z Janem Valjean'em powiada: „W. Hugo, żeby biskupa swego upiększyć, zbliżył go, ile mógł, do Wikarego Sabaudzkiego i do Jocelyn'a i każe mu mówić i popełniać mnóstwo niedorzeczności, w tym jednak razie mówi on i postępuje jak kapłan prawowierny" [1]) Zdanie to prawdziwe i słuszne. Biskup z D*** sklejony został z dwóch części: z przykładów prawdziwych świętych i zasady chrześcijańskiej i z własnych pomysłów autora. Darowanie skradzionych świeczników złodziejowi dla uchronienia go przed surową karą, jest rzeczywistym faktem, który w życiu jakiegoś świętego spotkałem, miłosierdzie dla ubogich znowu jest starą i dawną cnotą chrześcijańską. Pokąd się Hugo trzymał tych zasad i przewodników, wszystko szło dobrze i pięknie, gdy jednak kazał swemu biskupowi postępować podług *swoich* zasad, niedorzeczność i śmieszność szła jedna za drugą. Więc każe mu np. odbywać wizyty pasterskie tylko w towarzystwie swej kucharki Maglory i jakiejś drugiej staruszki. Niezmiernie komiczne wrażenie robiły na mnie takie wizyty i trzeba było chyba nieznajomości Wiktora Hugo w rzeczach kościelnych, by dla swego ideału męża kościelnego wymyśleć tak za-

---

[1]) *Etudes sur Victor Hugo. Les Misérables.*

bawną assystencyą dwóch bab, wlokących się za nim na wózku, czy nawet na osiełkach.

W całej jednak niedorzeczności ukazuje się biedny biskup dopiero w scenie z umierającym konwencjonistą. Pojechał go nawracać i spowiadać, a tymczasem, usłyszawszy kilka pompatycznych frazesów, pada przed nim na kolana i prosi o błogosławieństwo. Przychodzi to tak nagłe, tak bez żadnej racyi i logiki, że zapewne nie ja jeden nie chciałem oczom własnym wierzyć ze zdziwienia. A jednak po tem jednem możnaby poznać utwór Wiktora Hugo. Rozkochany w blichtrze, błyskotliwości, jaskrawości, psuł niemi najlepsze nawet pomysły; pełen zarozumiałości i miłości własnej aż do obłędu, uważał swoje błyskotliwe, a czcze frazesy, za szczyt mądrości; zdawało się mu, że każde z jego apodyktycznych zdań, powinno być ryte na kamieniu i metalu, a każde z nich jak słowo kabały powinno mieć mądrość i potęgę cudotwórczą. Mniejsza jednak o tę i o inne niedorzeczności, w tej postaci bowiem było coś ważniejszego. Hugo nie chciał, tworząc ją, stworzyć karykatury, coś w rodzaju *le bon vieux Turc* w dawnych wodewilach, nie, widoczna jest intencya zrobienia czegoś niezwykle szlachetnego i podniosłego, by za pomocą tej kreacyi swojej dowieść zadania, jakie miał *in petto*. Cel zaś ten zdał mi się ukrytym w rozdziale pod tytułem „w co wierzył ksiądz

biskup". Po długiem a ciemnem gadaniu pokazuje się w końcu, że „Wierzę w Boga" było jedynym dogmatem i całem *Credo* biskupa, czyli innemi słowy, ksiądz biskup był deistą. Zadaniem więc tej figury miało być przekonanie czytelników, że można być dobrym i świętym nawet kapłanem, tem bardziej człowiekiem, wierząc *tylko w Boga,* a odrzucając wszystkie zasady i prawdy chrześcijańskie, jak ów świętobliwy biskup. Nie potrzebuję już, zdaje mi się, dodawać, że święci i doskonali deiści istnieją tylko w powieści. Nie wiem, czy czytelnicy, goniący za intrygą i zaciekawieni losem Fantyny i Valjean'a, zauważyli opisanie żeńskiego klasztoru Małego Picpusa i czy pamiętają ukłucia szpilką, których biednym zakonnicom autor nie szczędził. Przypomnę tylko ową podeszłą zakonnicę, która przez całe życie chowała troskliwie jakiś przedmiot owinięty starannie i nikomu go pokazać nie chciała. Po jej śmierci dopiero wykryło się, że to był talerz, na którym namalowany był nagi kupidynek, ścigający drugiego z pewnem narzędziem felczerskiem w ręku. Głośny poeta wystawił biedną zakonnicę, a w jej osobie i ogół ich, prawie jak idyotkę; wielu może uwierzyło temu opisowi, bo czemu to u nas nie wierzą [1].

---

[1]) Spotykałem ludzi uważających Barbarę Ubrykównę i Żyda wiecznego tułacza za najzupełniej historyczne utwory.

byli jednak ludzie, przed którymi religijne nieuctwo jego nie mogło się ukryć. Ciekawą próbkę w tym rodzaju znaleźć można w cytowanych wyżej—*Etudes sur Victor Hugo* pod rozdziałem *Science cléricale de M. Hugo*.

Każdy z trzech naszych wielkich poetów wkraczał w dziedzinę ascetyzmu. U Mickiewicza występują dwaj zakonnicy: braciszek Piotr i ksiądz Robak. Pierwszy jest postacią prawdziwie ascetyczną, zjawia się, jak Melchizedech „bez ojca, bez matki, bez genealogii". Człowiek to modlitwy, wielkiej wiary, pokory i miłości. Wprawdzie Mickiewicz włożył w jego usta swoje własne, mgliste wierzenia i przeczucia, ale ostatecznie nic w nich niema niezgodnego z duchem doskonałości zakonnej. Ksiądz Robak za to złożony z dwóch elementów, które niebardzo z sobą licują. Jest to człowiek pokutujący za pychę i za zabójstwo z prywaty, więc skazuje się na poniżenie i zapomnienie u świata, unika rozgłosu w tem, co dobrego czyni, nawet posuwa umartwienie tak daleko, że własnemu synowi nie chce się dać poznać, i w tem wszystkiem bez wątpienia idzie drogą prawdziwie ascetyczną; z drugiej jednak strony chce odpokutować za prywatę. Tutaj poeta odstąpił od typu prawdziwego ascety, jakkolwiek pomysł do swego księdza Robaka mógł z rzeczywistego nawet zaczerpnąć wypadku. Jeśli Jacek Soplica chciał w taki sposób napra-

wić fatalny swój wystrzał pod zamkiem, nie potrzebował wstępować na to do klasztoru, mógł wiele cierpieć i wiele zrobić, zostając na świecie. Przypominam *Szpiega* Cooper'a. W zakonniku razi owo ciągłe bieganie, spiskowanie, namawianie, chociaż jako rysunek jest wyborne; scena np. w karczmie ze szlachtą i tabakierą jest niezrównana. Więc jakże, zapyta kto, miał się Jacek zamknąć w klasztorze i *samolubnie* szeptać pacierze, pościć i wstawać na nocne czuwania? To zależało od jego woli, jaką miał iść drogą, ale wszedłszy na jednę, nie powinien był już schodzić na drugą. Zakonnicy zresztą, nawet kontemplacyjni, samolubami nie są i nietylko dla siebie pracują. Jak lasy są konieczne, bo z nich wilgoć na cały się kraj rozlewa i użyznia go, tak samo w klasztorach zachowuje się i rozlewa na całe społeczeństwo atmosfera moralnego zdrowia, bez którego ono wyschnie i zjałowieje. Drzewo w lesie na pozór niepotrzebnie stoi (prostaczkowie nawet sądzą, że wszystkie lasy można bezkarnie wyciąć), a jednak ma ono swą cząstkę w dobrodziejstwach, jakie las cały przynosi; tak samo dobry zakonnik przyczynia się do utrzymania zdrowia moralnego wśród ludzi. Ten cel zakonnika nigdy nie zawiedzie – sprawy zaś świeckie mogą mieć dobry albo zły skutek. Robaka agitacye zawiodły. Nie myślę zresztą robić zarzutu Mickiewiczowi za jego

kreacyę. Pan Tadeusz bez Robaka nie mógłby istnieć; zaznaczam tylko, że poeta odtworzył w nim zacnego człowieka, który miał nie jednę stronę prawdziwie chrześcijańską, ale ascetą doskonałym nie był.

Krasiński zostawił nam Ułamek naśladowany z glosy ś. Teresy. Znamy go wszyscy, tylko wielu popełnia błąd, że mają go za tłumaczenie; tak nie jest. Poeta główny motyw wziął rzeczywiście z glosy:

Vivo sin vivir en mi
Y tan alta vida espero,
Que muero, porque non muero [1])

bardzo jednak od niej odstąpił, włączywszy prześliczny sonet tejże świętej do Pana Jezusa:

No me mueve, mi Dios, para quererte
El cielo que me tienes prometido

i dodawszy własnego dużo. Cały ten utwór pełen przepięknych ustępów, jak np. sam początek: „Przed życiem czuję, nie przed śmiercią, trwogę itd.” Bardzo piękny także opis widzenia:

Choć nie cielesny—widomszy niż ciało
I słowo każde, co z ust Twych spływało

---

[1]) Żyję, nie żyjąc w sobie, i tak wysokiego życia się spodziewam, że umieram, bo nie umieram.

Dźwiękiem dźwięczniejszym niż dźwięk sam
[przez uszy
Nie brzmiące brzmiało, jak pieśń w mojej
[duszy.

Rzeczywiście ś. Teresa opowiada w swej autobiografii, że i w taki niecielesny sposób widywała Pana Jezusa, lubo częściej widziała Go obrazowo. Niezrównanej piękności i tkliwości kochającego niewieściego serca pełen ustęp, który się zaczyna od wiersza

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody...

i to właśnie jest świetną parafrazą sonetu, o którym mówiłem [1]). Jak długo poeta trzymał się

---

[1]) Ponieważ jest mało znany, przeto umieszczam go tu w tłumaczeniu Siemieńskiego:

Dla mnie pobudką do miłości Boga
Nie jest szczęśliwość w niebie obiecana,
Dla mnie pobudką, że obrazić Pana
Lękam się, nie jest mąk piekielnych trwoga.
Co mię pobudza, to męczeńska droga,
Po której szedłeś na ukrzyżowanie,
Ten cierń, te rany i to urąganie,
Twoja, o Jezu, na krzyżu śmierć sroga.
Miłość ku Tobie jest pobudką taką,
Że i bez nieba kocha Cię jednako
A i bez piekła obrazić się boi,
Nie dbaj o Panie, gdy chcesz, o to serce,
Zgaś w niem nadzieję w ostatniej iskierce,
A miłość moja jeszcze się ostoi.

wzorów przez świętą zostawionych, w niczem nie błądził, gdy jednak sam chciał ją naśladować, zdaje mi się, że się nie w jednem pomylił. Więc w ustępie: „Czasem Cię tylko widuję w widzeniu", gdy opisuje zjednoczenie z Bogiem powiada:

Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana,
Nikt nie rozeznałby sługi od Pana.
Ty Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie małej wyrastał Bóg cały itd.

cały ten ustęp zdaje mi się tchnąć panteizmem, a może jeszcze więcej kwietyzmem, podług którego człowiek, zjednoczony z Bogiem na modlitwie, staje się zupełnie biernym i Pan Bóg tylko w duszy jego działa [1]). Podług wiary naszej dusza nawet w szczęściu wiekuistem nie rozpływa się w Bogu, jak krople w morzu, nie traci swej indywidualności, ale ją zachowuje podniesioną i uszlachetnioną, tem bardziej nie można tego o widzeniu powiedzieć. Ś. Teresa, mówiąc o zachwytach, w których bywała podnoszona w powietrze, tak opisuje swoje uczucia. „Z początku, przyznaję, byłam zdjęta nadzwyczajnym strachem, i któż nie byłby przerażonym, widząc swe ciało podniesione nad ziemię? Chociaż bowiem dusza pociąga je za

---

[1]) Potępiona przez Kościół 42 propozycya „*quod in statu unionis nullus voluntatis actus sit exercendus*".

sobą z niewypowiedzianą rozkoszą... świadomości nie traci się; co do mnie przynajmniej, zachowywałam ją do tego stopnia, że mogłam widzieć, że byłam podniesiona nad ziemię". Kończy zaś, wyznając, że „miłość ta (ku Bogu) podwaja się, gdy widzimy do jakiego stopnia Bóg swoję posuwa względem *robaka ziemskiego*, który niczem nie jest, jeno *zgnilizną*" [1]). Jakże to odmienne od tego pysznego zeznania. „a ze mnie małej wyrasta Bóg cały". Tak chyba święci nie mawiali. Dla tej samej racyi niewłaściwem wydaje mi się zapewnienie:

Lepiej od świętych widziałam Cię, Panie,
Bo silniej kocham, goręcej niż oni.

Niema nic podobnego w glosie ś. Teresy, i wątpię, czy być mogłoby—święci zawsze skarżyli się, że za mało kochali. Opisując tęsknotę swoję za Bogiem, woła święta (także pomysł Krasińskiego) „Gdy mnie porzucasz, zostaję *w rozpaczy*". Rozpacz nie jest uczuciem chrześcijańskiem, tem bardziej nie świętem; to też w opisie cierpień duszy tęskniącej do Boga ś. Teresa wyrazu tego nie używa [2]). Porównanie z Magdaleną bardzo efektowne, po literacku sądząc, wydaje mi się jednak, że święta alboby go nie zrobiła, albo zrobiłaby inaczej. Najpierw

---

[1]) *Vie de S. Therèse chap.* XX.
[2]) Ibid.

tedy nie było rozpaczy, „być nie mogą dwie takie rozpacze". Nie było jej w Magdalenie, patrzącej na rzeczywistą mękę, nie było jej także w ś. Teresie, rozmyślającej tylko o niej. Wątpię też, czy ta ostatnia twierdziłaby, że Magdalena nie mogła więcej Boga kochać od niej, że „dwóch miłości takich być nie może". Po ludzku bardzo to wygląda efektownie, ale święci inaczej trochę kochają, bo najpierw zawsze uważają, że sami mniej miłują, niżby należało, niż to czynili inni wielcy miłośnicy Boga, a powtóre pragnęliby, żeby wszystkie istoty, nietylko ludzie, ale i duchy niebieskie za nich ten brak wypełniali, by Bóg był przez wszystkich znany, czczony i kochany w najwyższym stopniu. W miłości świętych niema wyłączności, bo wiedzą, że przedmiotu jej wyczerpać nie sposób; każdy będzie napełniony i przepełniony. W końcu Krasiński widzenia Zbawiciela przenosi na noc, „bo co noc prawie" itd. W rzeczywistości najczęściej widzenia i zachwyty ś. Teresa miewała właśnie w dzień, często wobecności innych zakonnic, ku wielkiemu swemu upokorzeniu. Nic w niej nie było z przywidzeń histeryczek i osób chorych na nerwy; sama się zresztą ciągle tego obawiała i miała bardzo na straży, by nie paść ofiarą omamienia.

Mnich Słowackiego właściwie nie należy do przedmiotu, który nas zajmuje, nie tylko dlatego, że rzecz dzieje się na Wschodzie, w kla-

sztorze synajskim, ale że w tym poemacie niema cienia nietylko ascetyzmu, lecz nawet chrześcijańskich pojęć. Arab mahometanin, uderzony wspaniałością kościoła, został chrześcijaninem i mnichem; za karę (?) postradał wszystko, co miał, stał się brato i ojcobójcą, i umiera, nie wiadomo dla czego, mając talizman muzułmański na piersiach. Fantazya ta w stylu bajronowskim mogłaby chyba być płodem mahometańskiego poety, chcącego odstraszyć swych współwierców od wyrzeczenia się wiary w Mahometa.

Zdawałoby się, sądząc z tytułu, że Pamiętniki kwestarza (stare i nowe) przez Chodźkę zapoznają bliżej czytelnika z otoczeniem zakonnem; jak wszyscy wiedzą, tak nie jest. Kwestarz jest w tem opowiadaniu łącznikiem przeróżnych obrazów ówczesnego społeczeństwa, klasztor i zakonnicy zostają na drugim planie; prawda, że te krótkie rysy są tak prawdziwe, że musiały być z natury chwytane, zapewne *cum studio*, ale z pewnością *sine ira*. Powiedzmy od razu, że życie ascetyczne wcale się tam świetnie nie przedstawia. Ojcowie i bracia, z którymi nas brat Michał lub Rafał zaznajamiają, są zacnymi ludźmi, księżmi bez żadnego poważniejszego zarzutu—ale jako zakonnicy i asceci stanowią zgromadzenie, z którego duch ś. Franciszka uleciał, zostawując tylko rzadkie i słabe echa i wspomnienia. Dość

przypomnieć np. sposób przepędzania dnia. „Po obiedzie *requies* prawie w każdej celi, post *requiem* albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, a czasem maryaszyk na boby, a czasem i ćwiczyk po groszówce aż do *silentium*". Albo ową sławną kapitułę nieświeską. Wystarczyło księciu Panie kochanku powywracać rondle i pogasić ognie w kuchni, by wszystkie reformatorskie plany zakonników wraz z nimi zagasły. Czasami jednak, jak powiedziałem, pokazują się błyski prawdziwego ascetyzmu, np. w księdzu definitorze. Śmierć jego należy do najpiękniejszych miejsc w książce—umierał jak prawdziwy zakonnik i asceta.

Kraszewski napisał powieść pod takim samym jak Walter Scott tytułem. Wiadomo, że Kraszewski nieraz wykraczał przeciwko katolicyzmowi, który znał bardzo powierzchownie, o życiu zaś ascetów nie miał już żadnego wyobrażenia. Ktoby o tem wątpił, niech przeczyta jego *Klasztor*. Jak u szkockiego powieściopisarza, klasztor jest tutaj ramą dla oprawienia obrazu, miejscem, w którem się akcya odbywa. Kraszewski, jakkolwiek nieznający istoty za-

konnego życia, stoi jednak bez porównania wyżej od W. Scott'a, bo bądź co bądź jest synem katolickiego społeczeństwa i niema chęci wyśmiewania i szkalowania, owszem chciałby swoich zakonników przedstawić jak najlepiej, tylko że—nie umie. Wymyśla dla nich najrozmaitsze zajęcia, każe im pracować trochę w kościele, trochę w ogrodzie, jednego nawet podobno zrobił snycerzem; ale widoczna, że autor ma kłopot niemały z tem, żeby z nich porobić ludzi pracowitych—to też oni sami nie wiedzą dokładnie, po co zebrali się do tego ustronnego klasztoru i co z czasem swoim robić mają. Nic też dziwnego, że tych sześciu czy siedmiu prostaczków pozostało bez wpływu prawie na gwałtowną naturę człowieka, którego przygoda wśród nich zapędziła.

Widzimy więc z tych kilku przykładów, że dawniejsi nasi pisarze niezawsze wprawdzie przedstawiali ascetów należycie, ale często chwytali rysy prawdziwe, bo nie zerwali jeszcze byli z dawną chrześcijańską tradycyą społeczeństwa, które poświęcenie się Bogu uważało za największą łaskę i szczęście nie dla każdego dostępne; o rozpaczach, złamanych sercach, zawiedzionych miłościach, jeszcze im się nie śniło, albo bardzo rzadko. U młodszych literatów już jest inaczej. Nie idą oni do klasztorów, nie poznają ascetów, nie zaznajamiają się z ascetyczną literaturą, nie nawiązują nawet nici da-

wnej tradycyi chrześcijańskiej, ale wyrabiają sobie własne pojęcie, nie malują rzeczy *jak jest*, ale *jak się im zdaje*, że jest, lub być powinno. W świecie literackim, a może więcej jeszcze w artystycznym, szerzą się i panują zasady pogańskie; życie ziemskie, przyrodzone i używanie jego—to ideał i zadanie człowieka; o życiu nadprzyrodzonem, o celu przyszłym coraz mniej myśli i mowy. Wobec takich usposobień, asceta staje się niezrozumiałym i bywa uważany, jeśli nie zupełnie za obłąkanego, to przynajmniej za ograniczonego i zaślepionego, a zawsze już jest „zrozpaczonym i ponurym". Taką postać widzimy w *Ascecie* El...ego. Wiersz to pełen niejasnych i nieokreślonych pojęć, a przeprowadzający myśl zupełnie nie ascetyczną. Tak np. mówi asceta do Boga...

I wzrok zatapiam w jasności morze,
Za którą mam Cię pożądać (?)
Niedość, że Ciebie myśl ma odgadnie,
Ja Cię przeniknąć pragnę dokładnie,
Oczyma ducha oglądać.

Pierwsze dwa wiersze zupełnie niezrozumiałe, trzy ostatnie zgoła fałszywe. Nikomu z wierzących do głowy nie przyjdzie „przeniknąć Boga dokładnie". Musiałbym wiele, a może cały ten utwór przytoczyć, by wykazać rozlaną w nim nieokreśloność, nieznajomość i naturalistyczne pojęcia np.

I do twych niebios biegnie promienny (duch)
W apoteozie rozlać się sennej (?)

to znowu „Do dawnej wracam martwości bytu" itp. Ostatecznie autor wyobraża sobie ascetę pogrążonego w jakiejś ponurej martwości bytu, katującego ciało i czyhającego na chwile extazy i widzeń. Trzeba zupełnie nieznać zasad doskonałości chrześcijańskiej, żeby sobie takie wyobrażenie wyrobić o ascecie. Nie, prawdziwie pobożny człowiek służy Bogu i kocha Go nie za kilka chwil słodyczy. *O Deus, ego amo Te,* wołał ś. Franciszek Ksawery, *nec amo Te, ut salves me, aut quia non amantes Te aeterno punis igne!* [1]) a ś. Teresa;

Nie dbaj, o Panie, gdy chcesz, o to serce,
Zgaś w niem nadzieję w ostatniej iskierce,
A miłość moja jeszcze się ostoi.

Ascetka p. Orzeszkowej, to już uosobienie pojęć, jakie spoganiony świat literacki mógł sobie o ascetyzmie wytworzyć. Wyższą istotę tylko rozpacz po straconej miłości może do ascetyzmu popchnąć i to nie dla tego, by po chrześcijańsku wznosić się ku miłości wyższej, po·

---

[1]) O Boże, ja kocham Cię, a kocham Cię nie dla tego, byś mnie zbawił i nie dla tego, że niemilujących Ciebie wiekuistym karzesz ogniem,..

znawszy kruchość niższej, lecz dla tego, by zapomnieć o swym zawodzie i by znaleźć ulgę w widzeniach i słodyczach nadprzyrodzonego życia, jak je Orzeszkowa pojmuje. Biedna dziewczyna głodzi się, katuje, dochodzi do najwyższego stopnia egzaltacyi nerwowej i widzi różne dziwne rzeczy, o których wyżej była mowa. To życie nadprzyrodzone nie przeszkadza ascetce zachowywać bardzo przyrodzony upór i zaciętość, okazywać suchość i brak serca; w końcu na widok oczu córeczki swego dawnego kochanka uznaje się po długiej walce za zwyciężoną. Sens moralny tego wszystkiego, że asceza jest chimerą, pierzchającą przed jednym promieniem miłości ziemskiej. Zupełnie zgadzam się na to, że pobożność, pojęta tak, jak ją p. Orz. pojmuje, nie na wiele się przyda, dodam tylko, że jest ona utworem imaginacyi autorki i oprócz imienia nic wspólnego niema z prawdziwą chrześcijańską ascezą. P. Orz. zamiast poznać przedmiot, który opisuje, woli swym czytelnikom komunikować własne rojenia.

Tak długo i szeroko rozpisałem się o literatach, że już dla artystów, a właściwie dla malarzy, miejsca niewiele zostało; zresztą do tych ostatnich toż samo da się zastosować, co się o pierwszych powiedziało. Sfery artystyczne w wyższym jeszcze może stopniu, niż literackie, przejęte są pojęciami niechrześcijań-

skiemi, bo mniej mając do czynienia z kwestyami filozoficznemi i religijnemi, skłonniejsze są do płynięcia z prądem wody, a prąd ten, jak wiadomo, pogański. Już gdzieindziej miałem zręczność zaznaczyć [1]) fakt, powszechnie zresztą wiadomy, zupełną prawie niemoc artystów na polu twórczości religijnej (a nietylko religijnej), tu dodać mi wypadnie tylko, że jeśli religia jest dla nich obcą i niezrozumiałą, niezrozumiałymi też są i ludzie religijną myślą przejęci i jej wyłącznie służący; więc też, chociaż malarze dość często zapożyczają tematów z życia ascetycznego lub zakonnego, widnieje z nich ta właśnie nieznajomość przedmiotu, o której mówię. A nie mam tu wcale na myśli, tak samo jak kiedym o literatach mówił, utworów szykany i nienawiści. Z ludźmi, ożywionymi nienawiścią i uprzedzeniem, rozmowa niepodobna, ja przynajmniej nie umiem z nimi rozprawiać; więc nie wspominam tu przeróżnych tańczących kapucynów, spitych w piwnicy bernardynów, skarykaturowanych księży i biskupów—chcę mówić o utworach malarzy, którzy nie nienawidzą, ale tylko się mylą, bo nie znają i lekceważą. Powiedziałem wyżej, że tematy z życia zakonnego stosunkowo dość często spotkać można, ale jakież są one? Oto

---

[1]) Nagość w sztuce.

wizyta Ekscellencyi w klasztorze, powrót braciszka z kwesty, kilku zakonników czytających w bibliotece, to znowu pijących w refektarzu, a już najczęściej urządzających koncert; wszystkich tych okazyj używają artyści tylko dla rozmaitości efektu. Na tle wspaniałych i poważnych murów dobrze odbija postać zakonnika w białym habicie, więc też dodaje się go, jako dekoracyą, jako osobę w pejzażu, np. klasztor kartuzów Bayera w nowej pinakotece w Monachium. Tu znowu malarz zgromadził kilka zakonnych postaci grających lub śpiewających. Nie ma tam śladu zakonności. Sala prześliczna świeci od marmurów, stare meble stylowe ją napełniają, suknie zakonników malowane doskonale i pięknie odbijają od różnokolorowych odcieni marmuru. Jest to popis pędzla i nic więcej. Równie dobrze te twarze pucołowate, otwarte usta i pulchne ręce możnaby było osadzić na jak się podoba przybranych muzykantach; obraz byłby zawsze ten sam. Czasami zdarza się spotkać nawet rzecz w tym rodzaju poważniej traktowaną, nigdy jednak ona nie sięga głębiej. Na wystawie w Salzburgu widziałem przeszłego roku (1890) obraz Grütznera „Zakonnik w bibliotece". Był to ślicznie malowany, bardzo piękny i rozumny dominikanin, zatopiony w jakimś starym foljale. Bezsprzecznie obraz ten przedstawia jednę stronę, u zakonników bardzo zwyczajną, uczoność, ale nie

jest to wszystko, nie ma w tym uczonym *za-konnika*. Gdzieindziej znowu widziałem Eremitę i jego towarzysza—do staruszka w habicie, siedzącego w drewnianym fotelu, wspina się myszka z poręczy i drapie go łapką. Staruszek książki z rąk nie wypuścił, ale tylko uśmiechniętą twarz zwrócił ku myszce. Twarz jego bardzo pospolita i wykazuje raczej zwyczajnego mizantropa, trochę dziwaka, jakich wielu na świecie, niż ascetę i pustelnika, żyjącego duszą w wyższym świecie. Słowem wszystkie te sceny zakonne, pomimo wszelkie zalety rysunku, kolorytu, światłocienia i kompozycyi, oddałbym chętnie za kapucyna modlącego się nad umierającym szlachcicem na obrazie Matejki, albo nawet za rysunek w rodzaju kartuza Overbeckowego. Chociaż on odwrócony plecami do widza i jeszcze kapturem się nakrył, więcej w tej zakapturzonej postaci ascetyzmu, niż we wszystkich razem teraźniejszych zakonnikach i pustelnikach. Więc powtarzam, nie szukać u nowszych malarzy głębi i prawdy duchowej w ich utworach z życia zakonnego; malują dekoracye zakonne, odtwarzają je dobrze i na tem koniec. Jest jednak jeden temat bardzo często przez malarzy poruszany, w którym najzawziętszy przeciwnik myśli i tendencyi w dziełach sztuki jest zawsze tendencyjnym. Na przeszłorocznej wystawie międzynarodowej w Monachium tłumy gromadziły się

przed niezbyt wielkim obrazem. Prawda, że był on pod względem wykonania skończonem cackiem i to jedno wystarczyłoby do przyciągania widzów, była jednak inna racya tego, tj. bardzo wyraźna tendencya. Młoda i piękna mężatka przyszła w odwiedziny do swojej siostry zakonnicy, piękniejszej jeszcze od niej i nad wyraz uroczej. Zewnątrz światło i ciepło dostaje się do surowego parlatorium. Mężatka, jaśniejąca zdrowiem i szczęściem, ujęła delikatną rękę swej wątłej siostry, nachyliła się ku niej z siostrzaną serdecznością i pyta natarczywie - a każdy odgadnie, o co pyta — „jestżeś szczęśliwa?" Zakonnica młoda oparła się o ścianę, z niewymownym smutkiem odwróciła głowę, spuściła oczy i milczy, ale każdy znowu odgadnie. że przez lekko otwarte usta wymknie się ledwo dosłyszane „nie". Otóż ta myśl, że w zakonie niema szczęścia, jest ulubionym tematem panów malarzy, a uwydatniają ją zawsze w postaci młodej i pięknej nowicyuszki lub zakonnicy, z tęsknotą, zadumą i łzami, to spoglądającą na balowe swe ubranie przed obłóczynami, to zapatrzoną boleśnie z za krat żelaznych gdzieś w dal siną, to w zamyśleniu trzymającą książkę do modlitwy, a załzawionemi oczyma patrzącą nie wiadomo gdzie. Takich „nowicyuszek" spotkać można co niemiara, taką uraczył nas kiedyś Andrioli, a nawet najsympatyczniejszy skądinąd Piotr Stachie-

wicz [1]). Panowie ci widocznie nigdy z nowicyuszami i nowicyuszkami żadnej styczności nie mieli, nie wyobrażają sobie nawet, że nowicyat to niby czas zaręczynowy na świecie — to epoka najwyższych uniesień, zachwytów, szczęścia, na opisanie którego słów braknie. Wiedzą o tem doskonale zakonnicy, wiedzą kapłani, wiedzą i świeccy ludzie, jeśli wiedzieć zechcą. Malarze nie wiedzą, i któżby się temu dziwił? Kto zna choć trochę otoczenie, w jakiem się młodzież malarska (a jej to przeważnie dziełem są powyższe tematy) obraca, kto zna jej życie powierzchowne, rozproszone, często lekkomyślne, a nawet rozpustne, nie zdziwi się, że nie wyobraża sobie inaczej nowicyuszów, jeno jako nowozaciężnych rekrutów, siłą okoliczności i prawa od domowego oderwanych ogniska. Przyzwyczajeni do nagich modelów i modelek, zapatrzeni na zewnętrzne formy i kolory, nie wyobrażają sobie, by można znaleźć szczęście w świecie wewnętrznym i dla tego pędzlem przeciwko temu protestują. Czemu jednak do takich protestów używają kobiet tylko i to młodych, a pięknych? Mężczyzna może modlić się i być zakonnikiem — widziałem karykatury zakonników, nigdy nie spotkałem na obrazie nowicyusza tęskniącego i nie-

[1]) Album artystyczne 1887.

szczęśliwego; mogą także modlić się kobiety brzydkie i stare, jak na rysunku Stachiewicza. Dla czego? Wydaje mi się to bardzo prostem. Panowie artyści nie mogą strawić i odżałować, że młode i piękne panny zamykają się w klasztorze, zamiast zachwycać widzów skokami w balecie, zamiast z zakrytą twarzą a odkrytym gorsem intrygować na maskaradach, zamiast upajać się szałem tańca, czczą rozmową tancerza, a nadewszystko zamiast służyć za model malarzom i rzeźbiarzom. Jest to więc jeden z tysiącznych objawów buntu natury przeciwko porządkowi łaski, życia przyrodzonego przeciwko nadprzyrodzonemu, słowem walki poganizmu z chrześcijanizmem. Możnaby zadać przy tej okazyi jeszcze jedno pytanie, dla czego ci panowie, zamiast nieszczęścia „złamanej" nowicyuszki, której nigdy nie widzieli, nie namalują raczej kiedy rzeczywistej nędzy baletnicy lub „maseczki", gdy już im nogi i piękność służyć przestaną, a nawet i pierwej, czemu ich nie roztkliwia smutny koniec tylu modelek... ale po cóż pytać, kiedy odpowiedź wszyscy znamy.

„Przestańcie, dzieci, bo się źle bawicie".

Żyjemy w czasach wielkiego szacunku dla prawdy w sztuce; miłość ku prawdzie tak daleko bywa posuwana, że się zupełnie zapomina o sztuce, która staje się archeologią, illustracyą historyczną, retoryką, a przestaje być

sztuką, ale chociaż wieleby się dało o tym kierunku powiedzieć, mniejsza o to, bo co innego mam na myśli. Artyści i literaci szukają prawdy—niktby nic przeciwko temu mieć nie powinien... tylko, że to szukanie w szczególny odbywa się sposób. Niech myśl moję przykład objaśni. P. Witkiewicz obdarzył nas niedawno książką p. t. „Na przełęczy", w której zawarł swoje wrażenia i wspomnienia z Tatr. Książka ta ma być wyrazem prawdy realnej, o której wyżej wspomniałem—i rzeczywiście jest bardzo, powiedziałbym, zanadto realną. Z pomiędzy wielu rzeczy, które mniej w niej dziwnemi się wydały, przypominam taki np. wypadek. Towarzystwo p. W-cza odpoczywało, dążąc czy wracając, w oddaleniu dał się słyszeć jąkiś głos nosowy. Byli to dwaj księża; i oni także wracali i śpiewali, a choć byli oddaleni, można jednak było ich widzieć i słyszeć. bo autor powiada, że „była to pieśń kościelna", słów jej jednak nie przytoczył. Innym znowu razem posłyszał także śpiew, a raczej wrzask. „Granią szła dziewczyna *ledwo dostrzegalna* między zębatemi skałami Stanęła i na tle obłoku widać było jej sylwetkę nie większą od *komara*". Pomimo takiego oddalenia p. W. dosłyszał wyrazy jej piosenki i podał ją—dla zachowania miejscowego kolorytu zapewne. Piosenka była sprośna. Okoliczność może drobna, ale utkwiła mi w pamięci, i pytałem, czemu autor

w imię prawdy i realności nie przytoczył słów hymnu kościelnego, a zanotował pieśń juhaski, jak gdyby niemoralne piosenki były specyalnością szczególną mieszkańców hal tatrzańskich? Zresztą nie był to szczegół pojedyńczy tylko. W książce swej p. W. nie obraża wiary i moralności bezpośrednio, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, stara się być zupełnie bezstronnym i *realnym*, a jednak nie jest nim. Śpiew ju haski przyrównał do wrzasku wabiącej samicy i kilka razy powraca do tego porównania, bardzo chętnie mówi o *podobieństwach* między człowiekiem i zwierzęciem, lada okazya przypomina mu je, ale ani razu nie wspomniał o *różnicy* między nimi, bardzo jednak rzeczywistej i realnej. Dla czego?—Otóż właśnie w poszukiwaniu prawdy w sztuce i literaturze prawie zawsze daje się zauważyć ten sam kierunek, co u p. W-cza, a często bez porównania wyraźniej, ostrzej, ba, z jawną niechęcią, a nawet nienawiścią zaznaczony. Strona materyalna, zwierzęca, zmysłowa, poddana najściślejszemu badaniu; strony duchowej człowieka—jakby nie było. Dla odszukania tekstu jakiegoś sławnego pisarza, przerzucą uczeni wszystkie archiwa i biblioteki, dla odtworzenia sukni cesarzowej Teodory na scenie odbywają się formalne studya i wydają się dziesiątki tysięcy franków; spotkałem kiedyś malarza, jadącego z nad Wisły do Krymu dla studyowania morza, potrze-

bnego mu do obrazu (i byłem zbudowany tą miłością prawdy); ale kiedy idzie o rzeczy tyczące się chrześcijanizmu, a tem bardziej katolicyzmu, artyści i literaci zrywają z miłością prawdy i poprzestają na najnędzniejszych i najbardziej powierzchownych komunałach. (Zawsze powtarzam, że nie mówię tu o ludziach złej woli—c' idą dalekö dalej) [1]. Co też to za dziwolągi rodzą się z takiej metody! (kilka słabych próbek starałem się podać wyżej). Jakie to niesmaczne, jakie nieprawdziwe—a jakie

[1]) W odcinku *Słowa* wychodziła niedawno powieść Estei *Fuga Bacha*, która mi dostarcza jednego więcej przykładu takiej nieznajomości. Autor między innemi osobami poznajamia czytelników z niezmiernie sympatycznym księdzem Wiktorem. Ma on być doskonałym i wzorowym kapłanem, a nawet ascetą—twarz jego pobladła i wychudła od postów. Otóż temu ascecie każe autor w piękną noc księżycową pływać po ukraińskiej Rosi w towarzystwie pięknych kobiet—i grać na harmonium, zniesionem do łodzi. Prawda, że kobiety jego krewne; prawda, że muzyka jego kruszy pychę kuzynki, ale lubo pływanie po rzece w dobranem towarzystwie nie jest wcale grzechem, jednak żaden asceta, w danych okolicznościach nie pozwoliłby sobie takiej przyjemności—a nawet nie trzeba ascety, żeby zrozumieć niestosowność dla kapłana podobnej romantycznej wycieczki. To też, gdyby ksiądz biskup dowiedział się o takim księżycowo-muzykalno-pływającym sposobie wlewania pokory w pyszne serca, pewny jestem, że mocnoby głową kręcił nad nowym ascetycznym kierunkiem swego podwładnego.

śmieszne, przedewszystkiem „piramidalnie" śmieszne! Coby szkodziło i w tym względzie postępować tak samo, jak w innych i poznać u źródła przedmiot, który się ma opisywać, czy malować! Niestety, wiadomo gdzie szukać należy przyczyny tej niewiadomości, tej niechęci, tego unikania. Ma ono źródło w niechęci, że nie powiem, w nienawiści, ku Chrystusowi i Jego nauce, w spoganieniu sfer artystycznych i literackich—„albowiem będzie czas, powiada wielki apostoł narodów, gdy zdrowej nauki nie ścierpią, ale według swoich pożądliwości nagromadzą sobie uczycielów, mając świerzbiące uszy; a od prawdy słuchanie odwrócą, a ku baśniom się obrócą" [1]).—Sądzę, że każdy czytający niniejszą pracę, wraz z jej autorem, pragnie, by ten czas fatalny przeszedł jak najrychlej, by Bóg, który na wiosnę posyła na ziemię wiatr ciepły i deszcz odradzający, i dla świata dusz ludzkich, zmęczonych długą zimą niedowiarstwa i niedorzeczności, otworzył wreszcie najobficiej skarby łaski i wionął duchem swoim, a wtenczas „będą stworzone i odnowi się oblicze ziemi".—*Fiat, fiat*.

---

[1]) 2. Timot. IV. 3 4.

KILKA WSPOMNIEŃ KLASZTORNYCH.

Kilka wspomnień klasztornych.

Wiek nasz jest nadzwyczaj ciekawym; ludziska żądni wiedzy, zaglądają wszędzie, gdzie trzeba i gdzie niekoniecznie potrzeba. Nietylko wdarli się do głębi Afryki, do puszcz wilgotnych południowej Ameryki, nietylko zwiedzili, opisali, sfotografowali i zrysowali najmniejszy zakątek, ale radziby wiercić szyby aż do środka ziemi, nie mogą się uspokoić, że do biegunów dotąd nie dopłynęli i raz poraz zaglądają przez teleskopy, czy nie uda się dopatrzyć mieszkańców choćby na początek na księżycu tylko. Wyczytujemy hieroglify i napisy klinowe, wskrzeszamy zamarłe języki i dawno przebrzmiałe dzieje, zapisujemy najmniejszy fakt współczesny, ba, nawet radzibyśmy przyszłość i to bardzo daleką przeniknąć. Zjawiają się opisy życia w wiekach przyszłych, ktoś odważniejszy opisał nawet, co

ludzie w pięćdziesiątym stuleciu mówić będą o wieku XIX (lepiej podobno dla nas, że tego słyszeć już nie będziemy). Pomimo tej jednak, zdało by się, nawet wszechstronnej ciekawości, jest jedna kraina, do której nikt teraz nie zagląda, o której też dla tego najdziwniejsze krążą wieści;—światem tym zapoznanym i zapomnianym jest świat duchowny na ogół, a zakonny w szczególności. Literatura nasza i zagraniczna stara się odwzorowywać wszystkie bez wyjątku strony życia, a im która brudniejsza i wstrętniejsza, tem więcej ma względów, za to o klasztorach panują takie mniej więcej pojęcia, jakie Grecy z czasów Odyssei mieli o Sycylii, gdzie mieścili cyklopa Polifema i jego jednookich towarzyszy. Nikt tych nieznanych krain nie bada, nie zwiedza, nie opisuje— jeśli trzeba czasami wspomnieć, to kilka szablonowych oddawna przyjętych rysów wystarczy. No i doprawdy nic w tem dziwnego. W wieku, w którym cudzołóstwo i nierząd nie schodzą ze sceny teatralnej, dzieje upadłych kobiet zdobią salony uczciwych nawet rodzin, w którym najuboższy biedak marzy już nie o kurze w garnku, którą Henryk IV chciał swych poddanych udobrodziejstwować, ale o używaniu na szeroką skalę, o balach, winach, przedajnych pięknościach, o zbytku Lukullusa i Heliogobala, w tym wieku Rotszyldów i Eiflów, Panamy i Panamino, w wieku francuskich

pornagrafów i naszych pornagrafek i pornografków, w tym naszym XIX wieku powiadam, co kogo obchodzić mogą zakątki, w których głoszą umartwienie, czystość, pokorę i posłuszeństwo? Nietylko ich znać nie chcą ludzie, ale żeby zgłuszyć natręta, który niby stojący za tryumfatorem niewolnik, przypomina im ciągle „proch jesteś i w proch się obrócisz", zarzucono mu na głowę płaszcz pogardy i potwarzy. Zwalono na zakony i zakonników wszystkie najmilsze własne przymioty: próżniactwa, obżarstwa i opilstwa, rozpustę i fanatyzm, osadzono ich w ciemnościach zatęchłych korytarzy i zawieszono u wejścia do nich napis dantejski *„per me siva nella perduta gente"*. Ludzie oświeceni i krytyczni wierzą napisowi i zwracają swe krytyczno-estetyczne studya w stronę Rougon-Macquartów i Kaśki Karyatydy. Co do mnie, lubo powołania do zakonu nigdy nie miałem, czułem jednak od młodości wielką chęć i ciekawość poznania tego tajemniczego i przez to może samo dziwnie pociągającego mnie świata. Zaglądałem też chciwie do klasztorów przy każdej zręczności, a z tych odwiedzin pozostało mi w pamięci nie mało wspomnień i obrazków—niektóre z nich przedstawiam łaskawemu czytelnikowi; niewiem, czy będą one pięknie malowane i czy zająć zdołają, będą wszakże miały tę jednę zaletę, że są wierne i zdejmowane z natury, w naszym wieku

realizmu nie jest to poślednia zaleta. Źle jednak powiedziałem, że to będą obrazki—nie, nawet nie obrazki, ale rysy, przelotne wrażenia i to nie życia wewnętrznego zakonników, ale czysto zewnętrzne, bo zresztą w tak krótkim szkicu, jak obecny, inaczej być nie może.

Było to dość już dawno, gdym po skończeniu Akademii duchownej jechał do Ż. dla objęcia skromnej posady profesora śpiewu w seminaryum dyecezalnem. Dzień był nadzwyczaj skwarny, „perekładna" trzęsąc mną i podrzucając, ginęła w obłokach pyłu, a ja spieczony przez słońce, głodny i spragniony, z najwyższem utęsknieniem wypatrywałem na horyzoncie szczytu kościoła XX. Kapucynów, do których przełożonego miałem list polecający. Dojechałem w końcu. Zobaczyłem kościół o surowej, bez żadnych ozdób facyacie, przed nią niewielki półokrągły dziedziniec, otoczony niewysokim murem i lipami, pośrodku posąg Matki Boskiej, szkaradnie wykręcony podług najgorszej mody rococo. Minąłem to wszystko, a wszedłszy do sieni, pociągnąłem za krzyż drewniany wiszący na łańcuchu zamiast rączki. Za fórtą odezwały się kroki braciszka, który mnie wpuścił i do O. gwardyana zaprowadził. Ten po przywitaniu, widząc moje zmęczenie, coprędzej zabrał mnie do refektarza, gdzie zastałem trzy nakrycia, oczekujące kogoś. Zdziwiony tem, zapytałem, czy się kogo spodziewają, bo już

była 3 po południu, a Kapucyni jedzą obiad o 11-ej. Nie czekamy na nikogo, odpowiedział gwardyan, ale reguła każe nam zawsze zostawiać obiad dla mogących się trafić gości. Trzeba być tak głodnym, spragnionym i zmęczonym, jakim ja wtenczas byłem, by ocenić tę przewidującą miłość bliźniego, mającą pieczę nietylko o tych, którzy są teraz, ale i o tych, którzy mogą być kiedyś; to też wdzięczną pamięć zachowałem dotąd, chociaż powtarzam, było to już dość dawno. Posiliwszy się „regu larnie", zacząłem się ciekawie przypatrywać otoczeniu, tem ciekawiej, że bodaj po raz pierwszy byłem w rzeczywistym klasztorze. Wszędzie wielka prostota i porządek. Refektarz bez żadnych wymysłów. Stoły wprawdzie nie nakryte obrusami (tylko serwety leżały przy talerzach) były za to z tak starego dębu i tak lśniące, że od razu zwracały uwagę. Na ścianach stare i ciemne jakieś obrazy, para portretów dobrodziejów i fundatorów, ławy dębowe przy stołach, ot i wszystko. Wyszedłem na korytarze, tam takież samo ubóstwo; były one tak wąz kie, że tylko dwaj ludzie mogli iść obok siebie wygodnie, po obydwóch stronach drzwi do cel małych i ciasnych, przy drzwiach wszędzie klamki drewniane podnoszone za pomocą sznurka czy rzemyka, nadedrzwiami w czarnych ramach pobożne sentencye, w celi każdej stół, łóżko, para stołków, a na drzwiach trzy kołki

na ubranie. Dzwonek był tylko przy fórcie, zresztą wewnątrz domu zastępowała go blacha żelazna, wisząca przy refektarzu; uderzano w nią, gdy trzeba było dzwonić. Wszystko to wraz z postaciami otaczających kapucynów robiło na mnie dziwne wrażenie, pełne tajemniczego, mistycznego uroku—takie tu wszystko było inne, niż na świecie widziałem. Szczególnie uderzyły mnie obrazy wiszące na ścianach. Przedstawiały one rozmaite wypadki z historyi zakonu kapucyńskiego; pełno tam było cudów i dziwów, przedstawionych z wielką naiwnością pod względem sztuki i bez żadnego oglądania się na to, coby świat o ich treści powiedział. Tak, czułem, że jestem w innym świecie, wśród innych ludzi—niema tam żadnych co do wiary wątpliwości, nikt Bogu nie odmawia prawa mięszania się do spraw ludzkich, tu cud największy uważany jest za rzecz nietylko możliwą, ale nawet za zupełnie naturalną, równie naturalną, jak ruch ziemi i gwiazd, coroczne odradzanie się roślinności, mnożenie się ludzi i zwierząt. Zdało mi się, że jestem w przedsionku wielkiego mocarza i rozmawiam z jego sługami; gdy inni, bardziej oddaleni, poddani czasami wątpią o jego istnieniu, często nie pamiętają o nim, tu mówią o nim, jak o panu, którego się codnia widuje, do którego za godzinę się powróci. Później zrozumiałem lepiej jeszcze naturę pierwszego wrażenia; klasztor, w którym

reguła ściśle się zachowuje, jest urzeczywistnieniem w małym ziemi zakątku chrześcijańskiej idei i chrześcijańskiego pojęcia o życiu; tutaj po odrzuceniu wszelkiego blichtru i ułudy życie na ziemi okazuje się czem jest w rzeczywisistości—walką, krótką chwilą przejścia do innego żywota i innego celu. Dla tego to zakony i klasztory budzą taki entuzyazm w ludziach wierzących, dla tego tak są wstrętne wszystkim przeciwnikom idei chrześcijańskiej, wszystkim poganom. Zarzuty próżniactwa, egoizmu i niewiem już czego, mogą chyba złudzić tylko bardzo naiwnych, bo przecież nikomu nie tajno, że właśnie nowoczesne prądy dążą do tego, żeby jaknajmniej pracować, jaknajwięcej używać, i na pierwszem miejscu wszędzie i zawsze siebie tylko postawić.

Przed laty dziesięciu wychyliłem się pierwszy raz za granicę, jadąc do Karlsbadu na kuracyę. Po drodze zwiedziłem kilka klasztorów. Wizyt moich wszystkich opisywać nie będę, bo i za długo by było i nie wszystkie warte tego, wspomnę tylko o dwóch. Szedłem do kościoła OO. dominikanów i zdaleka już posłyszałem wychodzący z niego potężny śpiew gregoryański przy akompaniamencie organów, szedłem więc prędzej, niezmiernie zaciekawiony tak fenomenalnie silnym głosem organisty, po kilku wschodach zstąpiłem do kościoła i tam dopiero rozwiązała mi się zagadka. Na presbi

teryum stało ze dwudziestu kilku zakonników i śpiewało *Salve Regina*. Śpiewali unisono jak jeden człowiek, a organista akompaniował im na organach tak doskonale, jakby to on sam śpiewał. Pierwszy to raz słyszałem śpiew gregoryański wykonywany w ten sposób, u nas bowiem, do śpiewu chóralnego wchodzą wtóry i basy, które wcale wtórami i basami nie są, a brzęczą i huczą zupełnie dowolnie, tak, że śpiew nie jest wcale ani gregoryańskiem unisono, ani polifonicznym harmonizowanym śpiewem. Siadłem w pierwszej ławce i patrzyłem przed siebie. Gotyckie filary szły jeden za drugim, unosząc wysokie szafirowe sklepienie usiane złotemi gwiazdami, przez wązkie okna padały ostatnie promienie zachodzącego słońca, przedemną słały się kamienne przestwory ogromnego kościoła, a tam w końcu jego dwa szeregi białych postaci wołały w surowym dyatonicznym śpiewie: *ad Te suspiramus gementes et flentes in hac lacrimarum valle*. Siedziałem jak oczarowany, tak silne wrażenie zrobił na mnie piękny kościół, pierwsza bodaj więsza gotycka świątynia, jaką widziałem. Postanowiłem przypatrzeć się jej bliżej i nazajutrz zamiar mój spełniłem. Po oględzinach kościoła wszedłem do zakrystyi, gdzie podziwiałem ślicznie rzeźbione szafy w stylu odrodzenia, w końcu poprosiłem młodziutkiego braciszka, by od przeora otrzymał dla mnie pozwolenie zwie-

dzenia klasztoru. Na nieszczęście trafiłem w czasie obiadu, chciałem więc odejść, ale braciszek, pomimo protestacyj moich, uwiadomił przeora, który też wyszedł natychmiast z refektarza, a podając mi rękę, twardą jak drzewo, zapytał *„che cosa vuole?"* Ujrzałem przed sobą najpiękniejszy typ średniowiecznego mnicha, jakby żywcem zstąpił z jakiegoś obrazu włoskiego; i rzeczywiście był włochem, a nazywał się Pavoni. On to sam rysował i własnoręcznie rzeźbił w drzewie konfesyonały, ołtarze i ławki stojące w kościele, dla tego też i rękę miał tak zapracowaną. Zdobywając się na najlepszą włoszczyznę, na jaką mnie stać było, wyraziłem mu moje zamiłowanie do klasztorów, moją ciekawość i pragnienie oglądania starożytnego klasztoru, któremu przewodniczył i t. d. W naszych czasach ciekawość taka widocznie bywa rzadką, bo ksiądz przeor spojrzał na mnie z widocznem niedowierzaniem i zdziwieniem, poprosił jednak do siebie. Szliśmy przez korytarze, którym z wielką się przypatrywałem ciekawością. Były bardzo rozmaite. Jeden bardzo wysoki a prawie ciemny, bo tylko jednem dużem oknem oświecony, po obydwóch stronach drzwi, na ścianach portrety znakomitości zakonnych; inny znowu szeroki, jasny, wysoki o ślicznych renesansowych sklepieniach; wszędzie pełno malowideł, rozmaitych pamiątek. Jakie by to mogły być piękne korytarze, gdyby

były w należytym stanie! Od pożaru w 1850 roku klasztor dotąd nie wrócił do dawnej świetności; posadzki kamienne pokruszone, malowidła uszkodzone, ślady zniszczenia, niestety, wszędzie widoczne. Weszliśmy w końcu do mieszkania księdza przeora; trudno wymyślić coś równie skromnego. Składało się ono z dwóch małych, sklepionych celek; w pierwszej, przeznaczonej dla gości, stały nędzne drewniane krzesła, para nieosobliwych stołów, zresztą mnóstwo zrzynków papieru, porozrzucanych zwitków, ołówków, cyrklów, książek, kilka portfelów leżało tu i owdzie, para obrazków na ścianie. Widać było, że tu mieszka człowiek, który nie ma czasu na drobiazgowe sprzątanie, a o wygodnych meblach, dywanach, kloszach, pachnidłach i tp. wymaganiach współczesnej miękkości najmniejszego nie ma wyobrażenia. Rozmowa z początku kulawa, ożywiła się, gdym ją wprowadził na tory artystyczne i pochwalił niektóre roboty mego gospodarza. Zaczął mi więc odkrywać tekę za teką, pokazywać rysunek za rysunkiem; czarne oczy włocha błyskały coraz żywiej. Ktoś zapukał do drzwi i otworzył je zlekka, lecz zobaczywszy gościa, chciał się cofnąć dyskretnie.—„*Favorisca, favorisca*", zawołał żywo przeor. Oto rekomenduję księdzu, rzekł do mnie, naszego artystę malarza. Gdy przybył trzeci towarzysz rozmowy, ożywienie nasze jeszcze się wzmo-

cniło; przyznałem się im, że *„anch'io fui un poco pittore"*. W zapale rozprawiania utworzyliśmy jakąś dziwną językową mieszaninę łacińsko-polsko-włosko-francuską, przeor bowiem mówił po polsku równie źle, jak ja po włosku. Żartowaliśmy też sobie z jego polszczyzny, on z mojej włoszczyzny i harmonia była wyborna. Rozochocony ojciec Pavoni pokazał mi plany, posągi i gotowe już części wielkiego w stylu gotyckim ołtarza, który właśnie wznosić zamierzał. Wydało mi się to na razie wcale dobrem, niestety, po kilku latach zwiedziłem znowu ten kościół i zobaczyłem w nim ogromne, ciężkie, aż pod sufit sięgające budowanie; był to właśnie ów ołtarz, który skończony zrobił na mnie bardzo niefortunne wrażenie.

Następnie zwiedziliśmy pracownię owego zakonnika malarza, którego imienia i nazwiska już nie pamiętam. Był to obszerny i dobrze oświetlony pokój, a w nim było kilka malowideł zaczętych, skończonych i zarysowanych ledwo (jeden obraz z życia św. Tomasza wydał mi się nawet bardzo dobrym), stało kilka manekinów, leżały rozmaite malarskie przybory—jednego tylko brakowało—żywej natury. Przyznaję, że nie umiem sobie wyobrazić, jak zakonnicy malarze obchodzą się bez malowania z natury, zwłaszcza postaci kobiecych, scen wojennych, tłoku, ulicy. Zdaje mi się, że są

oni z konieczności swego położenia w tych razach na konwencyonalność i mnóstwo niedokładności skazani i stanowią żywą sprzeczność z teraźniejszymi zmateryalizowanymi artystami. U tych bowiem wszystko zależy na wiernem naśladowaniu natury przy zupełnym nieraz braku myśli, u tamtych myśl i prawda w treści, a niedostateczne studya z natury. W chwili jednak, gdym zwiedzał dominikańską pracownię, nie myślałem bodaj o tem, bom był pełen rozradowania, spotkawszy w klasztornym zakątku i w mniszym habicie dwie artystyczne dusze—była to uczta, do której niezmiernie rzadko udaje mi się zasiąść, choć żyję wśród świata, tak bardzo lubiącego zarzucać zakonnikom nieuctwo i barbarzyństwo artystyczne. Znałem setki ludzi z klas wyższych, a nie wiem, czy dwudziestu naliczyłbym znawców i lubowników sztuki.

Najciekawszym dla mnie ze wszystkich był klasztor kamedułów. Znajomi moi, którzy go dawniej zwiedzali, rozpowiadali mi o nim dziwy i cuda; jaśniał on w mej wyobraźni na wysokiej górze, samotnej i otoczonej mistycznym urokiem dawnych pustelników Tebaidy. Na wiecznie zielonym szczycie, niby Mojżesz w czasie bitwy z Amalecytami, wznoszą surowi synowie św. Romualda nieskalane ręce ku niebu; tam co dnia wśród niezamąconej ciszy ofiarują oni Bogu „ofiarę czystą” za żywych

i umarłych, tam pędzą żywot w poście i umartwieniu; wiecznie milczące usta otwierają się tylko „siedemkroć na dzień" dla wyznawania Panu; a gdy noc ciemna otuli swym płaszczem uśpione w oddaleniu miasto i okoliczne pola i góry dalekie, wtenczas o samej północy błyska światełko w oknach samotnego kościoła, odmykają się cicho drzwi domków milczących i jak cienie wymykają się z nich bez szelestu białe mnichów postaci, a stanąwszy w kościele w dwa szeregi, jak dwa hufce jasnych bezcielesnych duchów, rozpoczynają długą modlitwę, która z jękiem i wzdychaniem, niby dym wonny turybularza, wznosi się gdzieś za gwiazdy migocące w bezdennym błękicie, lub wiatrem porwana mknie z czarnemi chmury nad głowami uśpionych a grzesznych, płacząc i zawodząc ...„*parce Domine, parce populo Tuo*". tak sobie wyobrażałem ten klasztor, jednak dla braku czasu nie mogłem go odwiedzić prędzej, aż dopiero wracając do domu.

Jadąc do Karlsbadu, nie mogłem oczywiście opuścić Pragi. Zatrzymałem się w niej i pilnie zwiedzałem liczne a ciekawe jej pomniki. Był tam jednak na uboczu kąt jeden mało znany i rzadko zwiedzany, który mnie ciągnął ku sobie więcej może, niż co innego, a był nim klasztor i kościół benedyktynów, zwany Emmaus, zapewne od obrazu w wielkim ołtarzu, przedstawiający wieczerzę w Emmaus. Wiado-

mo, że kulturkampf porozpędzał zakonników niemieckich na wszystkie świata strony, temuż losowi ulegli i benedyktyni z głośnego klasztoru Beurońskiego w maluczkiem księstwie Hohenzollernów Sigmaringen; słynęli oni ze szczególnego zamiłowania w pielęgnowaniu muzyki i malarstwa religijnego. Wypędzeni z macierzystego domu, poosiadali w rozmaitych klasztorach swego zakonu, wnosząc wszędzie malarstwo swej szkoły i muzykę w duchu szczerze gregoryańskim. Pewna ich kolonia osiadła właśnie w tym małym klasztorze, dawniej opuszczonym, a teraz przez nich odnawianym i dotąd zapewne już zupełnie odnowionym. Odszukałem tedy ów Emmaus i trafiłem właśnie po nieszporach. Cały kościół był nasycony zapachem jakiegoś niezmiernie subtelnego i delikatnego kadzidła, a co więcej zdało mi się, że jak niegdyś obłok napełniał świątynię Salomona, tak ten kościół przepełniała modlitwa, niby dusza niewidzialna ożywiająca całe to ciało z kamienia. Wszystko tak było urządzone, wszystko, od najmniejszych szczegółów począwszy, wypływało tutaj z wiary żywej i szczerej, wszystko było modlitwą serdeczną—tryskała ona z każdego kamienia, z każdego sprzętu kościelnego, z każdego obrazu. Kto modli się sam, niechybnie odczuje ten nieuchwytny na pozór objaw ducha ludzkiego, a zapewne i łaski Boskiej obecnej w miejscu modlitwy. Ko-

ściół ten jest wcale niewielkim budynkiem w stylu romańskim; nawy boczne są równej wysokości ze średnią, przez co ta ostatnia własnych okien nie posiada. Cały kościół był właśnie niedawno wymalowany w sposób u nas nigdzie nie widziany. Kolorów użyto silnych i wyraźnych, a kładziono je śmiało jeden obok drugiego w rażącej na pozór pstrociznie. Mieszkańcy naszych stron, zwłaszcza mający pretensyą do estetyki, przyzwyczajeni do mdłych kolorów w rodzaju *vert malade* i do wielkiej monotonii w ich użyciu, wydawaliby okrzyki zgrozy na widok tego oryginalnego malowania wykonanego z całą naiwnością i energią zarazem wieków średnich. Mnie jednak te pasy i ramy i pola różnokolorowe podobały się bardzo, bo ich pstrocizna zlewała się zdala w zgodne tony, zwłaszcza, że pamiętano, by kłaść obok siebie lub niedaleko kolory dopełniające się wzajemnie. (Rzecz przez cały nasz ogół zupełnie nieznana—jak wiadomo, używa się zwykle w umeblowaniu i malowaniu mieszkań i kościołów koloru jednego, tylko w rozmaitych odcieniach i sile, przez co się im nadaje nudny i monotonny pozór). Okna kolorowe, nie były malowane we wiadomy ogólnie sposób, nie składały się także z kawałków różnokolorowego szkła; były zabarwione łagodnie w sposób mi nieznany, a choć nieraz spotykałem potem takie okna, nie rozpytałem się jednak, jak się

ten rodzaj nazywa. Jest on z tego względu dobrym, że hamuje trochę i zabarwia zlekka światło dzienne, ale nie zaciemnia kościoła tak, jak okna malowane w gotyckich kościołach. Nie można by też pozwolić na zaciemnienie zbyteczne wnętrza, ze względu na obrazy, pokrywające szerokie przestrzenie ścienne, jakie styl romański oddaje do rozporządzenia artysty. Ściany kościoła Emmaus były niemi pokryte i warto je było oglądać, bo miałem przed oczyma pierwsze okazy głośnej za granicą benedyktyńsko-beurońskiej szkoły. U nas mało kto o niej słyszał, a jeszcze mniej kto widział, może więc nie od rzeczy będzie słów kilka o niej pomieścić. Na ile z tego, com widział i czytał o wspomnionym malarskim kierunku, mogłem wyrobić sobie o nim pojęcie, to bym powiedział, że cechą jego charakterystyczną, a radykalnie panującemu kierunkowi przeciwną, jest stanowcza i zupełna przewaga myśli i treści nad formą, która jest o tyle tylko zachowywaną, o ile tego konieczność wymaga. Rysunek wprawdzie wszędzie widziałem poprawny, natomiast koloryt ogranicza się bardzo często do barw lokalnych z bardzo ogólnikowem uwzględnieniem tonów, bryłowatość pozostawia wiele do życzenia, kompozycya sprowadzona do form swych najprostszych, figury często przypominają sztywność bizantyńską prawie. Za to szkoła ta ma niezmierne także zalety.

Na pierwszem miejscu postawiłbym to, że zauważyłem w niej powrót do dawnych pojęć, gdy w kościołach architektura, rzeźba, malarstwo, a w swym rodzaju i muzyka także, stanowiły jedność, wypływając z jednej myśli i jednego ducha. Nie myślę bynajmniej zaprzeczać każdej z tych sztuk prawa do samodzielnego życia, ale też twierdzę, że zrzeczenie się każdej z nich w kościele ze swej strony części swej samodzielności dla korzyści ogółu, wydaje owoc wspaniały. Dusza znawcy chrześcijańskiego nie może się nasycić harmonią i zgodą, jaka w podobnej świątyni panuje. Dotąd mi tkwi w pamięci rozkoszne wrażenie, jakiego doświadczałem, oglądając pokolei te obrazy, tak umiejętnie zastosowane, tak odpowiadające przeznaczeniu każdego miejsca, tak wstrzemięźliwe, nie krzyczące, nie wyrywające się, nie silące się na zwrócenie wyłącznej uwagi na siebie. Było to jakby obcowanie z ludźmi wyćwiczonymi w pokorze i wstrzemięźliwości chrześcijańskiej. Dotąd widzę w oratoryum zimowem postacie świętych, zapełniające całą ścianę nad stalami, oświetlone łagodnie zabarwionem światłem okien, o których wspomniałem. Stoją one obok siebie w świętej zadumie jedne, w głębokiem skupieniu drugie, rzadko które w ekstazie, którą tak lubili szafować malarze ostatnich wieków. Jeśli przedmiot wymaga kilku osób, to kompozycya zawsze jest jak najprostsza i od-

razu zrozumiała; żadnego zawikłania, ani osób zbytecznych (rzekłbym figurantów) żadnej pretensyi do efektu, a taką jasność i prostotę policzyłbym także tej szkole za wielką zaletę. Nie mniejszą jest doskonała znajomość ducha religijnego i przedmiotu malowanego—dyletantyzmu tam niema za grosz; każdy szczegół ob myślany, najmniejszy ruch zgodny z pismem św., historyą czy podaniem katolickiem. To też wobec takich obrazów wierzący katolik swobodniej oddycha, zwłaszcza gdy uprzednio spotykał te malowane dziwolągi, niedorzeczności a często bluźnierstwa, które nowocześni malarze podają za religijne obrazy. Znawcy nazywają szkołę beurońską eklektyczną i tak jest rzeczywiście; bierze ona, co uważa za lepsze ze wszystkich stron. Prawidłowy rysunek, a zapewne i niejedną techniczną tajemnicę zawdzięcza nowszym czasom; surowość prawie sztywną od bizantyńskiej, doskonałą prawowierność, prostotę układu, symbolizm i allegoryę od dawnych szkół przedrenesansowych. Powiedziałbym nawet, że tych allegoryj i pewnych zwyczajów czy środków dobrych w dziecińwie sztuki zanadto, a zgoła niepotrzebnie używają artyści beurońscy. Pod krzyżem np. Zbawiciela stoją rozmaite osoby, których tam jako żywo nigdy nie było; zakonnicy płci obojej, biskupi, święci różnych wieków—anachronizm dla naszego wieku wcale nie potrzebny. U stóp

krzyża tryskają cztery strumienia (łaski), a z nich pije jeleń (dusza spragniona prawdy); święci mają nieodmiennie około głowy dawną złotą aureolę, przez co głowy wyglądają, jakby były na złotym talerzu, który znowu zasłania zupełnie część znaczną sąsiedniej postaci. Na obrazie przedstawiającym widzenie kamedułów po śmierci św. Benedykta, wstępuje on do nieba ze swoją złotą aureolą wśród pochodni i świec, których płomienie także są złote. Podobnych usterek możnaby więcej naliczyć. Zresztą są to rzeczy na razie konieczne; jak renesansowi artyści ulegli na długi czas dawnym greckim i rzymskim wspomnieniom, tak i odradzająca się sztuka chrześcijańska musi przez czas pewien ulegać wpływom dawniejszym, nim je przetrawi, przyswoi sobie i na oryginalne wejdzie tory. Pomimo tego wszystkiego, te prawdziwie chrześcijańskie malowidła, te ołtarze i wszystkie sprzęty kościelne, najściślej odpowiadające myśli i duchowi Kościoła, złożyły się na efekt najbardziej pożądany, t. j. na zrobienie z tego kościoła rzeczywistego miejsca modlitwy, która, jak rzekłem, tryskała w nim wszędzie i niewidomie napełniała go całkowicie. Braciszek Czech, pełniący służbę w zakrystyi, nie mógł się ze mną porozumieć, wezwał więc księdza, umiejącego po łacinie. Wszedł też wkrótce do oratoryum zimowego, które opatrywałem, młody zakonnik—najsłodszy chy-

ba i najmilszy człowiek, jakiegom w życiu spotkał. Rozumne czarne oczy patrzyły spokojnie i łagodnie, z ust widniała dobroć nieprzebrana, cała postać tchnęła owym „dobrym tonem" wyrobionego duchowo człowieka, który tak samo można poznać, jak dobre maniery ludzi przyzwyczajonych do wyższego towarzystwa. Wprowadził mnie do klasztoru, tworzącego z kościołem czworobok. W ogródku środkowym dwaj brodaci bracia laicy zajęci byli polewaniem i pielęgnowaniem kwiatów. Korytarze były niegdyś malowane i dotąd pozostały w wielu miejscach stare zniszczone freski, teraz jeden z malarzy klasztornych (a miał ich klasztor dwóch) malował nowe w tym samym, co i kościół, beurońskim stylu. Wstąpiłem do celi nieobecnego zakonnika. Pokój wcale dostateczny, łóżko przykryte kołdrą bardzo do naszych sławuckich podobną, stół do pisania, wysoki pulpit do pracowania stojąc—słowem było w niej, jak mówi przysłowie, ubogo ale chędogo. Wyobrażam sobie, jak tam spokojnie można myśleć, modlić się i pracować, zdala od gwaru, wśród grona dobranych braci, wśród obrazów i pamiątek świętych, mając z jednej strony ów kościół romański, z drugiej bibliotekę. Kto w tej celi znalazł się z powołania, może przyznać sobie, że obrał cząstkę najlepszą. Zwiedziłem bibliotekę, dość dużą salę, od podłogi do sufitu zapełnioną księgami, dosko-

nale i w porządku utrzymywanemi. Dwaj czy trzej zakonnicy, niby zapóźnione pszczoły wśród kwiatów, coś tam w nich notowali i porządkowali. W refektarzu skromnym i bez żadnych ozdób, stało kilka stołów dębowych. To stół starszyzny, mówił mi przewodnik, tu siadają laicy, tam nowicyusze—to *mensa hospitum*—stół gości. „To i mnie przyjęlibyście na kolacyą, pytam, żartując. Ależ owszem prosimy, bardzo prosimy, u nas wszak gościnność jest dziedziczną, każdego przyjmiemy, tembardziej kapłana ze stron dalekich. Obszedłem wszystkie kąty i z żalem zbliżałem się do furty. *Orationibus tuis me commendo*, były ostatnie słowa pożegnania—drzwi klasztorne zamknęły się za mną i cichy zakonnik powrócił do swych książek, do swych równie jak on cichych, z rodzinnego gniazda wygnanych braci, do swego romańskiego kościoła, ja pojechałem dalej do Karlsbadu i pijąc tam wody, patrzałem długo na strojne damy, bogatych panów, na zbytki ludzi, zebranych od czterech wiatrów—inny to był świat, świat głośny, szumny, zarozumiały, pewny siebie, ale czy szczęśliwy? Odbiegłem jednak od rzeczy, więc znowu wracam do moich wrażeń klasztornych, a było ich dosyć w samej Pradze, bo nim wyjechałem zwiedziłem jeszcze kilka kościołów i klasztorów. Jednym z najbardziej zaleconych w „przewodnikach" jest klasztor Norbertanów na Stra-

howie, który ma ogromną bibliotekę, własną galeryę obrazów i słynie z cudownego położenia i rozległych widoków. Do biblioteki dostać się nie mogłem, bo jakby fatalizmem jakimś wiedziony, zwykle przychodziłem do klasztorów w obiadowej porze i tutaj trafiłem tak samo. Pomimo to jednak ksiądz „sekretarz" zawiadomiony przez odźwiernego wyszedł do mnie uśmiechnięty i najuprzejmiej posłał kogoś po zakrystyana, by mnie służył za cicerona, a sam wrócił do refektarza, skąd dolatywał wesoły szum i rozhowor. Był to bowiem dzień św. Cyrylla i Metodego, a że jak dowiedziałem się potem, było kilku solenizantów wśród ojców i braci, a w dodatku uroczyste i narodowe święto czeskie, więc już czytania duchownego nie było, a ojcowie gwarzyli i uczto wali wesoło. Czekając na swego przewodnika, spacerowałem tymczasem po korytarzach i cieszyłem się nimi. Jak tu miło i wygodnie błądzić po tych ogromnych, pięknie sklepionych, wysokich przestrzeniach! Przez duże okna światło wpadało strumieniami, ciekawie zaglądały kwiaty i zielone drzew gałęzie, w przecięciu korytarzy odkrywała się coraz nowa perspektywa, jakby w labiryncie jakim. Nadszedł zakrystyan i zaczęliśmy zwiedzanie od kościoła. Dość duży to gmach; zapamiętałem tylko z niego sklepienie pokryte przez malarza zakonnika scenami z życia św. Norberta wcale dobremi,

grób tego świętego w kaplicy po lewej stronie i parę nagrobków królów czeskich. W klasztorze zwiedziłem między innemi kaplicę, nie pomnę do jakiego specyalnego celu służącą, a przepełnioną czerwonym marmurem, następnie refektarz, który mój przewodnił nazwał letnim. Jabym sądził, że on jest raczej świątecznym, bo choć było lato, to zakonnicy obiadowali w innym, a ten stał pusty. Jest to sala, która nietylko zakonnikom, ale książętom udzielnym mogłaby służyć. Ogromna, wysoka przez dwa piętra, oświetlona odpowiednio wielkiemi oknami, imponowała mi swoją wspaniałością, ściany i sklepienie malowane. Trochę z tego malowania pamiętam dotąd, bo wydało mi się bardzo oryginalnem. Więc od gzemsu począwszy, całe sklepienie u dołu otoczone było malowaną galeryą w stylu rococo, a za nią przeróżne sceny, mniej lub więcej budujące, ale zawsze z jedzeniem mające związek. Tu np. pobożni zakonnicy i zakonnice rozdają obiady tłumnie na schody cisnącym się ubogim; ówdzie jakaś dusza litościwa daje kawałek chleba żebrakowi, tam Marta i Marya usługują Panu Jezusowi, weselą się goście w Kanie Galilejskiej i t p. Na ścianie naprzeciwko miejsca opata wisiał obraz przedstawiający Zbawiciela na puszczy, w tej właśnie chwili, gdy odpędził szatana. Tłum aniołów służył Mu, ofiarując kosze pełne różnych bardzo pięknych owo-

ców. Między oknami wisiały, jak zwykle bywa, portrety znakomitości domowych i rodzinnych, a wśród nich na pierwszem miejscu kardynał z tego właśnie klasztoru pochodzący. Słynny ogród Strahowskiego klasztoru rozłożony jest na pochyłości góry; kiedy za plecami widza zwróconego ku miastu wznosi się ona pokryta krzewami i bukietami drzew starych, przed nim rozściela się niezrównany widok na całą Pragę, rozłożoną po pagórkach i jarach, napiętrzoną wieżami, rozdzieloną szeroką Wełtawą, która znowu niby klamrami spięta kilku mostami. Cały ten uroczy widok zamiast ramy otoczony był widniejącemi w oddali polami, falującemi dojrzewającem zbożem. Jakiś chudy proboszcz w podartych rękawiczkach, który się tam znalazł obok mnie, nie mógł się nacieszyć tym widokiem i wciąż wykrzykiwał swoje „*wunderschön*". Rzeczywiście było tam cudnie pięknie i pomyśleć tylko, że kiedy w rzeczywistości zwiedzając klasztory, tak często znajduje się w nich tyle pięknych widoków, tyle światła, powietrza, nasi i nie nasi pisarze mają sobie za obowiązek nieodmiennie umieszczać zakonników i ascetów swoich powieści w ciasnocie i wilgoci, za kratami zardzewiałemi, niby Aldonę w pustelniczej wieży, jak gdyby wilgoci, ciemnych mieszkań, ciasnoty mało było wśród ludzi, najmniejszej z ascetyzmem nie mających styczności! Gale-

rya obrazów zajmuje dwie duże sale i trzeci niewielki przechodni pokój. Arcydzieł głośnej sławy tam jużci niema, są jednak bardzo dobre obrazy. Pamiętam dwa czy trzy. Dürery, portret rycerza okrutnie zamaszystego, z nowszych rzeczy bardzo dobry portret ówczesnego opata, który wtenczas bawił w Rzymie. Patrząc na ten portret, chciało się powiedzieć, jak krawiec, o którym wspomina Odyniec, wyraził się o Goethem—*s'ist ein grosser Herr*. Nie było to jednak tylko *grosser Herr*, ale i uczony człowiek, spotykałem później w katalogach jego prace z dziedziny historyi kościelnej. Niestety w galeryi tej spostrzegłem, a trudno było nie spostrzedz, bo stał naprzeciw drzwi wchodowych, obraz tak nieprzyzwoity, choć dobrze malowany, że tylko dziwić się można, do jakiego stopnia jest silnem źle zrozumiane bałwochwalstwo sztuki, kiedy pozwala zakonnikom trzymać malowidło, niczego więcej nie warte jak spalenia. Nic podobnie niesmacznego nie widziałem w żadnej z kilkudziesięciu wystaw i galeryj, jakie zwiedziłem dotąd. Ruszając tedy ramionami na ową zbyteczną tolerancyę synów św. Norberta, wychodziłem z galeryi i spotkałem dopiero zakonników, powracających do swych cel po imieninowym obiedzie; nie obcowałem z nimi więcej, ale wyniosłem miłe wrażenie z tego wspaniałego gmachu—co prawda ów obrazek był fałszywym tonem

w akordzie, ale łatwo było na to zaradzić; jeśli nie zniszczyć, to dość go było do ściany odwrócić. Pomijam mnóstwo dawniejszych i mniej dawnych wrażeń, by skończyć na jednem z ostatnich, które mi stoi przed oczyma, jakby jakaś sielanka zakonna, niby jeden z tych obrazków pustelni wśród uroczej natury, które tak wabiły młodzieńczą wyobraźnię. W drodze do Włoch, zatrzymałem się dla odpoczynku w małej mieścinie szwajcarskiej Fluelen na południowym końcu jeziora czterech kantonów. Ranną przechadzkę oczywiście poświęciłem kaplicy Tella, po obiedzie wybrałem się do Altdorfu, gdzie to legendowy bohater miał strzelać do jabłka na głowie syna. Niedaleka, najwięcej dwa kilometry wynosząca droga, prowadziła szeroką doliną. Z jednej i z drugiej strony wznosiły się niebotyczne Alpy, z prawej nie pamiętam jaka rzeka spieszyła z daniną wód swoich do jeziora, wzdłuż jej brzegów ciągnęła się kolej żelazna, zresztą na dolinie, niby zielonym aksamitem wysłanej, nikogo nie było prócz licznych krów, ustawicznie brzęczących kołatkami. Jestem już niedaleko miasteczka; naprzeciwko idzie 12 letnia może dziewczyna, niosąca wiadra na plecach, zobaczywszy mnie postawiła wiadra i biegnie do mnie wyciągając rękę z powitaniem „*gelobt sei Jezus Christus*". Znałem już ten zwyczaj, bo dzieci od Ischlu począwszy, wszędzie w taki sposób

mnie witały, (gdy starzy zdejmują czapkę albo całują w rękę), bardzo serdecznie więc uściskałem podaną mi prawicę. Przed samem miastem, hurma cała dzieci bawiła się z wielkiem zajęciem pomiędzy krzakami i znowu na mój widok porzucali patyki, drewniane pałasze, łuki i inne śmierciodajne narzędzia i biegli krzycząc *gelobt sei J. Christus* i wyciągając brudne łapki—znowu tedy uściski i powitania, a tak przyjaźnie przyjęty przez młodych obywateli Altdorfu wstąpiłem śmiało do mikroskopicznej stolicy niezależnego kantonu (zaledwo 2000 mieszkańców) i kierowałem się do klasztoru księży kapucynów, który wisiał przyczepiony u boku góry, sterczącej nad miasteczkiem. Śliczne bo dziwnie poetyczne położenie tego niewielkiego klasztorku! Podłużny szczyt góry uwieńczony iglastym lasem, pochyłość jej pełna skał i roślinności, wiszarów i niewielkich płaszczyzn, na jednej z nich umieścił się on właśnie mając u stóp Altdorf, a dokoła takie widoki, jakie Szwajcarya dać może. Po licznych schodach, niezbyt miłych do przebycia w dzień upalny, dostałem się na niewielki dziedzińczyk, który cały prawie był nakryty olbrzymim kasztanem stojącym pośrodku. Ogromny pień otaczała ławeczka, a wyżej, gdzie udało się znaleść miejsce, pomieszczano małe z drzewa rzeźbione kapliczki i posążki świętych. Jest to jedna z mniejszych, ale charakterystycznych

cech tego zakonu, owo zamiłowanie do wyrabiania przeróżnych takich pobożnych drobnostek z niezmierną nieraz cierpliwością i wykończeniem. Gustu zwykle tam niewiele, bo też kapucyni , to zakon ubogich i prostaczków, ale lubią bardzo te okazy sztuki niewykształconej, ludowej, bo to objaw szczerej wiary i miłości. Przypominam sobie, że w zakrystyi kościoła *dei Frari* w Wenecyi widziałem na półtora metra wysoką niby szafę niby świątynię arcymisternie rzeźbioną przez kapucyna, a przeznaczoną na relikwie; pracował nad tem długie lata. W tem samem miejscu we framugach stały liczne ponakrywane żółtymi pokrowcami okrągłe przedmioty. Oprowadzający mnie *frate* powiedział mi, że to są wizerunki z wosku rozmaitych świętych z zakonu kapucynów, robione przez jednego z zakonników. Odkrył parę kloszów. Były pod niemi głowy naturalnej wielkości, doskonale wymodelowane i malowane, z naturalnemi brodami, ale widok ich tak przykre robił wrażenie, że gdy braciszek chciał dalej pokazywać, wstrzymałem go uprzejmem *basta, caro fratello*. Wracam jednak do Altdorfu. Zakonnicy szli właśnie do chóru, ale gwardyan o rumianej, dobrotliwie uśmiechniętej twarzy staruszek, pozostał ze mną, a nie mając nic ciekawego w ubogim klasztorku, zaprowadził mnie do swego „wspaniałego ogrodu", jak go nazywał. Nie wydał mi się on

wprawdzie wspaniałym, ale za to niezmiernie oryginalnym. Proszę sobie wyobrazić spory kawał gruntu, wznoszący się coraz wyżej nad klasztor i kościół; ile tam skał mniejszych i większych, ścieżek i schodków w skale kutych, przeróżnej rozległości płaszczyzn, zaraz zmieniających się wyniosłością! Najmniejszy kawałek ziemi wyzyskany; tu pod ścianą skalną rozpięty winograd, nad nim niby baryera okalają brzegi krzaki porzeczek i agrestu, we środku kilka drzew owocowych, gdzieindziej na maleńkim, może naniesionym kawałku ziemi, rośnie karłowata grusza misternie rozpięta na drabince, owdzie zasłoniona od wiatru pokazuje złociste owoce morela, tu i owdzie grządki kwiatów, które kapucyni tak lubią pielęgnować. Wody w ogrodzie mnóstwo, nietylko bowiem płyną z góry różne poniki, ale i źródeł jest kilka, a jedno o dziesięć kroków od drzwi za odkręceniem kranu bije silnym strumieniem chłodnej i czystej wody wprost ze skały. Nie brakło oczywiście ulubionych zakonnikom pobożnych drobiazgów. Nie wydał mi się ten ogród wspaniałym, powtarzam, ale miał to, na co nie każdemu wspaniałemu stać, bo pominąwszy już powietrze niezrównane, roztaczał się z niego widok rozległy, urozmaicony i rzeczywiście wspaniały.

Przed laty jedna z „naszych znanych" poetek, na widok więknego jeziora w Salzkam-

mergucie w takie mniej więcej słowa odezwała się do młodego zakonnika, któryby się śmiał w te strony zabłąkać: „Nakryj, powiada, młody mnichu, głowę kapturem i uciekaj co tchu do twej celi zatęchłej, zamknij ją na żelazne zasuwy i napisz na drzwiach „*pax*", bo inaczej, powiada, krew ci warem do głowy i serca uderzy i będziesz głową rozbijał okoliczne skały". Już w innem miejscu pozwoliłem sobie żartować trochę z nadętej apostrofy szanownej damy, nie mogę jednak i tutaj o niej nie wspomnieć. Gdyby piszący niestworzone banialuki o sprawach duchownych, wiedzieli, jak są śmiesznymi w oczach ludzi znających się na rzeczy, możeby dla miłości własnej, jeśli nie dla miłości prawdy, pohamowali swoje pióro, by nie wkraczało w dziedzinę nieznaną. Pewny też jestem, że autorka owych listów z podróży, z których ustęp przytoczyłem, gdyby raz była czy w tym ogrodzie, czy u Norbertanów w Pradze, czy na Bielanach, przestałaby obawiać się o całość głowy młodych mnichów i zamiast nasuwać im kaptur na oczy, możeby raczej własne zasłoniła ze wstydu, że tak kapitalnego upolowała bąka. Mniejsza o nią zresztą! Jak jednak w tem pięknem ustroniu przyjemnie i cicho upływać musi życie tym kilku ludziom, przyzwyczajonym do modlitwy, umartwienia i samotności! Jak tu dobrze modlić się i rozmyślać! Tu kapłani sąsiedni znajdują kilka dni

spokojnych dla skupienia się, tu mają spowiedników, stąd zakonnicy niosą pomoc duchowną wrazie większego nabożeństwa w okolicy, stąd rozchodzą się na misye wśród ubogiego ludu który im za to daje chętnie jałmużnę. Kto jednak zna ubóstwo i wielką oszczędność Szwajcarów, nie pomyśli chyba, żeby kapucyni w Altdorfie zbyt obfite zbierali daniny.

Na tem wspomnieniu kończę, lecz ileż to w pamięci zostaje przeróżnych osób, spotkań, odwiedzin i wrażeń to wesołych, to znowu poważnych, czasami budujących, to znowu rozrzewniających. Raz np. siedzieliśmy z towarzyszem moim u kraty rozmównicy żeńskiego klasztoru i rozmawiali z krewną tego ostatniego, podeszłą już bardzo staruszką. Nie było końca zapytaniom o ludziach i stronach bardzo dawno niewidzianych, a westchnienia, błogosławieństwa i życzenia przeplatały się ustawicznie. Wkrótce dla powitania gości przyszła przełożona, niezbyt często przezemnie spotykany typ kobiety podeszłej z wyrazem wielkiej i rzeczywistej powagi w twarzy, a niepospolitego rozumu w oczach i na czole. Gdyśmy tak rozmawiali, otwarły się drzwi i weszła z interesem do przełożonej młoda, słusznego wzrostu zakonnica, z silnymi rumieńcami na pięknej, białej jak marmur twarzy. Krótka rozmowa wystarczyła, by poznać w niej osobę z wyższego świata; jakoż dowiedzieliśmy się potem,

że była córką dawnego i znanego rodu, że była kochaniem całego klasztoru, że była w ostatnim stopniu suchot, o śmierci blizkiej doskonale wiedziała, czekała jej z radością i utęsknieniem, a tymczasem jako łaskę wyprosiła sobie najniższy i najkłopotliwszy w domu obowiązek—odźwiernej. W kilka miesięcy potem rzeczywiście umarła, a śmierć jej mogłaby nastręczyć temat do takiegoż samego obrazu, jak ten, który widziano na jednej z nowszych wystaw. W surowej, sklepionej sali, wśród świec gorejących, u stóp krucyfiksu leżą zwłoki młodej umarłej; zebrane zakonnice jedne się modlą, inne patrzą z rozrzewnieniem i wskazują sobie z zazdrością, łagodnie uśmiechnioną, z zastygłym na bladej twarzy wyrazem niezmąconego spokoju — *szczęśliwą siostrę*. Zaprawdę szczęśliwa, stawszy się za krótki czas doskonałą, jak powiada Pismo św., przeżyła czasów wiele [1]), po falach życia, jak mówi poeta, przemknęła pocichu, (Zaleski) dobiła do portu, nie zaznawszy burz, łamania się z bólami życia i wprost ze swej celki ubogiej przy drzwiach klasztornych rzuciła się w bezmiary światła, spokoju i szczęścia, z okrzykiem miłości na ustach *O Deus ego amo Te!* [2]). Szczęśliwa!

---

[1]) Mędr. IV, 13.
[2]) Św. Franc. Xawery.

Czy to jednak wszystko prawda obiecana na początku, pomyśli kto może, czy możebną jest rzeczą, żeby wszędzie po klasztorach znajdowali się tylko ludzie dobrzy, uczeni i święci, żeby tam były muzea sztuki i szkoła wszelkich umiejętności, a nie było stron ciemnych? Owszem są strony ciemne i smutne; bywa to najpierwej, gdy nad klasztorem przeszła *force majeure* i wyrzuciła mieszkańców jego z właściwej im kolei. Długo np. pamiętać będę smutne wrażenie, jakie na mnie sprawił sławny klasztor bernardynów przy kościele św. Antoniego w Padwie. Na dziedzińcach klasztornych hałasowały dzieci, w krużgankach spacerowały kobiety pod rękę z mężczyznami, przewijali się urzędnicy i wojskowi i ledwo gdzieś na górze w dwóch ciemnych i brudnych korytarzach odszukałem kilkanaście zajętych jeszcze przez zakonników, cierpianych tylko jako straże kościoła, uznanego za własność narodową. Smutnym jest widok habitu przemykającego się bojaźliwie po własnym domu, zajętym przez kogo innego i trzeba zaprawdę dziwnego hartu duszy, żeby w tem nienormalnem położeniu zachować w całej ścisłości regułę i ducha zakonnego. Jeszcze smutniejszym jest widok zgromadzenia, z którego przez winę zakonników duch zakonny uleciał. Co prawda, to takich klasztorów w czasach naszych rzeczywiście jest

mało albo może wcale niema, są tylko indywidua mniej dobre, niżby może być powinny, a zrozumieć to łatwo. W ostatnich stu latach tyle burz przeszło nad zakonami, że wszystko, co słabsze duchowo, oddawna wyrwane z korzeniem i wyrzucone zostało. Źli zakonnicy mieli tysiączne okazye do rzucenia, jak powiada francuzkie przysłowie, habitu w pokrzywę i nieomieszkali też tego uczynić. Niezbyt to dawne jeszcze czasy, gdy bandy Garibaldiego i wojska zjednoczonej Italii roiły się od wywłoków zakonnych. Przy habicie pozostali ci tylko, którzy go umiłowali i nie wstydzili się „zelżywości krzyża". Wszystko tedy, albo prawie wszystko, co było podobne do owych tak często opisywanych i malowanych biboszów, galantów, żarłoków przeszło tam, gdzie znaleść mogło środki do zadowolenia swych potrzeb, gdzie znalazło pobratymcze duchy, które jednakowych z nimi były opinii co do niedorzeczności trzech ślubów zakonnych, a prawdziwości jedynie praktycznej zasady *Wein, Weib und Gesang*. Przez klęski i burze Bóg oczyścił dom swój, gdyż, jak mówi św. Piotr Ap.: czas jest, oby się sąd począł od domu Bożego [1])—i jak wszystko, co robi, do-

---

[1]) Petr. I. IV, 17.

brze bardzo zrobił. Skłaniamy głowy przed nieskończoną mądrością Jego wyroków i z trwożnem oczekiwaniem powtarzamy słowa Zbawiciela: „Jeśli to na zielonem drzewie czynią, cóż na suchem będzie? [1]).

---

[1]) Łuk. XXIII, 31.

NAGOŚĆ W SZTUCE

POD WZGLĘDEM ETYCZNYM I ESTETYCZNYM.

Nagość w sztuce pod względem etycznym i estetycznym.

———

Habent sua fata libelli—można to samo o wielu innych rzeczach, można też o przekonaniach i zasadach powiedzieć. O jedne toczą ludzie zawzięte, często nawet krwawe, spory i walki; inne znowu mało mają obrońców, choć napastników im nie brak. Do takich upośledzonych, u nas przynajmniej, kwestyę zaliczyłbym powyżej wyrażoną. Do niedawna w społeczeństwie naszem panowało przekonanie, że jak w życiu, tak i w sztuce piękność nieokrytego szatą ciała ludzkiego należy ze wszelką oględnością okazywać, ze względów etycznych. Zdaje mi się, że niezmierna większość i teraz jest tegoż samego zdania, a jednak wobec bardzo nawet jaskrawych i coraz liczniejszych, na tem polu wybryków sztuki, zaledwo lękliwe i oderwane zdarza się spotkać protestacye, a nie pamiętam,

bym znalazł gdziekolwiek tę kwestyę traktowaną obszernie. Może tak się dzieje ze względu na skromność, może dla innych przyczyn. Wobec milczenia chrześcijańskiej większości, tem ruchliwsi są propagatorowie kultu *du nu*, jak mówią Francuzi. Jako bardzo dzielnego, a niewiele kosztującego środka propagandy, używają oni szyderstwa i żartu z pruderyi, zacofania, nieznajomości najnowszych zdobyczy na polu estetyki itp. brzydkich wad swoich przeciwników. Za nieuka uchodzić jużci rzecz nieprzyjemna, znosić szyderstwa i przycinki także do rozrywek nie należy, więc też broń powyższa zawsze wielkie u nas czyniła spustoszenia, bo miłości własnej mamy sporo, a zdań stałych i wyrobionych nie tak znowu wiele. Że jednak szyderstwem można zastraszyć, ale nie przekonać, że może i w sumieniu własnem niekiedy powstaje niepokój, więc zwolennicy kultu nagości stawiają jako pewnik, nieulegający żadnej wątpliwości, a mający ich sposób postępowania uprawnić, teoryę o niezależności sztuki i piękna od moralności. Wszystko, co piękne, twierdzą, ma prawo do istnienia bez oglądania się na etykę; że zaś ciało ludzkie jest najwyższem pięknem na ziemi, więc przedstawiać je można bezkarnie, tem bardziej, że widok tak wysokiego piękna nie może nawet wzbudzać żadnego złego uczucia, ani przyczyniać szkody moralności. Dzięki tedy

milczeniu jednych, pewności siebie i ruchliwości drugich, dzięki zresztą innym sprzyjającym okolicznościom, na wystawach coraz gęściej a brutalniej rozpierają się nagości, coraz śmielej występują w illustrowanych pismach, coraz częściej też zdarza się spotykać obałamuconych nawet wierzących chrześcijan, którzy w swych mieszkaniach obok Niepokalanego Poczęcia wieszają bachantki i obnażone nimfy leśne—bo to piękne, powiadają, a więc godziwe. Studyum niniejsze piszę przeważnie dla tych ostatnich. Zamierzam w niem roztrząsać pytania, czy przedstawianie w rzeźbie lub obrazie nagiego ciała jest rzeczą złą czy też godziwą, czy ciało ludzkie w rzeczy samej jest najwyższem pięknem ziemskiem i co z tego wypływa, przedmiotem najgodniejszym dłuta i pędzla i czy nie łudzą siebie, a nie zwodzą drugich ci, którzy twierdzą, że widok jego nie ma i mieć nie może złego wpływu, oraz że, przedstawiając je, artyści piękno tylko mają na celu.

Dla rozstrzygnięcia pierwszego pytania konieczną jest rzeczą, choćby w krótkości, odpowiedzieć na inne znowu pytanie, t. j. czy sztuka jest zależną od moralności, czy na zasady etyczne oglądać się i do nich stosować jest obowiązana; potem należałoby sprawdzić, czy wrażenia i skutki wywierane w społeczeństwie przez wizerunki, o jakich mowa, są dobre lub

złe i dopiero na mocy tych danych przystąpić do dalszych wniosków. Tego też porządku trzymać się będę. Więc najpierw—czy i dla czego sztuka ma być niepodległą, lub też zależną od moralności? „Pierwszy lepszy estetyk, powiada ks. M. Morawski, ma już na to gotową odpowiedź. Sztuka jest samoistną, twierdzi on, sztuka ma swój cel sama w sobie, t. j. piękno, nie można jej zatem do żadnego innego odnosić celu. Sztuka ma swoje własne prawa, t. j. prawa piękna, nie może więc bez zboczenia żadnym innym prawom podlegać. czy kto widział, żeby mechanikę lub geologię teoryom moralistów poddawać? O ileż więcej sztuka, ten najwyższy wykwit umysłowości ludzkiej, ma prawo do niezawisłości! Sztuce trzeba służyć dla niej samej bez oglądania się na inne korzyści, choćby tak wzniosłe jak moralne. Inaczej schodzi się na moralistę lub rzemieślnika, a przestaje być artystą" [1]). W dalszym ciągu przytacza cytowany autor francuzkiego estetyka, Konstantego Martha, który wykazuje, jak wpływy doktryn moralnych krępowały i wypaczały sztukę w dawnym Egipcie, u muzułmanów, ikonoklastów, waldensów, husytów, protestantów XVI wieku, jak na nią

[1]) O związku sztuki z moralnością. Przegląd Powszechny 1887, t. 2.

powstawali wielcy filozofowie starożytności Heraklit, Platon, Seneka, Epikur. Gorzej jeszcze, podług niego, dzieje się, gdy sztuka prawi morały, bo wtenczas nudzi. W końcu przykłady największych mistrzów w sztuce, którzy zostawili dzieła. w rażącej sprzeczności z moralnością zostające, mają dowodzić, że sztuka może się na nią wcale nie oglądać. Racye te nie są ani zbyt mocne, ani przekonywające. Obszerniejszą na nie odpowiedź ciekawy czytelnik znajdzie w dalszym ciągu wybornego artykułu ks. Morawskiego; nie sposób nam iść za nim, dla tego na zarzuty odpowiemy ogólnikowo i w krótkości, a poprzestaniemy na wykazaniu, że związek sztuki z moralnością jest konieczny ze względu na naturę piękna, stanowiącego jej przedmiot, i że *de facto* sztuka od etyki wyzwolić się nie może, lecz jest z nią zawsze w ten lub ów sposób związana. Wobec stwierdzonego faktu, wszelkie zarzuty i wątpliwości co do jego istnienia same upaść muszą.

Otóż co się zarzutów tyczy, odpowiem z ks. Morawskim: „Sztuka jest iście piękną i wielką rzeczą, ale przy całej swojej wielkości i piękności nie jest ona bożkiem; jest poprostu rzeczą ludzką, czynem ludzkim, a wszystko, co ludzkie, podlega prawu moralnemu”. Przypuszczanie innych praw dla moralności, a innych dla piękna, już dla trochę choćby filozo-

złe i dopiero na mocy tych danych przystąpić do dalszych wniosków. Tego też porządku trzymać się będę. Więc najpierw—czy i dla czego sztuka ma być niepodległą, lub też zależną od moralności? „Pierwszy lepszy estetyk, powiada ks. M. Morawski, ma już na to gotową odpowiedź. Sztuka jest samoistną, twierdzi on, sztuka ma swój cel sama w sobie, t. j. piękno, nie można jej zatem do żadnego innego odnosić celu. Sztuka ma swoje własne prawa, t. j. prawa piękna, nie może więc bez zboczenia żadnym innym prawom podlegać. czy kto widział, żeby mechanikę lub geologię teoryom moralistów poddawać? O ileż więcej sztuka, ten najwyższy wykwit umysłowości ludzkiej, ma prawo do niezawisłości! Sztuce trzeba służyć dla niej samej bez oglądania się na inne korzyści, choćby tak wzniosłe jak moralne. Inaczej schodzi się na moralistę lub rzemieślnika, a przestaje być artystą" [1]). W dalszym ciągu przytacza cytowany autor francuzkiego estetyka, Konstantego Martha, który wykazuje, jak wpływy doktryn moralnych krępowały i wypaczały sztukę w dawnym Egipcie, u muzułmanów, ikonoklastów, waldensów, husytów, protestantów XVI wieku, jak na nią

---

[1]) O związku sztuki z moralnością. Przegląd Powszechny 1887, t. 2.

powstawali wielcy filozofowie starożytności Heraklit, Platon, Seneka, Epikur. Gorzej jeszcze, podług niego, dzieje się, gdy sztuka prawi morały, bo wtenczas nudzi. W końcu przykłady największych mistrzów w sztuce, którzy zostawili dzieła, w rażącej sprzeczności z moralnością zostające, mają dowodzić, że sztuka może się na nią wcale nie oglądać. Racye te nie są ani zbyt mocne, ani przekonywające. Obszerniejszą na nie odpowiedź ciekawy czytelnik znajdzie w dalszym ciągu wybornego artykułu ks. Morawskiego; nie sposób nam iść za nim, dla tego na zarzuty odpowiemy ogólnikowo i w krótkości, a poprzestaniemy na wykazaniu, że związek sztuki z moralnością jest konieczny ze względu na naturę piękna, stanowiącego jej przedmiot, i że *de facto* sztuka od etyki wyzwolić się nie może, lecz jest z nią zawsze w ten lub ów sposób związana. Wobec stwierdzonego faktu, wszelkie zarzuty i wątpliwości co do jego istnienia same upaść muszą.

Otóż co się zarzutów tyczy, odpowiem z ks. Morawskim: „Sztuka jest iście piękną i wielką rzeczą, ale przy całej swojej wielkości i piękności nie jest ona bożkiem; jest poprostu rzeczą ludzką, czynem ludzkim, a wszystko, co ludzkie, podlega prawu moralnemu". Przypuszczanie innych praw dla moralności, a innych dla piękna, już dla trochę choćby filozo-

ficznie wykształconego umysłu jest widocznie fałszywem, bo każe domyślać się rozbratu i rozterki w naturze ludzkiej, owszem w naturze rzeczy, a ostatecznie w samym Bogu. Piękno, prawda i dobro pochodzą z jednego źródła, prawa ich przez Boga, twórcę natury, postanowione, nie mogą więc kłócić się z sobą, jak promienie jednego koła nie mogą być rozmaitej wielkości. Ponieważ sztuka jest *czynem* ludzkim, więc nie może być porównywana z chemią, lub matematyką, bo te zajmują się pytaniami z czynem nic wspólnego niemającemi—„przedmiotem ich czysta wiedza" [1]). Zgoda zupełna na to, że sztuka, chcąca zawsze uczyć, nudzi—tak samo nudzi najuczciwszy człowiek, gdy ciągle prawi morały; jeżeli jednak będzie postępował i żył, jak należy, a uczył wtenczas tylko, gdy tego potrzeba, zbuduje, a nie znudzi. Toż samo stosuje się do sztuki: niech praw moralności nie gwałci, niech będzie, jaką być powinna, a będzie piękną i nienudną. W końcu, że mahometanie, ikonoklaści i inni heretycy lub poganie szkodliwy wywierali wpływ na sztukę, dowodzi to tylko, że fałsz szkodzi w każdym względzie: w stosunkach społecznych, nauce, moralności i w sztuce także. Widzimy toż samo w dzisiejszym

[1]) Ibid. 212.

naturalistycznym kierunku, który tak sztukę poniżył, choć się za jej patrona podaje. My, chrześcijanie, nie mamy wcale pretensyi, żeby sztuka do *każdej* etyki się stosowała; owszem, najwyraźniej twierdzimy, że tylko etykę prawdziwą, Chrystusową, powinna szanować.—Mahomet, Seneka, ikonoklaści, husyci *e tutti quanti* nic nas tym razem nie obchodzą—„co nam do Hekuby?" Owszem, pewni jesteśmy, że ci fałszywi prorocy zgubią sztukę, jak zgubili wszystko, co za nimi poszło. O gorszących przykładach wielkich mistrzów będzie mowa niżej, więc teraz przechodzimy do naszego założenia, t. j. wykazania, że zgoda sztuki z etyką wypływa z natury piękna.

Co nazywamy pięknem? Określeń jego mamy mnóstwo. Platonicy nazywali pięknem to, co ma w sobie *splendorem veri* (blask prawdy); św. Augustyn powiada, że piękno to *splendor ordinis* (blask porządku); scholastycy—to, co składając się z odpowiednich sobie części, poznającemu sprawia przyjemność [1]). Ogólnie jednak, nie wdając się w metafizyczne dociekania, przedmioty piękne poznajemy z ich skutku, jakim jest sprawianie w poznającym go pewnej estetycznej przyjemności i rozkoszy. Ztąd św. Tomasz powiada, że pięknem nazy-

[1]) *Id quod, cum multitudinem partium sibi cohaerentium praeseferat, manifestatione sui cognoscentem delectat.*

wa się to, co przy widzeniu podoba się, *pulchra dicuntur, que visa placent* [1]). Nowoczesny empiryk Lemke, określa wprawdzie piękno „jako formę zjawisk, która odpowiada wrodzonym prawom naszego czucia zmysłowego" [2]), ale na innem miejscu poprawia się i mówi, „że piękno jest to prawidłowość przedmiotu zgodna z wewnętrzną prawidłowością naszego ja". Pięknem więc jest to, przy poznaniu czego człowiek doznaje przyjemności. Jakiegoż jednak rodzaju ma być ta przyjemność? Czy zadowolenie zmysłowe tylko, jak zdaje się wielu współczesnym estetykom? Oczywiście nie zmysłowe tylko, bo w takim razie malarstwo zależałoby na zestawieniu plam kolorowych przyjemnie działających na oko, muzyka na zgodnych akordach, poezya i wymowa na dźwięcznem brzmieniu rytmu i wyrazów; tymczasem ludzie domagają się czegoś więcej. Nic zwyklejszego jak zdania: obraz ten wprawdzie pięknie malowany, ale zrozumieć go nie można; muzyka z wielu względów piękna, ale konsekwencyi jej brak i ładu; wiersze piękne, lecz sensu im brakuje; mówca pięknie mówił, lecz frazesami karmił słuchaczy; dla tego we wszystkich tych razach nie mamy zupełnej przyjemności, a natomiast czujemy nawet nie-

---

[1]) P. I. q. 6. a 4 ad 1,

[2]) Estetyka I, 40.

zadowolenie. Pochodzi to stąd, że owe dzieła sztuki nie uwzględniły dostatecznie jednego z koniecznych praw natury ludzkiej—prawa rozumu i logiki. Niech nam za przykład posłużą niedawno wydane rymy pp. Liedera i Stankiewicza. Jużci panowie ci umieli zgodzić przymiotnik z rzeczownikiem, słów pięknie brzmiących nie żałowali, o Liederze powiada nawet kronikarz „Tygodnika Illustrowanego" p. M. G. „że rymuje gładko", ale że niedoszli poeci, poprzestając na rozwiązłości i bezwyznaniowości, zapomnieli o nauce i sensie, więc ten sam M. G. twierdzi, „że nigdy jeszcze poezya nie była środkiem tak hygienicznym, jak w tych dwóch egzemplarzach; człowiek się trzęsie od śmiechu, a to mu do konkokcyi żołądka pomaga" [1]).

---

[1]) Tyg. Ill. 1890, Nr. 42. Kiedy mowa o prawach rozumu i logiki w dziełach sztuki, pozwolę sobie na dłuższe zboczenie z następującej racyi. P. Czesław Jankowski, zdając sprawę w jednym z NNr. „Słowa" z roku 1890 z książki Wł. Belzy o Hollandyi, przytacza ustęp, w którym autor zadaje sobie liczne pytania, co robi w nocy wśród żołnierzy dziewczyna w bieli na obrazie Rembrandta „Patrol nocny", P. Jankowski żartuje sobie z ambarasu podróżnika i powiada, że p. B. widocznie estetykiem nie jest, że dociekania jego zupełnie zbyteczne, bo Rembrandt chciał tylko odtworzyć grę nocnego oświetlenia na różnego rodzaju przedmiotach i basta. Innemi słowy: nie trzeba dochodzić żadnej myśli, bo jest to jeden z okazów „sztuki dla sztuki". Do zdania tego powraca on raz jeszcze w „Tyg.

Tak samo dzieło sztuki, żeby było pięknem, powinno uwzględniać uczucia ludzkie, inaczej nietylko nie sprawi zadowolenia, ale się odeń widz ze wstrętem odwróci, jak np. od fresków

---

Illustr.". (Krytyka dzieł sztuki 1891. Nr. 21). „Powiadają: sztuka malarska jest sama dla siebie celem. Istotnie w wielu obrazach w takiej ona występuje roli i trzeba być zaciekłym doktrynerem, aby mieć cośkolwiek przeciwko temu. Niedaleko szukając, czemże jest słynny „Patrol nocny" Rembrandta, jeśli nie popisowem dziełem dla wykazania całego mistrzowstwa światłocienia? Czemże jest niemniej głośny „Byk" Potera, jeżeli nie poprostu wielkiem studium z natury, wykazującem wielką biegłość techniczną malarza? Wynajdowanie jakiejś „myśli przewodniej" w arcydziele Rembrandta, dociekanie skąd, dokąd i w jakim celu wychodzą ci żołnierze pod wodzą kapitana Cocka, jest tak dobrze wręcz absurdem, jak wynajdywanie tego lub owego wyrazu w głowie „Byka" z Mauritshuis w Hadze". Sądzę, że szanowny malarz-autor niedość ściśle zdaje sobie w tym razie sprawę z tego, co ludzie przez myśl w obrazie chcą rozumieć, jak również i z tego, czem jest właściwie sztuka dla sztuki samej. Dla czegoż to pytanie, dokąd i po co idą ci żołnierze, ma być „wręcz absurdem?" Zapewne, p. B. zanadto się nad tą kwestyą rozszerza i z tego (a nietylko z tego) widocznem jest, że estetyka— to nie specyalnokć jego; widoczna tu naiwność profana, wszakże pomimo tego, widzę w tych pytaniach objaw natury ludzkiej, wymagającej, by w każdem dziele była myśl rozumna i chcącej sobie zdać sprawę z tego, co ma przed oczami; człowiek potrzebuje nietylko widzieć, ale i wiedzieć, a raczej rozumieć. P. J. dziewczyna owa nie dziwi, bo z dziełami sztuki i sposobami ich tworzenia jest

w San Stefano Rotondo w Rzymie, gdzie męczeństwa wyobrażone w jaskrawej rzeczywistości. Wiedzą o tem doskonale prawdziwi artyści i zawsze w swych tworach starają się

---

obeznany. Gdyby jednak Rembrandt, dla popisania się ze światłocieniem, wymalował dwóch żołnierzy z pochodniami i np. białą kozę na stołku, pancerz na drągu i dwóch arabów grających obok w karty na ulicy, p. J. dochodziłby także, coby to wszystko znaczyć mogło, a może nawet niechciałby patrzeć na takie dziwactwo, boby w niem nie było myśli rozumnej a więc myśli przewodniej, koniecznej we wszystkiem, co ludzkie. P. Jankowski nie jest bezwarunkowym zwolennikiem teoryi „sztuka dla sztuki", dopuszcza tylko na jej korzyść wyjątki, jak dwa wyżej wymienione. Taka dwoistość nie może się ostać wobec dwóch sprzecznych teoryj, jedna albo druga musi być fałszywą. Nie jestem doktrynerem, tem mniej „zaciekłym", ale stanowczo bronię zasady, że sztuka zawsze i wszędzie jest dla człowieka, nigdy dla siebie; pojmuję to tylko nie tak, jak w nas „doktrynerów" wmawia p. J. Jak w obrazie Rembrandta innej szukam myśli przewodniej (i znajduję), niż dopytywanie się „skąd i dokąd ci żołnierze idą", tak w Byku Potera wcale nie zamierzam szukać innego „wyrazu", niż właściwego wszystkim bykom. Zgadzam się najzupełniej, że R. chciał się popisać, a P. namalował studyum z natury; pomimo tego wcale nie sądzę, by to były dzieła dla „siebie samych" malowane i istniejące. Są to dzieła piękne, bo po mistrzowsku oddają przedmioty *piękne dla człowieka, podobające się człowiekowi;* bez tego warunku nie byłyby pięknemi. Człowiek lubi piękną grę światła, sprawia mu przyjemność widok zdrowego czy rosłego bydła, więc też lubi patrzeć na dobre odwzorowanie ich na

nietylko o technikę konieczną dla przyjemnego działania na zmysły, ale także o ład i prawdę, wymaganą przez rozum, a może jeszcze więcej o nieobrażenie żadnej z delikatnych stron uczu-

---

płótnie i znajduje je pięknem. Byłoby inaczej, gdyby teorya „sztuka dla sztuki" była prawdziwą. O ile mogłem zrozumieć piszących o tem artystów i estetyków, ma to hasło oznaczać, że byle przedmiot był dobrze namalowany, już to malowidło będzie dziełem sztuki, bo „wykonanie, nie przedmiot, dzieło sztuki stanowi", powiada p. Sygietyński. W takim razie, byle dobrze namalowana ropucha i kameleon, para butów i uprząż, albo też człowiek owrzodzony lub kobieta buszmenka, powinnyby być dziełem sztuki. Któż się na to zgodzi? Im lepiej te przedmioty będą malowane, tem bardziej będą się nadawały do atlasu zoologicznego lub patologicznego, na szyldy, do muzeum osobliwości wreszcie, ale nigdy do pinakoteki. Żeby więc jaki przedmiot malowany lub rzeźbiony mógł być policzony do dzieł sztuki, nietylko potrzeba, żeby był dobrze wykonany, ale także żeby w oczach człowieka był pięknym i żeby w obrazie była myśl rozumna, stosownie do natury przedmiotu (o innych warunkach na teraz nie wspominam). Rembrandt chciał się popisać światłocieniem, a do tego popisu wybrał czynność ludzką, więc ją namalował tak, żeby się wydawała możebną i ze zwyczajami ludzi rozumnych zgodną. Poter namalował studyum, ale takie, które ludziom podobać się może. Gdyby Byka swego przedstawił odartego ze skóry, możeby ludzie podziwiali doskonałe studyum podskórnej anatomii zwierzęcej, ale tyle miałoby ono prawa do piękna, ile go ma np. posąg odartego ze skóry człowieka w prawej przecznicy medyolańskiej katedry, który niewiadomo po co i na co tam stoi.

cia. Jakaż więc może być przyczyna, żeby sztuka pomimo całej swej odrębności, osobnego celu i niezależności, szanowała prawa rozumu, szanowała uczucie i nerwy, a mogła nie zważać na wolę i rządzące nią prawa etyki? Racyi niema żadnej, bo prawa etyczne tak samo tkwią w naturze ludzkiej, jak prawa logiki i tak też szanowane być winny. I czyż patrząc na obraz, przedstawiający brutalne pogwałcenie praw etycznych, np. sprawiedliwości, miłosierdzia, doznajemy przyjemnych, artystycznych wrażeń? Przeciwnie, odchodzimy od niego wzburzeni i niespokojni. Takie obrazy, jakkolwiek pięknie malowane, nie są właściwie całkowicie pięknemi (zwykle też nie w estetycznym tylko celu malowane bywają), „bo do prawidłowości naszego ja, powiada ks. Morawski, należą te prawidła, co stanowią od wnętrza typowo doskonałego człowieka: co do myśli—prawa logiczności i racyonalności, co do woli i uczucia—prawa etyczne. Więc to jedynie może sprawić niezamąconą przyjemność estetyczną człowiekowi doskonale wykształconemu, co się z prawem etycznem godzi, a co temu prawu ubliża, to nietylko moralne, ale i estetyczne uczucie obraża i przeciw jednemu z praw piękna wykracza".

Do takiego rezultatu dochodzimy, gdy kierować się zechcemy zwyczajnym zdrowym rozsądkiem, gdy posłuchamy, co mówi sumienie

i głos niezepsutego ogółu. Do tegoż samego dojdziemy przekonania, jeśli zastanowimy się nad naturą piękna w sposób bardziej filozoficzny i oderwany.

Pięknem, mówiąc ogólnikowo, nazywamy to, co się nam podoba; podobać się zaś może to tylko, co jest doskonałem w swoim rodzaju. „Nie nazwiemy bowiem pięknem tego, czemu nie dostaje czegokolwiek do przyrodzonej jego doskonałości. Zaiste cóż szpetniejszego od kwiatu bez płatków, ptaka bez piór, człowieka bez cnoty? Przeciwnie, im doskonalsza jest istota jaka, im bardziej do prototypu swego zbliżona, tem za piękniejszą jest miana i uznawana" [1]. Dla tego też doskonałość uważana jest za pierwszy i konieczny warunek piękna. „Do piękna potrzebna jest najpierw całkowitość albo doskonałość, bo co jest niezupełne, przez to samo szpetnem jest", mówi ś. Tomasz z Akwinu [2]. Nie wszystko jednak, co w sobie doskonałe, podobać się nam może: żaby, robactwo, jaszczurki wstręt w nas obudzają. Pochodzi to ztąd, że pojęcie piękna jest względne i zawiera w sobie dwa konieczne warunki: oświecenie rozumu i skłonność woli. Skoro rozum nasz pozna rozmaite względy, zrazu przed nim za-

---

[1] Egger *Proped. Theol. philos.* 259.

[2] P. I. q. 39 a. 8.

kryte, np. doskonałość danego przedmiotu, jego pożyteczność, miejsce i odpowiedniość w całości wszechświata, często bardzo dawne uprzedzenia znikają i pięknem wydaje się to, czem brzydziliśmy się dawniej. Z drugiej strony, żeby się nam coś podobało, konieczna jest skłonność woli ku temu, bo piękną zda się nam nie tylko taka rzecz, którą poznamy jako doskonałą w sobie, ale i taka zarazem, której pożądać możemy *(Pulchrum est appetibile)*; pożądamy zaś i pragniemy tego, co do udoskonalenia naszego w jakikolwiek sposób służyć może, tego co dla nas będzie dobrem w znaczeniu metafizycznem (stąd *similis simili gaudet*). Dla tego to, jak z jednej strony przedmiot najbardziej nas obchodzący i potrzebny nie podoba się nam, gdy jest niedoskonały i zepsuty, tak z drugiej strony najdoskonalszy nie zrobi przyjemności, gdy jest zupełnie nam niepotrzebny. Najpiękniejsza twarz przestaje się podobać, gdy ją ospa lub wrzody oszpecą, najcudniejsza poezya lub muzyka nie zrobi wrażenia na człowieku prozaicznym i niemuzykalnym. Głupi bardzo łatwo oprą się potędze poezyi, bo jej *nie rozumieją* i, co za tem idzie, nie *pożądają (ignoti nulla cupido)*; a skoro nie pożądają, więc i piękną ona dla nich nie jest. Pięknym więc nazwiemy przedmiot doskonały i skończony w sobie, który przy poznawaniu oddziaływa przyjemnie na

umysł, oświecając go, i na wolę, wzbudzając w niej pewne pożądanie siebie (dla tego zwykle chcemy posiadać rzecz, która się nam podobała), jako odpowiedni i potrzebny naszej naturze. Otóż natura ludzka taka jest, że tkwi w niej nietylko poczucie potrzeby zgody pojęć z prawami logiki, ale także potrzeby zgodności czynów z prawami etyki, prawda i dobro nieodłączne są od natury ludzkiej; dla tego nietylko miłujemy prawdę, ale może więcej jeszcze dobro moralne. Niejedno serce nieugięte przed prawdą, na koniec świata pójdzie za cnotą. Żadna sprawa ludzka wyzwolić się od tych dwóch czynników nie może, nie może też i sztuka. Dzieła sztuki zatem nie powinny brać rozbratu z zasadami moralności, bo leży to w naturze, że to tylko nam się podoba, co (oprócz innych warunków) uważamy za moralnie dobre [1]). Bez

---

[1]) Ulegają temu prawu najzapaleńsi zwolennicy niezależności piękna od etyki. Spotykałem np. wielu postępowców, dla których Sienkiewicz po „Szkicach węglem" i „Jamiole" nic już pięknego nie napisał. Pomimo pojawienia się „Ogniem i mieczem", „Potopu" i „Wołodyjowskiego", mówią oni o ich autorze „szkoda go"—bo w tych powieściach, tak dla nas pięknych, oni nic pięknego nie widzą, pomimo czaru stylu i obrazowania, zajmującej treści i wszystkich uroków tych rycerskich rapsodów; a to dla tego, że nie rozwija już i nie przeprowadza w nich drogich postępowemu sercu zasad, mianowicie takich: że

tego warunku obraz lub rzeźba może się podobać z pewnych tylko względów, ale zadowolenie to nie będzie całkowitem i co za tem idzie, utwór nie będzie całkowicie pięknym. Pomimo kompozycyi nie zupełnie racyonalnej, może się podobać poprawny rysunek, piękny koloryt, ale każdy powie: co za szkoda, że dziełu temu brakuje ładu i lepszego obmyślenia; tak też utwór, obrażający zasady moralności, może wabić różnemi zaletami, nie będzie jednak doskonale pięknym i w duszy widza pewien rozdźwięk zostawi, niby człowiek mądry a przewrotny, lub piękna, lecz zła i głupia kobieta. Czy można nazwać pięknym taki np. obraz jak Rochegrosse'a *Bal des Ardents* z czasów królowej Izabelli francuzkiej? [1]). Sala napełniona tłumem uciekających kobiet w balowych strojach i przestraszonych a zgrozą przejętych gości. Zgroza ich bardzo naturalna, bo na pierwszym planie wije się w boleściach i wyciąga ręce do królowej kilku mężczyzn, trzymanych na łańcuchach, a zaszytych w palące się skóry niedźwiedzie czy inne. Niech rysunek, koloryt, światłocień, perspektywa będą naj-

---

nie ma Opatrzności na świecie (a tem samem i Boga nad światem), że wszystko na ziemi źle idzie w ogólności i że szlachta była zawsze i jest teraz stekiem i przyczyną wszelkiego złego w szczególności.

[1]) Wystawiony w Salonie paryzkim 1889 r.

zupełniej mistrzowskie, wątpię, żeby kto doznał przed tym obrazem innego wrażenia, niż zgrozy i niesmaku, bo widzi na nim rzecz straszną—śmierć w mękach. Albo inny przykład. W medyolańskiej galeryi Brera jest obraz przedstawiający Papieża przechodzącego przez salę. Jest to wspaniały mężczyzna w kwiecie wieku, pełen zdrowia, siły i spokoju, w stroju bogatym i świetnym, w towarzystwie dwóch czy trzech dworzan, przejętych najwyższą czcią dla namiestnika Chrystusowego. Za nim o parę kroków klęczy z twarzą przy samej ziemi biedny, wynędzniały, skuty dominikanin. Upadł on przed Papieżem na twarz, prosząc o przebaczenie i życie. Odtrącono go z obojętnością i oto leży dotąd w prochu i nawet nie cofnął ręki w kajdanach, którą był wyciągnął, tak jest przybity i przygnębiony. Trudno opowiedzieć jak nieestetyczne wrażenie sprawia ten obraz. Zadowolenia ani śladu, owszem gorycz napełnia duszę, bo przedstawia on (a w jak pięknej formie!) scenę, wysoce obrażającą uczucie—podeptanie i odtrącenie nieszczęśliwego. Wrażenie to potęguje się jeszcze bardziej w każdym, kto wie, że Giordana Bruno spalono, bo właśnie o przebaczenie *nie prosił*, bo ateizmu, panteizmu i innych swych błędów odwołać nie chciał; widzi się więc przed sobą potwarz rzuconą w złej sprawie i złej intencyi na niewin-

nego człowieka, i co więcej, na namiestnika Chrystusowego na ziemi.

Rozważaliśmy dotąd kwestyę związku sztuki z moralnością teoretycznie tylko, przypatrzmy się jej jeszcze ze strony faktycznej; jest ona szczególnie godną uwzględnienia w czasach naszych, chcących uchodzić za praktyczne i pozytywne. Wszelka teorya naukowa powinna opierać się na stwierdzających ją faktach. Zasada to powszechnie znana, a najzupełniej słuszna. Choćby jakaś doktryna była najmodniejszą, najbardziej pochlebiającą prądom współczesnym, musi w końcu w proch się rozsypać, gdy fakta powiedzą jej swoje—*e pur si muove*. Estetycy niechrześcijańscy głoszą niezależność sztuki od moralności, ale choć się za empiryków mają, zdaje mi się, że nie potrafią swej teoryi faktami sprawdzić. Bo czy możebna stworzyć dzieło sztuki niezależne od zasad moralnych? Nim na to odpowiem, muszę wyjaśnić pewną niedokładność. Spotykałem niedowiarków twierdzących, że żaden wierzący katolik nie może bezstronnie sądzić o rzeczach wiary, bo dla tego samego, że wierzy, jest już skrępowanym pewnemi uprzedzeniami—on zaś, niedowiarek, w nic nie wierząc, jest zupełnie bezstronnym, bo nie mając zasad, jest też wolnym i nieuprzedzonym. Szczególne zaprawdę złudzenie! Niedowiarek ma także swoje dogmata i zasady, tylko że różne od chrześcijańskich,

a skrępowany jest niemi bardziej, niż wierzący katolik swojemi, bo jego zasady bronią jego namiętności zawsze ślepych, a gwałtownych i zawziętych. Więc katolik np. wierzy w Boga stwórcę świata, ateusz *wierzy*, że materya sama siebie stworzyła; katolik jest przekonany, że po śmierci czeka na niego żywot przyszły, materyalista *wierzy*, że wszystko na ziemi się kończy; chrześcijanie wierzą, że Bóg zawarł prawdę w objawieniu swojem, ludzie posiadający „wszystkie zdobycze nowoczesnej wiedzy", *wierzą*, że prawda zamieszkała na stałe w Warszawie, w pewnej redakcyi przy ulicy Marszałkowskiej. Są to wszystko wierzenia i zasady, tylko nie chrześcijańskie. Tak samo niema człowieka, któryby mógł wyzwolić się zupełnie z pod panowania zasad etycznych— nie mówię chrześcijańskich, ale jakichkolwiekbądź, czy to będą nędzne strzępy moralności Chrystusowej, czy choćby zgoła pogańskie wymysły. Smutna to będzie etyka, ale zawsze etyka. Sądzę, że jak niema człowieka przy zdrowych zmysłach bez jakichś zasad i pewników rozumowych, jak poganizm nawet nie mógł się wyzwolić od dogmatów, bogów, ofiar, ceremonij, tak samo niema nikogo bez jakichś zasad etycznych Otóż ponieważ każde dzieło ludzkie, a tembardziej dzieło sztuki, jest wyrazem zewnętrznym wewnętrznego stanu swego twórcy, a we wnętrzu tem tkwi zawsze myśl

jakaś, uczucie i jakieś prawo moralne, więc też muszą one w sposób mniej lub więcej wyraźny odzwierciedlić się w dziele jego. Takim sposobem dzieło sztuki już przy samem powstaniu swojem, z wiedzą albo nawet bez wiedzy autora, jest z konieczności natury związane z jego sposobem zapatrywania się na rzeczy, a zatem i z moralnością jego, szczególnie kiedy dzieło to ma za przedmiot świat, w którym moralność się objawia, t. j. świat ludzkich czynności. Dla tego wierzącego chrześcijanina można poznać we wszystkiem, co utworzy, choćby mu przyszło malować mitologiczne przygody (bardzo jednak wątpię, czy Flandrin albo Overbeck podjęliby się tak niewdzięcznej roboty). Toż samo dzieje się w świecie artystów niewierzących. Nie tylko zasady swoje wyrażają w swych dziełach, ale nawet od moralności chrześcijańskiej, z którą wojują, często bardzo nie są wolni (bo dusza jest *naturaliter christiana,* a natury pozbyć się nie sposób). Mistrz np. materyalista jest pewny, że nagość nie obraża wcale etyki i przedstawia ją bez żadnego krępowania się, ale za to jest przekonany, że grzechem jest karać heretyków i protestuje przeciwko temu w swych dziełach (jak ów obraz w Brera). Inny artysta będzie żartował z Bóstwa Chrystusowego, jak Wereszczagin, ale poświęci 40 obrazów uwydatnieniu etycznej zasady, że wojna jest okrucień-

stwem i barbarzyństwem. Poeta, jak Wiktor Hugo, będzie dowodził mnóstwa niedorzeczności, a w tej liczbie i tego, że dziewczyna z półświatka może być „uosobieniem wstydliwości" (Nędznicy), ale podnosi miłość matczyną i miłosierdzie dla ubogich; Carducci nienawidzi Boga i pisze ody na cześć szatana, ale za to prawić będzie o miłości dla kraju, sławy i t. p. Zdaje mi się więc, że zwolennicy niezależności sztuki od moralności powinniby dodawać, gdyby szczerymi być chcieli, od *moralności chrześcijańskiej*, a właściwie nawet od niektórych tylko jej przykazań, bardzo niemiłych amatorom piękna plastycznego.

Nietylko rodząc się z duszy swych twórców dzieła sztuki są zależne od moralności, są one z nią związane w praktyce, w działaniu swem na widzów czy słuchaczy. To znowu także ściąga się przeważnie do dzieł, mających za przedmiot świat moralny, t. j. świat czynów ludzkich [1]). Teologowie utrzymują, że niema obojętnego czynu prawdziwie ludzkiego *(in individuo)*, t. j. popełnionego z zupełną świadomością i wolą, lecz że takowy zawsze jest

---

[1] Przedmioty wzięte z innych sfer oczywiście w mniejszym stopniu posiadają tę właściwość, mają ją jednak, tylko, że nie przez każdego i nieodrazu odkrytą, czy też odczutą. Ludzkie czyny działają silnie i wyraźnie, natura niema potrzebuje znawcy i miłośnika.

złym lub dobrym; tak też dzieło sztuki, jako czyn *ludzki* per excellentiam, jest mniej lub więcej złem albo dobrem moralnie i to im bardziej jest pięknem, a więc silniej działającem. Niedawno p. Gomulicki napisał nowellę, w której całe miasteczko nawraca się na widok obrazu przedstawiającego sąd ostateczny. Pozwalam sobie wątpić, czy kiedy dzieło sztuki może tak hurtowny i silny wywrzeć skutek, każde jednak w pewnej mierze niewątpliwie wpływ jakiś wywiera. Jedni, jak ś. Teresa, na widok obrazu ubiczowanego P. Jezusa, odrazu zrobią wielki krok na drodze doskonałości, na innych obrazy wzniosłej treści wywrą mniejszy, ale zawsze dodatni wpływ. Toż samo da się powiedzieć i o dziełach świeckiej treści. Don Kiszot Cerwantesa i *Contes* Woltera, Potop Sienkiewicza i Mickiewicza poezye, Joanna d'Arc lub Grunwald Matejki i bachanalie Makarta wywołują wrażenie etyczne, a skoro je wywołują, muszą mieć w sobie etyczny pierwiastek, bo czego niema w przyczynie, nie może być i w skutku (*nihil est in effectu, quod non prius fuerit in causa*). Zresztą wpływ dzieł sztuki na moralność w dobrym lub złym kierunku zbyt znaną jest rzeczą, żeby go trzeba było dowodzić; zdaje mi się przeto, że ze wszelką słusznością powtórzyć mogę, że są one nierozłącznie związane z zasadami etycznemi, mniejsza już o to na teraz, dobremi czy złemi, fałszywemi czy

prawdziwemi. A skoro natura rzeczy związała piękno z moralnością, skoro ten związek objawia się ustawicznie, pocóż rozprawy o jego zerwaniu? któż może rozwiązać, co natura związała? Równie dobrze można rozprawiać o wyzwoleniu się od przyciągania ziemi.

W tem miejscu dodam jeszcze następującą uwagę. Wiemy już, że sztuka od moralności wyzwolić się nie zdoła, może tylko *z chrześcijańską* moralnością być w rozterce, ale w takim razie doświadczenie przekona, że idzie ona po drodze fałszywej, jak przekonałoby każdego, ktoby chciał wyzwolić się od prawa przyciągania. Żeby się przekonać o tem, nie trzeba wielu zachodów, bo jest sprawdzian czynów ludzkich dla każdego dostępny, a zawarty w słowach Zbawiciela: „Z owoców ich poznacie je. Nie może drzewo dobre owoców złych rodzić, ani drzewo złe owoców dobrych rodzić" [1]. W rzeczy samej poznajemy, czy pokarm przydatny jest do jedzenia, jeśli smakuje, karmi i żywi; przeciwnie jeśli szkodzi, odrzucamy go jako truciznę; tak też i zasada moralna, jeśli dobre sprawuje skutki w zastosowaniu praktycznem, z pewnością jest dobrą i prawdziwą; jeśli złe, fałszem jest i trucizną. Otóż chyba tylko bardzo zagorzali nie przyznają, że dzieła

---

[1]) Mat. VII, 16. 18.

sztuki, wyzwolone od etyki chrześcijańskiej, sprowadzają skutki fatalne: rozluźnienie związków rodzinnych, niemoralność w małżeństwie, rozwiązłość, niedowiarstwo. Jeśli więc ta teorya wydaje złe owoce, to i sama jest złą i fałszywą. Możemy więc wywnioskować przy końcu tych uwag, że niezależność sztuki od wszelkich zasad etycznych jest rzeczą niemożliwą, a od zasad chrześcijańskich szkodliwą dla społeczeństwa i dla samej sztuki.

Po tych roztrząsaniach zasadniczych przejdźmy teraz do zajmującego nas przedmiotu, t. j. do godziwości przedstawiania nagiego ciała ludzkiego. Ponieważ sztuka powinna szanować moralność, więc należy wykluczyć z niej wszystko, co tę ostatnią obraża, a przedewszystkiem nagość, wołają jedni, i gorliwość swą posuwają tak daleko, że najmniejszy kawałek nieokrytego ciała poczytują za grzech malarzowi, że zdają się przypuszczać, jakoby nieodziane ciało było rzeczą samą w sobie złą i naganną. Z drugiej strony stoją liczni artyści i ich zwolennicy, patrzący z uśmiechem politowania i szyderstwa na owe „skrupuły bigoteryi“, krępujące ducha artystycznego i rzucające zasłonę na najpiękniejsze dzieło Boże. Nic bardziej harmonijnego, mówią, nad ciało ludzkie, śmiesznem jest i nierozsądnem pozbawiać się widoku najpiękniejszej rzeczy na ziemi. Przesada, na jakiej łapią swych przeciwników, służy im

za jeden dowód więcej prawdziwości swego twierdzenia. To też spór uważają już za rozstrzygnięty—można i trzeba rzeźbić i malować wszystko jak jest, bez oglądania się na moralistów. Przeczytać tylko, co o tem np. pisze Lemke. Zdaje się prawie, że żartuje sobie z czytelnika, gdy twierdzi: „że ukrywanie nagiego ciała (pod suknią) rodzi daleko więcej zmysłowości, aniżeli poczucia piękna", lub gdy prawi „o zmysłowości oczyszczonej" (znają się ludzie na tem oczyszczeniu). To przekonanie Lemkego i jego zwolenników z pewnością jest mylne; jest i zawsze będzie spory zastęp artystów, którzy się na nie pisać nigdy nie zechcą, jest znów i zawsze będzie w społeczeństwie chrześcijańskiem głos wołający: „wstydu nie gaście" i pewność, że piękno i skromność nie powinny kłócić się z sobą.

Czyż niema środka pogodzenia tych dwóch stron walczących, z których każda zdaje się mieć słuszność za sobą? Spróbujmy. Sprzeczność nie może tu być w naturze rzeczy, tkwi raczej w jednostronnem i niedokładnem jej pojmowaniu. Nie ulega wątpliwości, że ciało ludzkie jest wyrazem najwyższego piękna dotykalnego czy plastycznego na ziemi; niema także żadnego prawa Boskiego czy przyrodzonego, zabraniającego przedstawiać to, co piękne; niewątpliwie też nagość sama przez się nie jest grzechem, bo inaczej czyżby P. Bóg stworzył

na początku i stwarzał dotąd człowieka nagim? Pod tym więc względem zwolennicy nagości mają racyę; z tem wszystkiem mylą się, jeśli sądzą, że mogą nie oglądać się na nic; bo rzecz ta, napozór godziwa, niezawsze bywa taką w praktyce dla niektórych okoliczności, które teorya powyższa milczeniem pomija. W rzeczywistości bowiem widok malowanej lub rzeźbionej nagości wzbudza w ogromnej większości widzów płci innej wrażenia i uczucia z estetyką nic wspólnego niemające i jest podnietą rozwiązłości i zepsucia obyczajów. Nie wchodzę w rozprawy, dla czego tak się dzieje, zaznaczam tylko fakt, którego nie mogą nieznać materyaliści, zarówno jak i my chrześcijanie, wierzący w grzech pierworodny i w pożądliwości widzący jeden ze skutków jego. Wobec tego smutnego faktu mają zupełną słuszność przeciwnicy nagości, bo jeśli owoc truje, wyrzucić go należy. Więc jakże? wszelką nagość wykluczyć? więc piękno poświęcić trzeba moralności, więc niema zgody między niemi? Niebyłbym tego zdania.— Sądzę, że się nie pomylę, jeśli powiem, że nagość może być przedstawiana, jeśli będzie sprawiała wrażenie *samego tylko piękna*, boć przecie piękno prawdziwe jest rzeczą godziwą, jest dziełem Bożem; idzie tylko o poznanie warunków, w których ona takie tylko sprawia wrażenie. Mogą one być, jak z natury rzeczy wypada, przed-

miotowe i podmiotowe, t. j. mogą się znajdować w samem dziele sztuki i w patrzącym na nie—i tylko jeśli obydwa te rodzaje będą połączone, utwór sztuki nie sprawi zamętu w duszy ludzkiej i będzie dziełem rzeczywiście pięknem, t. j. zostającem w zgodzie z całą naturą naszego ja.

Najpierw więc w dziełach sztuki nie powinno być nic, coby umyślnie dążyło do wywołania w widzu wrażeń zmysłowych i grzesznych. Sztuka powinna być czystą, woła słusznie tym razem Lemke. Rzecz to całkiem naturalna. Obraz lub rzeźba wywołuje w duszy widza (przynajmniej tak często bywa) takie uczucia i wrażenia, jakie były w duszy artysty; jeśli więc miał on czyste serce, to i dzieło jego wolne będzie od tego żaru zmysłowości, który, niestety, często za zasługę poczytany bywa. Jeśli struna czysta, czyste też wrażenie wywoła, bo czysty dźwięk wyda. Brak jednak rozmyślnego uwydatnienia zmysłowości nie wystarczy, by nagość etycznie nieszkodliwą została, trzeba jeszcze, żeby w przedmiocie były pewne przymioty tak silnie działające, by stłumić i zagłuszyć mogły wszelkie niższe instynkta. Do takich warunków najpierw zaliczyć możemy wielką idealną piękność przedstawianego ciała. Rzeczą jest powszechnie znaną, że mistrzowsko-idealne dzieła w tym rodzaju starożytnej rzeźby nawet u profanów w estetyce nie wywo-

łają takich wrażeń, jak piękne ale naturalistyczne i zmysłowe twory współczesnych artystów. Dalej wymienić tu należy wysoką świętość przedmiotu; dla tego powodu nikogo nie zgorszy chrzest Chrystusa Pana, Ukrzyżowanie, Biczowanie, N. Panna karmiąca; taka wreszcie treść obrazu, że mniejsze lub większe odkrycie ciała służy do spotęgowania uczuć litości, współczucia, oburzenia, grozy. Dla tego, z zachowaniem wszelkiej miary, bywa na miejscu w scenach męczeństwa, gwałtu, nędzy lub opuszczenia. W takim rodzaju obraz zwracał uwagę na przeszłorocznej (1890 r.) wystawie monachijskiej w szklannym pałacu, zatytułowany „Synowie Kaina" (nie pomnę autora). Dwaj synowie pierwszego bratobójcy, wstępując w ślady rodzicielskie, pozabijali się w jakiejś krwawej waśni i leżą zbroczeni krwią braterską i własną. Nad niemi siedzi w głębokiej zadumie i przygnębieniu stary ojciec, koło nich rozpacza matka i gromadzi się przerażona rodzina. W obraz ten malarz umiał wlać tyle grozy, bije z niego myśl zdrowa i prawdziwa z taką siłą, że nagość zupełna wszystkich aktorów tej strasznej sceny nie raziłaby wcale, gdyby artysta nie posunął się do ostateczności, bez żadnej dla obrazu korzyści, a z niemałym dla moralnego uczucia obrzydzeniem.

Od widza wymagałbym przeważnie dwóch warunków: czystości serca i znajomości przed-

miotu. Bez uczciwego i czystego serca nawet najczystsze rzeczy brudnemi się wydadzą, bo jeśli *omnia munda mundis,* to również *omnia sordida sordidis*. Dla widzów zepsutych każdy taki obraz może być podnietą do złego. Drugi warunek niemniej jest potrzebny, bo choćby ktoś był najuczciwszym, jeśli w dziele sztuki nie potrafi dopatrzyć piękna, ani innych rzeczy, o jakich wspomniałem, będzie ono dla niego tylko przedmiotem zgorszenia i widz taki powinien w tym razie stosować do siebie, co katechizm mówi o unikaniu okazyj do grzechu. Może się to wydać śmiesznem niejednemu „mocnemu duchowi", ale czyż uczciwy kasyer, rzetelny dłużnik, wierny mąż, kochająca żona nie wydają się śmiesznymi, a nawet całkiem głupimi wielu takim duchom?—Dodać tu jeszcze można wiek późniejszy, chłodny i umiarkowany temperament i w końcu przyzwyczajenie. Ten ostatni wzgląd najwięcej może tłómaczy artystów. Studyując z potrzeby ciało ludzkie, znając się rzeczywiście na piękności jego, często zapominają, że ogół nie jest artystą i nie samo piękno widzi w tem ciele (co prawda i artyści często się łudzą i zbyt łatwo zapominają, że *latet anguis in herba*). Bywają zresztą epoki, w których to przyzwyczajenie i społeczeństwo całe w znacznej części podziela. „W sztuce pogańskiej nawet, powiada Grimouard de St. Laurent, początkowo nagość poczy-

tywano za przeciwną dobrym obyczajom, ale potem, w epoce zjawienia się chrześcijanizmu, już pod tym względem tak postępowano, jak gdyby nic w nas nie było do przykrycia i oczy tak się były przyzwyczaiły do nagości, że nawet chrześcijanom przedstawianie ciała ludzkiego całkowicie bez odzienia mogło się wydawać rzeczą samą przez się obojętną. Zdaje się, że w malowidłach katakumbowych nie przywiązywano najmniejszej wagi do unikania takich przedmiotów, gdy się nastręczały z natury rzeczy. Te postacie nagie były jednak z oględnością przedstawiane i wszystko, coby mogło razić oczy takiej Agnieszki lub Cecylii, było pomijane" [1]). Niedługo jednak trwała taka swoboda i wkrótce wstydliwość chrześcijańska zaczęła zrywać ze wspomnieniami poganizmu. Drugą epoką wskrzeszenia nagości w sztuce było Odrodzenie. Już w końcu XV w. zaczęto szukać piękna w ciele ludzkiem, a pod wpływem odradzającego się pogaństwa, tak się w nim rozmiłowano, że pozwalano sobie z lekkiem sercem na rzeczy, którychby nawet nasz wiek zepsuty tolerować nie mógł. Dość przypomnieć, że nad ołtarzem papieskim w Sykstynie przewalały się w Sądzie Ostatecznym tłumy nagich ludzi, bez najmniejszego względu

---

[1]) *Manuel de l'art chretien* 70.

na wstyd przedstawionych; na grobowcu Medyceuszów Michał Anioł posadził, czy położył postacie męzkie i niewieście tak cynicznie rozparte i odkryte, że tylko w anatomicznym teatrze byłyby na miejscu [1]); po kościołach, jak w katedrze medjolańskiej, stawiano studya anatomii podskórnej; w zakrystyach—trzy gracye... Taka była siła przyzwyczajenia, że to wszystko znoszono i tolerowano.

Przejdźmy teraz do praktycznych zastosowań. Jak zapatrywać się na obrazy lub rzeźby oczywiście i widocznie zmysłowe i gorszące? Z pewnością tworzenie dzieł takich nie może nie być zganione. Że Dominichino, Tycyan, Corregio itp. imiona podpisane na takich obrazach, ani trochę to winy ich twórców nie zmniejsza. Najwięksi nawet mistrze byli ludźmi ułomnymi i ślady swej ułomności w dziełach swych zostawili, które też z tego względu nie odpowiadają całkowicie wymaganiom prawdziwego piękna, a tem mniej nie mogą sprawić, by złe stało się dobrem dla tego, że je wielki

---

[1]) Nie mówię tu o stronie artystycznej tych dzieł, dodam nawet, że pomimo tej straszliwej bewzględności, postacie Michała Anioła, dla znawcy oczywiście, nie są zmysłowemi. Wielki artysta uległ wpływowi wielu i zbłądził, ale że kochał *piękno*, a miał zacną duszę, więc jego nagości są bezporównania czystszemi od niejednej więcej okrytej postaci nowoczesnych artystów.

człowiek popełnił. Pijaństwo i zabójstwo będą zawsze zbrodniami, choć się ich Aleksander Wielki dopuszczał; upadki Salomona i Dawida nigdy nie wytłómaczą bałwochwalstwa i cudzołóstwa. Spotykamy przecie błędy w najsławniejszych dziełach, które są piękne i sławne nie *dla* ale *pomimo* błędów, i byłyby bezwątpienia jeszcze doskonalsze, gdyby od tych usterek mogły być wolne. Tak np. zarzucają Przemienieniu Rafaelowskiemu dwoistość akcyi; Don Kiszotowi, że w pierwszej części bohater zbyt często jest bity, że wtrącone nowelle przerywają bieg głównej historyi; obrazom Pawła Cagliari zabawne anachronizmy itd. Jak więc w dziełach największych mistrzów były grzechy przeciwko prawom logiki i prawdzie historycznej, tak samo były przeciw etyce; a jak pierwsze nikogo nie mogą zwolnić od obowiązku zgodzenia się z logiką i prawdą, tak drugie od zgody z moralnością. Dzieła takie, jakkolwiek niemoralne, dla pięknej swej formy zewnętrznej mogą być przechowywane tam, gdzieby gorszyć nie mogły, a służyły ku nauce ludzi, którzy na artystycznych ich zaletach poznaćby się mogli. Tak przynajmniej wnoszę, opierając się na powszechnym zwyczaju.

Jakże jednak poznać, czy nagość jest przedstawiona w sposób zmysłowy czy nie? Olbrzymia większość ludzi nigdy się na tem nie pozna i nie potrafi tego rozróżnić. Delikatne

odcienie, subtelności stanowiące rozkosz znawcy, dla profanów przechodzą zupełnie niepostrzeżenie, Tłum zwraca uwagę na najbardziej tylko bijące w oczy cechy obrazu; nagość więc dla *profanum vulgus* będzie zawsze okazyą tylko do wrażeń zmysłowych. Trzebaż na to dowodów? Dość popatrzeć na wyraz twarzy przypatrujących się takim obrazom czy rysunkom, by się o tem przekonać. Nie brak też i zeznań pisanych. Oto np. p. Van der Meer, zdając sprawę z obrazu Piątkowskiego Nimfy i Fauny [1]) powiada, że mu on przypomniał ustęp z Fastów Owidyusza. Ustęp ten p. V. d. M. przetłómaczył, złagodził—i musiał zakończyć łacińskim dwuwierszem, bo go już złagodzić nie było sposobu. Kto Fasty czytał w oryginale, wie, że cytowany wyjątek jest pełen niewypowiedzianej sprosności. Jeśli więc estetykowi, znającemu się na pięknie, może nawet artyście, obraz taki przywodzi na myśl tak nieciekawe wspomnienia (któremi wcale niepotrzebnie w zbytku usłużności śpieszy dzielić się z szerszą publicznością), to cóż uczuje zwyczajny człowiek, który estetyki nie zna, Owidyusza nie czytał, a czuje tylko, że jest człowiekiem grzesznym i że krew nie woda? Dla tego ludzie, dbający o moralne zdrowie społe-

[1]) Tygod. Illustr. 1890 r. Nr. 16.

czeństwa, domagają się zawsze, żeby podobnych obrazów nie wystawiano na widok publiczny. Artyści żartują sobie z tego, ale wcale niesłusznie. Tak np. p. Cz. Jankowski w sprawozdaniu o obrazie Reda „Sprawa Clemenceau" powiada: „Szanowny kronikarz *Biesiady* wybaczy mi, że nie pójdę za nim w rozpatrywaniu moralności lub niemoralności tematu. Ja widzę na obrazie jedynie, w wadliwem nieco dwukrotnem przełamaniu, figurę kobiecą, leżącą na łóżku w pokoju malowanym z wielką brawurą, precyzyą i umiejętnością, widzę znakomicie malowane żaluzye u okien itd." [1]). Niejeden pozazdrości takiego usposobienia, bo najpierw posiadający je niczem się nie zgorszy, a powtóre łatwo mu o zadowolenie artystyczne, bo jużci o dobrze malowane żaluzye,

---

[1]) Przyznaję, że tego bałwochwalstwa formy zrozumieć nie mogę i uważam je za jeden z symptomatów zniżenia się artystycznego poziomu i artystycznych wymagań. Zapewne przyjemnie patrzeć na przedmiot dobrze namalowany, ale gdyby mi w obrazie tylko o niego chodziło, wolałbym go ostatecznie w naturze oglądać. Dobrze popatrzeć na malowane z brawurą łóżko lub wnętrze pokoju, ale na tem poprzestać, to trochę zamało. W studyach uczniowskich, na wystawach akademickich może to stanowić bardzo wiele, od skończonego artysty wymaga się czegoś więcej. P. Liedera chwalą za gładkie rymowanie, z tem wszystkiem rymom jego p. Gawalewicz przyznaje wartość... tylko hygieniczną.

łóżko, kołdrę, jest równie łatwo jak o piękny papier, druk lub oprawę. Uganianie się za formą i wyłączne rozmiłowanie w technice może w artystach zabić poczucie czegoś głębszego, ale publiczność zawsze domagać się będzie w obrazie myśli i etyki. Omawiany wyżej ustęp Bełzy i teraźniejszy o kronice *Biesiady* są do tego dowodem—i nie jedynym.

Przy znanem usposobieniu ogółu, rzecz jasna, że nagości bez zbytniej szkody mogłyby chyba być umieszczane w muzeach i galeryach, do których, przypuszcza się, że tylko więcej ze sztuką obeznani uczęszczać zwykli. To też wydziwić się nie mogę rodzicom, prowadzącym swe dzieci na wystawy, obfitujące w nimfy, fauny, skandale w hotelu, Ledy i haremowe piękności. Litość bierze na widok tego biedactwa, nudzącego się wśród malowideł niezrozumiałych dla niego, a sączących powoli truciznę bezwstydu i „wyzwolonej moralności". Spotykałem wprawdzie i po zagranicznych galeryach dzieci, uwijające się wśród obrazów, które chciałoby się przed niemi do ściany odwrócić, nigdzie ich jednak tyle nie widziałem co w Warszawie. Może to był przypadek—zbyt mało znam „gród syreni", bym go od razu posądzał, że to robi przez troskliwość, by w przyszłości artystom nie zabrakło modelek, a teatrzykom Ninichek i Nitouchek.

Jeśli na wystawach nagości powinnyby być sprowadzone do minimum, a przynajmniej ustawione gdzieś w miejscu osobnem i dla tych tylko dostępnem, którzy życzą sobie je widzieć, to już zgoła powinnyby być wykluczone ze wszystkich miejsc publicznych i wyłącznie sztuce nie poświęconych. Swego czasu wielką wrzawę wywołała gruppa Carpeau „Taniec". postawiona przed operą paryzką. Kto ją widział, zrozumie dla czego; nie jest to taniec wesołych ale uczciwych ludzi, powiedziałbym nawet, że to nie jest wcale zabawa *ludzka*, bo to jest heca rozbestwionych na jakiejś kannibalskiej orgii obnażonych satyrów. Znawca może podziwiać w niej doskonałość ciała ludzkiego, ogół dopatrzy tam tylko wyuzdanie i szał namiętności. Jeśli takie dzieło stoi przed oczami wszystkich, jeśli ich zwłaszcza wiele, można sobie wyobrazić, jak obfitym strumieniem spływa z nich zmysłowość na przechodniów i widzów. Toż samo możnaby powiedzieć o fontannach, posągach w ogrodach, parkach i placach publicznych, gdzie bezkarnie produkuje się nagość i to taka najczęściej, w której i najwprawniejsze oko nic pięknego nie odkryje. Nie ma już zaś dość słów nagany dla ozdabiających ściany swych mieszkań obrazami podobnej treści, zwłaszcza jeśli to czynią wierzący katolicy. Najpierw takie rzekome piękności najczęściej wcale piękne nie są. Widzia-

łem tego w różnych miejscach bardzo wiele, a ledwo trzy lub cztery okazy nazwałbym pięknemi, reszta mniej lub więcej do bohomazów zaliczona być powinna. Tu np. Wenus żegna z wielkim lamentem Adonisa, ale on jeszcze przed fatalnem spotkaniem dzika, ma już tak pokrzywione kości i krótkie a koślawe nogi, że nie można zrozumieć zapałów Cyprydy dla tak wadliwie zbudowanego młodzieńca. Na drugim obrazie Afrodyta zeskakuje z wozu, by płakać nad zabitym faworytem, ale i sama do żalu pobudza patrzącego, tak jest długa, niby zdjęta z tortury, tak żółtawo-zielona, tak ręce ma do „przednich kończyn" małpy podobne. Gdzieindziej śpi czerwona jak malina Aryadna—Tezeusz już daleko „jak czmycha tak czmycha", ledwo widać żagle nadęte—no i nic dziwnego, bo tors porzuconej kochanki wykręcony jak śruba, a ciało fioletowo-granatowe nie mogły ująć zmysłowego Greka. Tam znowu Brutus grozi sztyletem Lukrecyi opasłej jak hipopotam, albo stoją trzy Gracye Kanowy, podobne do swego oryginału, jak koniki malowane kredą na parkanie przez wiejskich chłopaków podobne do rumaków Kossaka lub Brandta. Wszystko to jednak chowa się ze czcią religijną prawie—bo to „piękne"—bo to „prawdziwe włoskie malowidło".—Przypuśćmy jednak, że obraz lub rzeźba rzeczywiście piękna, że pan lub pani domu znają się na tych arcydzie-

łach i że spływa stąd na nich nieustanny potop estetycznej rozkoszy; ależ w tym domu bywają goście nie tak artystycznie nastrojeni; co więcej, w tych domach jest służba, która się na estetycznych urokach nie zna, a widzi nagość i nieprzystojne uczynki, które snać nie muszą być złymi, skoro wiszą na ścianie u państwa, co chodzą do kościoła i na książkach czytają; ależ w tych domach są dzieci, które uczą się katechizmu, którym się prawi o moralności. Jakże się w ich dziecinnych główkach pogodzi zalecanie skromności z widocznemi wszędzie obrazami bezwstydu? Jeśli piękność ma być wymówką grzechu, toć i one postarają się, żeby „pięknie" grzeszyć, gdy dorosną.

Z niejakiem wahaniem przystępuję do uwag o estetycznem znaczeniu nagości, bo wobec ogólnego dążenia do stawiania jej na najwyższem miejscu w przybytkach sztuki, trzeba nieco odwagi, by podnieść głos niezgodny z hymnami tłumów i wyrokami modnych estetyków, tembardziej, że nie będąc specyalistą, fachowych studyów niewiele odbywałem. Nie przypisuję też zdaniom moim w tym względzie bezwzględnej wartości, zdaje mi się tylko, że uwagi, powstałe z bezstronnego patrzenia i zastanawiania się, niezupełnie może będą fałszywe i przydadzą się—choćby jako głos z publiczności do artystów.

Estetycy jednogłośnie stawią człowieka na pierwszem miejscu wśród piękności naszej ziemi. Jest on „królem stworzenia, najwyższem dziełem stwórcy, koroną piękności całego stworzenia" [1]). Przekonanie to rozeszło się między ludźmi, którzy je zrozumieli w taki sposób, że kiedy artysta dobrze namaluje albo wyrzeźbi ciało ludzkie, to już dosięgnął szczytu sztuki i na nic piękniejszego zdobyć się nie potrafi, bo nagie ciało człowieka—to zenit wszelakiej piękności. Nie myślę zaprzeczać estetykom, chciałbym tylko przestrzedz licznych entuzyastów nagości (o ile głos mój ich dojdzie i posłuchać go zechcą), że przesadzają i mylą się potrosze, niezupełnie trafnie pojmując teorye estetyków. Zdaje mi się bowiem, że w tych pochwałach dla ciała, tonie i traci swe znaczenie to, co w człowieku jest najpiękniejszem—oblicze jego; zdaje mi się dalej, że rozmiłowanie się w nagiem ciele jest zstąpieniem z wyżyn artystycznych, bo zaniechaniem wyższej duchowej piękności, mającej swe siedlisko i najwyższy wyraz w twarzy ludzkiej; a ponieważ kto zaczął zstępować, schodzi coraz niżej, więc postawienie ciała ludzkiego na pierwszem miejscu jest nietylko oznaką pewnego zniżenia artystycznego poziomu, ale też zapowiedzią, a mo-

---

[1]) Libelt. Umnictwo piękne.

że w części i przyczyną, coraz dalszego zstępowania, a w końcu zupełnego upadku.

Czuję dobrze, że powyższe twierdzenie może wielu wydać się paradoksem, albo wprost artystyczną herezyą; bo czyż nie można jednego z drugiem połączyć i odkrywszy ciało, głowie, a raczej twarzy, zachować przewodnie stanowisko i pomieścić w niej tyle wyrazu, ile się podoba? Teoretycznie, zapewne, nic temu na przeszkodzie nie stoi, w praktyce jednak prawie zawsze inaczej się dzieje. Więc najpierw z natury rzeczy już same wypadki, w których nagie ciało bywa przedmiotem dzieła sztuki, nie nadają się do wyższych rodzajów twórczości, w których myśl i wola ludzka przeważną grają rolę. Kąpiel, odpoczynek modelu, sceny haremowe lub mitologiczne, to zwykłe temata, w których nagość występuje, a każdy przyzna, że w podobnych razach nie dusza i jej zwierciadło twarz, ale samo ciało jest przedmiotem obrazu. Co bo zresztą szczególnego można wyczytać w twarzy kąpiącego się człowieka, lub odpoczywającej modelki? Zresztą kiedy artysta przedstawia nagie ciało, to głównem zadaniem jest właśnie oddanie piękności tego ciała, harmonii i proporcyonalności form jego, świeżości karnacyi itp. Wobec tego zadania wszystko inne idzie na stronę i głowa, sprowadzona do jednych praw ze wszystkiemi członkami, z dowódcy zostawszy szeregowcem,

traci na znaczeniu i staje się pewnego rodzaju komunałem. Przykładów stwierdzających nie brak, dość przytoczyć choćby powszechnie znane obrazy Siemiradzkiego: Wazon czy kobieta, W jaskini piratów, Taniec wśród mieczów i głośną Frynę w Eleuzys. Wszędzie widzimy, że malarzowi szło przeważnie o ciało; głowę traktował tylko jako konieczną część jego. Jeśliby jednak artysta z nagiem ciałem połączył pełną znaczenia i wyrazu twarz, to cała publiczność, z małemi wyjątkami, tylko na pierwsze zwróci uwagę, drugą pominie. To też nie bez racyi powiada Lemke: „Wyraz duszy blednie nawet czasami wobec form, czyniących wrażenie najgłębszej symfonii swą rytmicznością, swą nieskończoną grą kształtów itd." Słyszeliśmy też i czytali o takich rzeźbach i obrazach sporo sprawozdań; było w nich co niemiara zachwytów nad „pięknością nóżek i rączek, gracyą kibici, falami włosów", ale o wyrazie oblicza nikt ani wspomniał, chyba tylko o tyle o ile było „śliczną twarzyczką o karminowych usteczkach". I nic w tem dziwnego; natura ludzka jest taka, że dwóm panom jednocześnie służyć nie może, czyli jak w danym razie na wiele miejsc i rzeczy uwagi skupić nie zdoła, zwłaszcza gdy są jeszcze inne bardzo silne wpływy, przyczyniające się do tego rozproszenia uwagi. Artyści o tem doskonale wiedzą i jeśli któremu z nich w obrazie idzie o ducha ludzkiego, od-

bijającego się w twarzy, niechybnie ją uwydatni, pokrywając resztę ciała. Pomyślmy tylko, coby się stało z przecudnym wyrazem twarzy rozmodlonej do Matki Boskiej niewiasty w Lithuanii Grottgera, gdyby ją przedstawiono bez odzienia! Skoro więc artysta zrezygnuje z wyżyn duchowych oblicza, a zadowolni się postawieniem na pierwszym planie ciała, wtedy przechodzi do niższego rodzaju artystycznej twórczości, a jakkolwiek można w nim arcypiękne rzeczy tworzyć, to o wielu gałęziach jego można powtórzyć czyjeś słowa: „wielkim jest w swoim rodzaju, ale rodzaj jego mały”. Dla tego powodu i dla innych jeszcze, o których niżej, nagie ciało ludzkie jest mniej właściwem dla wyższych rodzajów i zadań sztuki.

Tutaj dla usprawiedliwienia tego, co niżej powiem, wypada mi zatrzymać się chwilkę dla kilku słów polemiki z pojęciami, których najwybitniejszym przedstawicielem u nas jest Witkiewicz, autor książki p. t. „Sztuka i krytyka u nas” [1]). Powstaje on niejednokrotnie przeciwko podziałowi malarstwa na religijne, historyczne, rodzajowe, portretowe itd. i gniewa się na niemieckich estetyków, że jeszcze pedantycznie trwają przy dawnych poglądach. Podług Witkiewicza są one przestarzałe i nic niewarte,

---

[1]) Warszawa 1891.

bo jedynym warunkiem dzieła sztuki jest artystyczna forma, a mniejsza lub większa jej doskonałość jedynym sposobem podziału. Żartuje więc autor z opinij estetyków, utrzymujących nietylko, że jest malarstwo rodzajowe, historyczne, religijne, ale nawet, że dwa ostatnie są najwznioślejsze i najtrudniejsze, i że „jako największy objaw sztuki malarskiej wymagają też z natury rzeczy najwyższego uzdolnienia i najgruntowniejszego wykształcenia ze strony artysty". (Prof. Struve). Żartuje, powiadam, i zapytuje—„czy prof. Struve zastanowił się kiedy, czem się różni obraz „historyczny" od obrazu rodzajowego naprzykład i dla czego pierwszy wymaga „najgruntowniejszego wykształcenia?" Czy może w historycznym obrazie obowiązuje inna perspektywa, inne prawa rozkładu światła i cieni, inna harmonia barw, inna kompozycya czy w ogólności inna *artystyczna* zasada? Czy może dawni ludzie nie płakali, nie śmieli się, nie stawiali nóg kolejno, a rąk używali może do siedzenia lub stania?" Po takich i podobnych zapytaniach głębokich, dochodzi W-cz do wniosku, że „malarstwo historyczne jest wymysłem teoretycznym, który grzeszy wielu nielogicznościami—że ostatecznie dla dzieła sztuki wszystko jedno—*Zamojski pod Byczyną, czy Kaśka zbierająca rzepę,* bo nie przybędzie ani w pierwszym, ani w drugim wypadku ani jednego połysku, ani jednego cie-

nia albo refleksu, jeżeli będą oboje o tej samej porze dnia oglądani. Dochodzi dalej do wniosku, że „malarstwo religijne, jako jednolity rodzaj sztuki nie istnieje wcale" [1]. Rzecz to bardzo często wśród ludzi spotykana, że kiedy kto odkryje rzecz jaką nową a prawdziwą, albo też jaki pomijany dotąd, a jednak rzeczywisty, punkt widzenia uwzględni, to tak się przy zdobyczy swojej zacietrzewi, tak będzie wyrzucał ludziom dotychczasową ich ślepotę, że sam nic innego oprócz swego odkrycia znać nie zechce i będzie najmocniej przekonanym, że dany przedmiot oprócz strony, z jakiej on patrzy, innej nie ma i inaczej rozpatrywanym być nie może. Będzie więc taki wynalazca robił to samo zupełnie, co zwalczani przez niego przeciwnicy—tylko z drugiego końca. Tak właśnie postępuje Witkiewicz. Do niedawna krytycy i publiczność zastygli byli w idei i treści wewnętrznej dzieł sztuki, zapominając bardzo często, że pierwszym i koniecznym ich warunkiem jest artystyczna forma. Witkiewicz im to przypomniał i miał w tem zupełną słuszność i niemałą zasługę. To też książka jego zawiera mnóstwo zdrowych i bardzo cennych uwag, o ile jej autor stoi na powyższem stanowisku; niestety, jest w niej jednak tyleż albo

---

[1] Krytyka i sztuka u nas. Rozd. I.

i więcej twierdzeń błędnych, bo właśnie „robi on z drugiego końca" to samo, co innym wyrzuca. Jest przekonanym, że jego punkt widzenia nietylko jest prawdziwym, ale *jedynie* prawdziwym i w tem bardzo się myli, bo uwzględnia jeden tylko warunek sztuki—formę, gdy jest inny jeszcze, a może nie jeden nawet. Nie ulega wątpliwości, że każde dzieło sztuki, żeby niem było naprawdę, powinno mieć artystyczną formę—podobnie, żeby istota żyjąca mogła być człowiekiem, powinna mieć nietylko duszę, lecz i ciało, które jest koniecznym warunkiem człowieczeństwa. Równie też jest rzeczą pewną, że podział ludzi podług przymiotów i doskonałości ciała jest zupełnie racyonalnym i prawdziwym, bo na rzeczywistości opartym. Słusznie więc możemy mówić, że ludzie są biali i czarni, słuszni, średniego wzrostu, mali, silni i wątli, zdrowi i chorzy, ale też nikt rozsądny nie będzie twierdził, że *tylko tak* można ich dzielić, i że „nielogicznym wymysłem" jest podział ludzi na głupich i mądrych, uczonych i prostaczków, cnotliwych i grzesznych, religijnych i bezbożnych, bogatych i ubogich, rzemieślników, artystów, żołnierzy, urzędników, księży, wolnych i niewolników, Szwajcarów, Turków, Hiszpanów i Niemców, bo skoro ludzie w samej rzeczy dzielą się na takie także kategorye, niema racyi nie uznawać ich, gdy kto z tej strony na ludzkość

patrzy. Toż samo można o sztuce powiedzieć. Skoro jaka myśl artystyczna oblokła się w piękną formę, w ciało artystyczne, *compositum* takie wchodzi do dziedziny sztuk pięknych. Oczywiście podział podług mniejszej lub większej doskonałości formy artystycznej jest zupełnie uprawnionym, jeśli komu o to tylko chodzi, nie jest on jednak jedynym, bo jeśli na utwory sztuki będziem z innej strony patrzyli, inny też będziemy musieli podział wprowadzić. O tym jednak wypadku Witkiewicz wiedzieć nie chce. Tak więc, że o samem malarstwie mówić będę, jeśli popatrzymy na jego utwory, mając na względzie materyał użyty do malowania, podzielimy je na bardzo wiele rodzajów — akwarelle, guasze, pastele, alfresko, alla tempera, olejne itd.; ze względu na wielkość będą one olbrzymie, wielkie, małe, miniatury; ze względu na podkład—ścienne, na drzewie, na metalu, płótnie, kości, porcelanie; uważając na sposób malowania, podzielimy je na dekoracyjne, *plain air*, malowane szeroko, wykończone drobiazgowo itd. Wszystkie te podziały są zupełnie usprawiedliwione i nie sposób ich zaprzeczyć, skoro są —dla czegoż więc zaprzeczać podziału podług rozmaitej treści, kiedy treść jest i jest rozmaitą? Zadaleko zaprowadziłaby mnie odpowiedź na to pytanie, więc na teraz poprzestaję tylko na stanowczem twierdzeniu, że choćby nawet i niemieccy este-

tycy przeszli na stronę p. Witkiewicza, to jednak podział obrazów podług treści pozostanie tak długo, jak długo będzie treść w obrazach i jak długo będzie ona różną. Kto chce poznać dowody, jakiemi Witkiewicz jednostronną swą tezę popiera, musi przeczytać jego książkę, ja wyżej przytoczyłem jednę tylko ich próbę, apostrofę do profesora Struvego; czytając zaś ten ustęp, nie wiedziałem prawdziwie, co podziwiać więcej—powierzchowność czy pewność siebie, gdyż obydwie są niezrównane. (Ustępów takich jest zresztą wielkie mnóstwo w „Sztuce i krytyce"—niewiadomo co wybierać). Opierając się na zawartem w tych zapytaniach rozumowaniu, mogę twierdzić, że i w reszcie sztuk pięknych niema innego działu, tylko podług stopnia doskonałości, to dla czegoż malarstwo tylko ma stanowić wyjątek, i gdyby p. X. twierdził, że np. „Msza św. Marcelego" Palestryny jest utworem muzycznym innego rodzaju, niż walc „Na skrzydłach nocy" lub piosnka opiewająca przymioty M-me Angôt, gnębiłbym go pytaniami: „czy p. X. zastanowił się kiedy, czem muzyka religijna różni się od operetki lub tańca i dla czego pierwsza miałaby wymagać gruntowniejszego wykształcenia? Czy może w religijnym stylu obowiązuje inna teorya harmonii, inne reguły kompozycyi, inny kontrapunkt? Może nuty mają inne znaczenie, tony inne brzmienie. Może muzyk religijny

w innym porządku ma palce u rąk? Może rąk używa do stania a nóg do zdejmowania kapelusza?" Tak samo mógłbym pytać p. Z., gdyby ośmielił się twierdzić, że co innego Boska komedya Dantego, a co innego znowu wiersz Żmichowskiej „Do moich dziewczynek"—„jakto? dla czego?—Czy się pan zastanowiłeś nad tem, co twierdzisz? Alboż to w epicznej poezyi amphibrachia nie będzie amphibrachią, a aleksandryny aleksandrynami, czy to tam inne prawidła myśli, rymowania, obrazowania?" Owszem opierając się na tej zasadzie, mógłbym twierdzić, że wielki Napoleon był takim samym człowiekiem, jak pierwszy lepszy porucznik lub szeregowiec, bo przecież tak samo jak oni chodził, tak samo miał członki ciała, tak samo krew w nim krążyła, równie jak oni nosił uniform, dosiadał konia itd.--Tak daleko a nawet jeszcze dalej zajść można, jeśli się zapomni, że w człowieku nietylko jest ciało lecz i dusza, a w dziełach jego nietylko forma zewnętrzna, lecz i treść wewnętrzna także. Perspektywa, prawa oświetlenia, mięszanie farb, rysunek wszędzie są jednakowe i z tego względu rzeczywiście niema różnicy między namalowaniem konia, kozy, obrazu historycznego lub religijnego i śmiesznym byłby, ktoby w takim razie jakąś między tymi rodzajami chciał upatrywać różnicę, jest ona jednak, i niemała, w tem, że artysta chcący przedstawić ludzi, powinien ich

przedstawiać jako ludzi całkowitych nie istoty mające tylko ludzkie ciało, buty, ubranie i kapelusze. Otóż ludzie mają (co prawda nie zawsze) rozum, uczucia, wolę, wyobraźnię i inne władze i przymioty duszy, które się w ich czynnościach wyrażają w tem większym stopniu, im wyższą i bardziej złożoną będzie czynność. Dla namalowania nawet krowy, kawałka lasu lub morza, trzeba nietylko technicznego malarskiego wykształcenia, ale też spostrzegawczego zmysłu, odrobiny choćby poezyi i umiejętności czytania w księdze natury. Bez porównania więcej trzeba tego wszystkiego dla nauczenia się czytania w tak trudnej księdze jak człowiek, a ponieważ, jak to powszechnie wiadomo, najtrudniejszemi w niej stronicami są te właśnie, na których zapisane są dzieje i religija, więc prof. Struve ma zupełną słuszność, gdy twierdzi, że dla tych działów sztuki trzeba najwyższego w artyście wykształcenia, nietylko dla tego, żeby umiał te karty odczytać, nietylko dla tego, żeby je zrozumiał, ale najwięcej może, by potrafił odtworzyć. Owszem, szanowny profesor zamało nawet powiedział—oprócz najwyższego wykształcenia, trzeba jeszcze najbardziej podniosłej duszy t. j. serca umiejącego czuć szlachetnie i wysokiego rozumu. Bez tych przymiotów artysta nigdy nie wyjdzie za kwestye perspektywy, oświetlenia, światłocienia i patrząc na najwyższe utwory sztuki i na naj-

wznioślejsze zjawiska dziejowe, będzie dziwił się wahaniom kolegi, że nie podejmie się np. obrazu zdobycia Konstantynopola, jak gdyby światło niejednakowo łamało się na obuwiu Mahometa II i pierwszego lepszego przechodnia, jakgdyby trup i krew Konstantyna różniły się czem od teraźniejszych „truposzów"— *O simplicitas!* (nie mogę dodać zwykłego *sancta*).—Ostatecznie jak jest i będzie zawsze różnica między tańcem Straussa a sonatą Beethowena, między sonetem, choćby bardzo zgrabnym nawet, a Jerozolimą wyzwoloną Tassa, między „w Szwajcaryi" Słowackiego a Grażyną, tak też jest i będzie zawsze arcyrzeczywista różnica między Kaśką rwącą rzepę i Zamojskim pod Byczyną, między rysunkami Witkiewicza z gór karpackich, a kartonem Leonarda da Vinci do Ostatniej wieczerzy. Pierwsze mówią tylko do oczu i mogą się podobać, drugie nietylko do oczu, ale do *człowieka*, i nietylko podobają się, ale porywają. To też chociaż w Grunwaldzie (tak srodze przez W. krytykowanym) rzeczywiście brak powietrza i perspektywy, chociaż biały płaszcz W. Mistrza naprawdę bardzo ciężko i nienaturalnie się cieniuje, św. Stanisław najniepotrzebniej tkwi w obłokach, jednak ten Witold, a choćby tylko Żyszka z Trocnowa, wart więcej i więcej sprawia estetycznej rozkoszy, niż wszystkie Kaśki z rzepą, przekupki z cytrynami,

bydło na pastwisku, niż nawet—niech to będzie bez obrazy powiedziane—wszystko, co wyszło z pod ołówka Witkiewicza i pędzla wielu jego współwyznawców. U nich widzimy tylko kształty, kolor, perspektywę—tam oprócz tego i *ducha* jeszcze. Otóż o tego to ducha najwięcej tu idzie, bo żeby ślad jego w swem dziele zostawić, trzeba go samemu posiadać. Jeśli artysta będzie zarazem i *człowiekiem*, tj. jeśli będzie myślał, czuł, chciał, będzie wiele umiał, będzie czuł poezyę, to bez żadnej z góry powziętej pretensyonalności, ślady tego wszystkiego bardzo widoczne pozostaną w dziele jego, czy to będzie Gladyator Welońskiego czy Kazanie Skargi Matejki czy obraz Overbecka lub rysunki Grottgera, jeśli jednak będzie tylko *malarzem* i oprócz manipulowania farbami, prawideł światłocienia, perspektywy i rysunku nie będzie nic więcej umiał, czuł i wiedział, to namaluje rzepę albo Kaśkę nawet, ale nic nadto. Swoją drogą teorya omawiana jest niezmiernie wygodną dla bardzo wielu malarzy, którzy Kaśkę z rzepą namalować potrafią, ale na Zamojskiego ich niestać. Najłatwiej bo zostać wielkim, gdy się przyjmie za pewnik, że niema nic większego nad to—co małe, zwyczajne i mierne!

Nie zwracając tedy uwagi na rzekomo postępowe estetyczne teorye, pozostaję na dawnem stanowisku co do podziału sztuki na

rodzaje i ich ważność, z zachowaniem i zastrzeżeniem koniecznego warunku—pięknej formy. Gdybym był przekonany, że język np. arabski nie istnieje, mógłbym sobie swobodnie żartować z tego, ktoby mi dowodził, że on jest dla nas o wiele trudniejszym od włoskiego, bo rzecz nieistniejąca jest łatwiejszą od najłatwiejszej nawet, ale istniejącej—to rzecz jasna. Tak samo jasnem jest, że kto, jak Witkiewicz, jest zdania, że malarstwa religijnego „jako jednolitego rodzaju" niema wcale, ten zupełnie logicznie zapytywać może z ironią, dla czego ten rodzaj nieistniejący ma być wyższym i trudniejszym od malowania kapusty, ryby, kozy lub Maćka bijącego się z Bartkiem o siennik podarty. Kto jednak rozumie, czem powinno być dzieło sztuki religijnej, tembardziej kto probował coś rzeczywiście religijnego stworzyć, wie doskonale, że rodzaj ten jest najwyższym i najtrudniejszym i wie dla czego. Ja, co prawda, tworzenia nie próbowałem, ale ponieważ wiem, jaką religijna sztuka być powinna, więc też rodzaj religijny po dawnemu stawiam na pierwszem miejscu i od niego zaczynam.

Nagość bardzo rzadko bywa na miejscu w sztuce religijnej, zajmuje się bowiem ona osobami i wypadkami z cielesnością nic wspólnego niemającemi; owszem wszystko w niej wznosi się i dąży do celów nadprzyrodzonych; tam wszędzie duch panuje, a ten z oblicza

przeważnie tryska. Dla tych powodów, jak słusznie zauważył Lemke, nawet Grek poganin rzucił płaszcz na Jowisza, przysłonił Atenę, dla tego ubierał pierwotnie wszystkich bogów, nim z biegiem czasu przerobił ich na ludzi. Wypadków, w których ciało całkowicie nago występuje, prawie nie więcej nad trzy: pierwsi rodzice w raju, chrzest i męka Chrystusa Pana. Wprowadzanie nagości do innych tematów religijnych bywa fatalnem dla ich religijności. Wspomnę tylko o dwóch przykładach. Kiedy Michał Anioł odsłonił swój Sąd ostateczny w kaplicy Sykstyńskiej, cały Rzym zbiegał się do niej i patrzył na malowidło *con stupore e maraviglia,* powiada Vasari. My także bez podziwu spoglądać nie możemy na tę tytaniczną pracę, ale dla powodów wcale innych, niż Vasari i jemu współcześni. Opowiada on, że gdy to dzieło zobaczył, także osłupiał jak wszyscy *(ed io ne rimasi stupito)*, ale i on i inni podziwiali tylko artystyczną stronę obrazu, którego ocenie poświęca aż cztery szpalty drobnego druku [1]), ale żadnej uwagi nie zwraca na stronę najważniejszą, bo religijną. „Dość jest wiedzieć, powiada, że zamiarem tego zadziwiającego człowieka (Michała Anioła), nie było nic innego, jak przedstawienie najdoskonalsze i naj-

---

[1]) *Le opere di Giorgio Vasari. Firenze 1832.* v. 2.

bardziej proporcyonalne ciała ludzkiego w najrozmaitszych postawach. Cel zaiste piękny; mógł go dopiąć, wziąwszy za przedmiot obrazu np. bajkę o walce Jowisza z tytanami, ale co wspólnego mieć może ten anatomiczno-artystyczny popis z wielką prawdą chrześcijańską, którą podjął się przedstawić? To też chrześcijanin, jeśli jest i artystą razem, może podziwiać artystyczną tego fresku stronę dowoli, ale nawet artysta, jeśli jest także i chrześcijaninem nie może nie podziwiać szczególnego w owej epoce zaślepienia umysłów blaskiem pogańskiej sztuki, kiedy nad ołtarzem mógł znaleść się obraz, w którym tyle niechrześcijańskich dźwięków; jednym z najbardziej rażących jest bezwątpienia nagość świętych płci obojej, aniołów i potępieńców. Ktoby np. odgadł w kilku nagich młodzieńcach (Pius V kazał ich trochę okryć) muskularnych, w gwałtownych ruchach wijących się po obłokach z krzyżem i około niego, ktoby, powiadam, odgadł w nich aniołów, duchy czyste, spokojne, święte i szczęśliwe? To też, chociaż Michał Anioł wsadził do piekła i wężem opasał zacnego ceremoniarza papieskiego Biagio da Cesena, każdy, kto ma nieco religijnego poczucia, pisać się będzie na pierwszą połowę jego zdania: „że najnieprzyzwoitszą jest rzeczą, by w miejscu tak szanownem i zacnem namalować tylu nagich. *che si disonestamente mostrano le loro vergogne,* i że

rzeczy takie właściwe nie w kaplicy, ale w zajeździe lub w łaźni". Rubens także namalował Sąd ostateczny i obraz ten wisi w starej pinakotece w Monachium, nie wiem jednak, czy choćby jeden z widzów, przesuwających się przed nim, doznał religijnego uczucia, patrząc na dwie lawiny różowych a srodze spasionych ciał, wznoszących się ku niebu i spadających do piekła. Zdaje mi się, że nietylko religijnego ducha tam niewiele, ale że niektóre epizody są wprost komiczne, jak np. anioł z wielkim wysiłkiem ciągnący do nieba tłustą a uśmiechniętą holenderkę, której potężnych rozmiarów nie zmniejszył nawet długi spoczynek grobowy.

Po religijnej sztuce pierwsze miejsce trzyma rodzaj historyczny. Zrozumieć to łatwo. Historya jest rzeczą bardzo wielką, bo ogólną ludzką—to człowiek ze swemi losami, zagadkami, walką i czynami. Więc też i sztuka historyczna to także rzecz niepoślednia, bo ona przedstawia w pięknej formie ważne w dziejach momenty, chwile, od których zależał postęp lub cofnięcie się ludzkości, w których ważyły się losy milionów. Weźmy np. Joannę d'Arc. Wchodzi w tryumfie do Rheimsu, by ukoronować prawego króla i skończyć długoletnią wojnę, wchodzi opromieniona tajemniczą mocą, która pasterkę zamieniła na pogromcę zamorskich najeźdźców, a w dali migocą złowieszcze płomienie jej stosu męczeńskiego. Tam znowu pod

chmurnem niebem, przed szeregami walecznych ciągnie wódz zadumany na czele generałów, zwycięzców bitw tysiącznych. Na czole wodza i w całem otoczeniu, w powietrzu nawet, czujemy zbliżającą się ostatnią chwilę długiej i świetnej epopei, czujemy, że ten wódz i to wojsko idą do Waterloo—zkąd droga na ś. Helenę. Albo ten kapłan, każący przed królem i panami! Groza i przerażenie na wszystkich czołach, bo on im wieszczy: „Bym był Izajaszem, chodziłbym boso i napoły nagi, wołając na was rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu Bożego: tak was złupią i tak łyskać łystami będziecie..." Jakież to przedmioty dla geniuszu artystycznego i niech mi kto powie, że daleko piękniej malować krowy na pastwisku, drwala z naręczem drew, lub praczkę nad wodą! Mojem zdaniem bardzo to już lichy znawca, a choćby amator tylko, ktoby nie widział, że w twarzy Joanny d'Arc Matejki, Witolda z Grunwaldu, Bartka lub Maćka w Racławicach bezporównania więcej ducha *ludzkiego, ludzkiej* myśli i *ludzkiego* piękna, niż we wszystkich razem pięknościach Craya, Szyndlera, Suchorowskiego, Piątkowskiego i wielu innych *ejusdem farinae*. Zdaje mi się, że patrząc na dobre dzieło sztuki historycznej, nie sam tylko kronikarz *Tygodnika Illustrowanego* mógłby powiedzieć: „Dzięki jednoczesnemu pojawieniu się na wystawach naszych dwóch

obrazów (z życia Barbary Radziwiłłówny) miałem taką „godzinę myśli", jakiej mi nie dały setki „Polowań" z wilkami i bez wilków, „Targów" na konie i nie na konie, całe kollekcye malowanych dziewek i parobków, śpieszących ze żniwa lub na żniwo" [1]) Ten rodzaj sztuki także, o ile sądzić mogę, niebardzo się nadaje do popisów z nagiem ciałem. Wiemy już, że kiedy artysta je przedstawia, to chce zwrócić uwagę na jego piękność, harmonią form, żywość karnacyi, tymczasem w obrazie historycznym chodzi o coś ważniejszego jeszcze, bo on przedstawia „wielkie i ważne chwile powszechnego żywota, które uwiecznia rylec historyi" (Lemke). W takim więc razie piękne ciało ludzkie wobec ważności chwili mogłoby nie być zauważone, albo też, co częściej się zdarza, mogłoby oderwać uwagę widza od głównego przedmiotu i zatrzymać ją na sobie, byłoby więc hałaśliwym szczegółem psującym harmonią ogółu. Spotykałem gdzieś uwagę, która mi się słuszną wydaje, że Grottger w scenie p. t. „Znak", wcale niepotrzebnie obnażył rękę i ramię żony budzącej męża. Wobec grozy chwili, brzemiennej w tragiczne następstwa, nie czas i nie miejsce występować z miękkiemi formami niewieściego ciała. To też dla tej racyi,

---

[1]) Tyg. Illustr. 1890 Nr. 45.

jak też ze względu na historyczną prawdę w historycznym rodzaju dość rzadko spotykamy się z nagością; grunt dla niej gdzieindziej.

Przedmiotem sztuki rodzajowej, czyli genre'u jest, jak wiadomo, człowiek, że tak powiem, prywatny, życie ludzkie zwyczajne, codzienne Nie sposób wymagać od ludzi, żeby wszyscy i zawsze zajmowali się tylko sprawami religijnemi i społecznemi, bo życie zwyczajne, osobiste ma swoje prawa; tak samo nie może kwitnąć tylko sztuka religijna lub historyczna—musi obok niej być i rodzajowa.— Wszakże kiedy pierwsza zniknie, a druga skarłowacieje, natomiast zaś rozpanoszy się sztuka rodzajowa, będzie to pewnym znakiem upadku umysłowego i moralnego całego społeczeństwa i, co za tem idzie, artystów, bo słusznie powiadą El...y: „Tacy poeci, jaką jest publiczność". Publiczność i artyści, niezdolni już do szukania i oddawania w sztuce czegoś wyższego, mogąc poznać i odczuć tylko zewnętrzną stronę rzeczy, gonią jedynie za piękną formą i kolorem i dochodzą w końcu do tego że treść staje się dla nich zupełnie obojętną. W takiem stadyum wszystko się sprowadza do pięknie malowanych żaluzyj, łóżka, wnętrza, do dobrze wyrzeźbionego ciała. Wtenczas występuje zasada „sztuka dla sztuki", a podług niej „dzieło sztuki nie leży w przedmiocie, lecz w wykonaniu" (Sygietyński). Rozwinięta logi-

cznie doprowadza ona do takich wniosków, że „malarz np. nie jest ani filozofem, ani myślicielem, ani dziejopisem, ani poetą, jest jedynie takim panem, co za pomocą farb źle lub dobrze daną rzecz w naturze ujrzaną, lub istnieć mogącą, odtwarza. Jeżeli potrafił dobrze, t. j. ze ścisłem uwzględnieniem natury, wymalować, dajmy na to, głowę kapusty, jest w takim razie dobrym, znakomitym lub nawet genialnym malarzem; jeśli zaś źle (w tem samem znaczeniu) wymalował choćby nawet najświetniej pomyślany, dajmy na to, Sąd ostateczny, inna dla niego nie przystoi nazwa tylko... partacza. Zakres sztuki nie sięga po za prawidłowe manipulowanie środkami technicznymi. Cel jej możliwie wierne odtwarzanie temiż środkami natury" [1]. Stanąwszy na takim poziomie, z czasem dochodzi się do coraz piękniejszych i bardziej zadziwiających rezultatów. Ponieważ sztuka dla siebie istnieje, przestaje ją obowiązywać kodeks moralny, dobry dla *profanum vulgus*, ale nie dla kapłanów sztuki. Nie im troszczyć się i dbać o przesądy wstydu i religijności, bo oni mają ważniejsze rzeczy do spełniania—śledzą za odbiciem światła na kamiennej posadzce włoskiej austeryi, lub za ruchem ogona koń-

[1] Cz. Jankowski. Tyg. Illustr. 1890. Nr 20. Krytyka dzieł sztuki.

skiego w pochodzie. Dochodzi się dalej do przekonania, że „z chwilą, kiedy w malarstwie zaczęto szukać i dopatrywać się idei, sztuka malowania poszła w poniewierkę" (Sygietyński). Natomiast pięknem będzie wnętrze karczmy, w której siedzą „gminne, plugawe twarze, o nosach obrzmiałych i głupowatym wyrazie oblicza. I oto kłócą się drągale! Izba cała dudni; w grubych, opiłych wejrzeniach pali się wściekłość, noże błyszczą w zabrudzonych łapach"[1]). Wstrętna karczma, brudne łapy, obrzmiałe nosy będą piękne, byle dobrze namalowane. Załatwiwszy się z ideą i etyką, rozstawszy się ze wszystkiem, co stanowi wewnętrzną wartość dzieła sztuki, artyści gonią za wrażeniami zmysłowemi i dochodzą do plam impresyonistowskich z jednej strony, do najbardziej drastycznej treści z drugiej. Na pierwszem miejscu występuje wtenczas nagość. Spotykamy ją zawsze w sztuce rodzajowej, do której z natury rzeczy należy, wszakże im więcej zyskuje przewagi genre, tem częściej nagie ciało staje się treścią dzieł sztuki, bo jest ono rzeczywiście pięknym przedmiotem, a może jeszcze więcej

---

[1]) Lemke. Estetyka II. 160 Oceniam i pojmuję ważność i znaczenie podobnych obrazów dla wielu względów, nie zdołam sobie tylko wytłómaczyć, jakim sposobem to, co plugawe, brudne, obrzmiałe t. j. brzydkie, może być jednocześnie pięknem.

dla tego, że należy do zjawisk bardzo zgadzających się „z prawami czucia zmysłowego". To też schlebiając zmysłom i niezdrowym zachciankom, prędko pozbywa się upadająca sztuka warunków prawdziwej piękności, niema już w niej

... tej zgody, harmonji i ciszy,
Która piękności pierwszym jest warunkiem,

natomiast coraz więcej zmysłowości, coraz drażliwsze sytuacye, coraz gwałtowniejsze pozy, aż wreszcie rzekomy przedmiot sztuki staje się ozdobą właściwą dla... lupanaru.

Streszczając powyższe uwagi, możnaby przyjść do następnych wniosków. Mylą się ci, którzy wierzą i głoszą, że nagie ciało ludzkie jest najszczytniejszym przedmiotem artystycznej działalności, jest nim bowiem człowiek, a ten jest *człowiekiem*, przez ducha swego, który odbija się w obliczu; te więc tylko rodzaje sztuki, w których ono główną gra rolę, albo raczej w których człowiek występuje nietylko jako utwór natury, mający piękne ciało, bez żadnej w tem własnej pracy i zasługi, ale jako *człowiek* we wznioślejszem tego wyrazu znaczeniu, t. j. jako istota rozumna, wolna, czująca, dążąca do pewnych celów z trudem i walką ducha, takie, powtarzam, rodzaje mogą mieć mają prawo do tego zaszczytu. Przez ciało swe (o ile je osobno uważać będziemy), należy człowiek do natury nierozumnej; prawda, że

i tam na pierwszem stoi miejscu, ale nie jest ono najwyższe, do jakiego on i sztuka jego wznieść się może. Kiedy więc dzieło sztuki wyłącznie zajmuje się ciałem, przedstawia rzecz bez wątpienia bardzo piękną, ale nie najpiękniejszą. Nagie więc ciało ludzkie jest poprostu jednym z przedmiotów sztuki rodzajowej nie powiem nawet najpiękniejszym, bo zdaje mi się, że są treści do obrazów, czy rzeźb nawet w sztuce rodzajowej, piękniejsze i sympatyczniejsze. I tutaj dla wiadomych przyczyn niezawsze stoi ono w zakresie rzeczywistego piękna, ale bardzo często, najczęściej może, schodzi na niziny namiętności, służy ku podniecaniu zmysłów i jest środkiem zepsucia. W końcu możemy przyjść do wniosku, że jeśli wyłączne panowanie genre'u jest oznaką nizkiego duchowego polotu artystów i publiczności, to rozpanoszenie się nagości jest dowodem, a w znacznej części i przyczyną ich upadku i zepsucia.

Zastrzegłem się wyżej, że wcale nie przypisuję nieomylności mym wnioskom, zdaje mi się wszakże, że w dziejach sztuki znajdę potwierdzenie tego, com wyżej powiedział.

Wiadomo, że Grecy rozmiłowani byli w nagości i przedstawiali ją jak nikt już potem. Wypływało to z natury wyznawanego przez nich poganizmu. Poganami nazywamy ludzi oddających, zamiast prawdziwemu Bogu, cześć

bogom fałszywym, ci zaś są niczem innem, tylko ubóstwianemi namiętnościami ludzkiemi. Poganin, mniejsza o to, świadomie i nieświadomie, widzi swój koniec i cel nie w życiu przyszłem i posiadaniu Boga, ale w życiu teraźniejszem i posiadaniu dóbr i przyjemności, jakie ono dać może, krócej mówiąc, cel poganina używanie przyjemności i zadowolenie namiętności; bogiem więc w poganizmie, pomimo teoretycznych Jowiszów, Marsów i t. p., jest człowiek i jego żądze, a ci bogowie to także ludzie, raczej ich pragnienie ubóstwione. Poganizm więc nic wiedzieć nie chce o poskramianiu ciała, bo właśnie dogadzanie jemu jest jedną z przyczyn i zadań poganizmu, nie zna więc czystości, traci z czasem poczucie wstydu, cielesność uważa za rzecz naturalną i godziwą; więc w ubiorach nie wystrzega się nagości, a w obyczajach coraz mniej skromności przestrzega. Grecy zatem, gdy klimat nie przeszkadzał, a obyczaj i zasady nie sprzeciwiały się, chodzili bardzo lekko ubrani, z nagością się nie kryli, przyzwyczajali się do niej zupełnie, więc choćby z tego tylko względu, rzecz naturalna, że w sztuce odtwarzali rzeczywistość. Była jednak i inna jeszcze racya. Poganizm niema prawdziwego Boga, bo na jego miejscu postawił człowieka, spełniając podszept szatański: „będziecie jako bogowie". Więc też i sztuka pogańska niedługo potrafiła zachować w swych

bogach majestat, powagę, potęgę—jedyne może przymioty boskie pozostałe w poganizmie; jak wiemy, zczłowieczyła wkrótce swe bogi—więc najwyższym jej przedmiotem pozostał człowiek i to pojęty po pogańsku. Poganizm zaś pojmuje człowieka tylko w stosunku do ziemi, zna więc tylko mniejszą i niższą część jego potęgi i działalności. Wszystkie uczucia, myśli, walki i zdobycze, wynikające ze skierowania człowieka do Boga i żywota przyszłego, cała głębokość i czystość, jakiej dusza w tych zapasach i usiłowaniach nabywa, są mu zupełnie nieznane. Poganizm więc pojmował człowieka dość powierzchownie i dla tego głowa nie miała w nim tego znaczenia, jakie ma w chrześcijanizmie. Znał on tylko namiętności ziemskie—płacz i śmiech, ból fizyczny i gniew, ale twarz ludzka nigdy w nim nie świeciła temi blaskami, jakie wydaje, gdy do duszy ludzkiej wstawi się lampa przyszłych, nadprzyrodzonych i nieśmiertelnych przeznaczeń. W skutek tego pogański artysta nie mógł wyróżniać twarzy ludzkiej, która mu tak niewiele mówiła; dla tego też całe ciało odkryte było dla niego najwyższem zadaniem i najulubieńszym przedmiotem. Poganizm w końcu, dawniej i teraz, brzydzi się myślą i prawem moralnem w człowieku, bo go uważa za zwierzę, podległe tylko zmysłowym wrażeniom i prawom. Przypomnę czytelnikom choćby powszechnie znane teorye no-

woczesnego poganizmu. Człowiek pochodzi od małpy (darwinizm); złożony jest tylko z ciała (materyalizm); niema woli, lecz podlega z konieczności pewnym uczuciom czy namiętnościom (determinizm); wraz z życiem kończy się dla niego wszystko etc. etc.; czemże w takim razie jest on, jeśli nie zwierzęciem? Tak zapatruje się nań poganizm, tak też czynili i Grecy; nie umieli więc pojmować i oczywiście ani przedstawiać człowieka tak, jak go pojmuje chrześcijanizm. Jak nowocześni estetycy pogańie brzydzą się w sztuce myślą i etyką, poprzestając na najniższych elementach sztuki, tak samo Grecy, im później, tem wyłączniej pojmowali człowieka ze zmysłowej tylko strony jego piękności, a w takim razie oczywiście musieli go przedstawiać nagim: wypływało to z natury ich religii, obyczajów, usposobień. Estetyk Lübke tak charakteryzuje pod tym względem sztukę grecką. „Ponieważ starała się ona nietylko o odwzorowanie wewnętrznego życia, ile raczej o przedstawianie zewnętrznych okoliczności i czynności, musiała wyżej cenić znaczenie ciała na ogół niż twarzy z poszczególnym wyrazem, rozmaitych stanów i usposobień wewnętrznych. Ztąd poszło, że plastyka grecka oddawna już umiała przedstawiać ciało ludzkie w spokoju i najgwałtowniejszych ruchach z nieporównanem mistrzowstwem, gdy głowa zawsze pozostawała typowo nieożywio-

ną i martwą. Na szczycie rozwoju nie mogło jużci zabraknąć greckiej sztuce harmonii i zgody między wszystkiemi częściami ciała i pod tym względem wykształcił się też charakter głowy, nie nadano jednak jej wyłącznej przewagi nad całem ciałem, która tam tylko powstaje, gdzie sztuka wnika do głębi duszy, jej wrażeń i usposobień. Nawet w ustroju głowy helleńskich posągów, w „greckim profilu", wyraźnie ten stosunek występuje. Wielostronny wyraz ludzkiego ducha bywa tu sprowadzony do jednego ustalonego typu. W całej formie oblicza odbija się stanowczo jeden ogólny charakter. Organa rozumu występują na równi z organami używania (zmysłów); czoło wprawdzie z natury swojej nad usta wyniesione, ale się nie odznacza większym rozwojem. Zlekka wypukłe, jest ono raczej nizkie niż wysokie, raczej wązkie niż szerokie etc." [1]). Może też z tem podrzędnem znaczeniem twarzy i na ogół głowy w starożytności ma związek mała stosunkowo głowa do całego ciała, jaką nieraz w starożytnych posągach zauważyć można.

Przejdźmy jednak do szczegółów. Epoką najwyższego dziejowego i duchowego rozwoju Greków był czas ich tryumfów nad Persami. W tym czasie i sztuka grecka stała na zenicie

---

[1]) *Grundriss der Kunstgeschichte. Die griech. Plastik.*

swego rozwoju, a najgenialniejszym jej przedstawicielem był Fidyasz. Grecy nie wyzuli się jeszcze byli ze wszystkich cnót swoich, nie stracili zupełnie z oczu celów ostatecznych, nadziemskich człowieka. Więc też w tej dobie myśl religijna im przewodniczy i w sztuce przeważa. Przedmiotem jej są zwykle bogowie, a jakkolwiek pojęcie bóstwa było już zaćmione poganizmem, niemniej jednak w owoczesnych ich bogach znajdujemy słabe odbicie majestatu i świętości prawdziwemu Bogu właściwych To też, jakkolwiek ludzi już i wtenczas przedstawiano bardzo często nagimi, nigdy tego nie czyniono względem bogów. Jowisz Fidyasza tylko górną część ciała ma odkrytą. Athene tegoż całkiem ubrana. Nawet bogini miłości, przez Greków niezbyt duchowo pojmowanej, Wenus Melijska z tej epoki pochodząca, jest do połowy odziana, a cała postać poważna i bardzo daleka od późniejszej zmysłowej Afrodyty.

Po sławnych wojnach perskich nastąpiły dla Grecyi czasy powolnego upadku. Ateny nadużywały swej przewagi i wyzyskiwały sprzymierzeńców, powstała wojna peloponeska, a po niej ciężka hegemonia Sparty. Dawna plemienna łączność państewek nikła, namiętności brały górę, egoizm pojedyńczych miast i państw coraz bardziej wzrastał, duch grecki karłowaciał. Odbiło się to na wszystkiem, więc też i na

sztuce. Religia coraz rzadziej już daje natchnienie artystom, coraz wyłączniej tylko ziemię mają oni przed oczyma; owszem bogów nawet swoich odzierają z resztek niebiańskiego ich charakteru i robią podobnymi do ludzi. Sztuka religijna przeradza się w rodzajową. Zjawia się Wenus wychodząca z kąpieli, Hermes odpoczywający, Dyana polująca i t. p. Miękkość i nagość zaczynają przeważać. Skopas odważył się już Afrodytę przedstawić całkiem nagą, toż samo zrobił Praksyteles, rozmiłowany w przedstawianiu ciał młodych i miękkich. Idealna niegdyś sztuka attycka dążyła do zbratania się z peloponeską, zawsze bardziej naturalistyczną. Zaczęło się uganianie za efektem. Dla niego to Lizypp umyślnie zmniejszał głowę w stosunku do reszty ciała, w czem znalazł licznych naśladowców. Z upadkiem podnioślejszych pojęć i szlachetniejszych uczuć, sztuka zstępuje do niższych rodzajów twórczości, mnożą się portrety, rozrasta się *genre*. W końcu, kiedy Grecya ukorzyła się przed Aleksandrem i upadła zupełnie, tylko sztuka rodzajowa w niej jeszcze tkwiła, wydając dzieła niepospolitej piękności, ale wyłącznie obrachowane na efekt i często już, pomimo całego mistrzowstwa formy, grzeszące przeciwko innym warunkom piękności prawdziwej, t. j. przeciwko zgodzie z wewnętrzną duchową naturą naszego ja. Jako przykład przypomnę znane powszechnie gruppy Laokona

i Byka farnezyjskiego. W jednej i drugiej widzimy mistrzowstwo formy niezrównane, ale obok tego doznajemy uczucia bynajmniej nie miłego, owszem jakaś przykrość przeszkadza nam cieszyć się owemi pięknemi formami i patrząc na nie, zdaje się, jakbyśmy czytali jakąś powieść lub nowelkę naszych pessymistów, z których wieje zwątpienie i gorycz bez ratunku. Pochodzi to stąd, że w tych gruppach niema nic, coby równoważyło owe cierpienia i męki straszne, jakie przedstawiają; niema ani jednej postaci, któraby jak Niobe wśród konających dzieci, wielkością swoją i heroicznem poddaniem się jednała widza z całą otaczającą ją nędzą i cierpieniem.

Tak konała sztuka grecka, wysilając się na efekty, na wykończenie drobnostek i szczegółów, niezdolna już podnieść się wyżej, stwierdzając zdanie Kremera, że „fantazya twórcza człowieka zawsze będzie odpowiednią stopniowi, na którym stanęła jego wiara, a cała treść religijna jego duszy" [1]. Powyższe zdanie możnaby stwierdzić przykładami wszystkich wieków i narodów i zawsze ze stanu moralnego jakiegoś społeczeństwa moglibyśmy wnioskować o charakterze dzieł jego sztuki i przeciwnie z tych ostatnich odgadywać, czego wart

[1]) Podróż do Włoch, IV, 296,

naród ich twórców. Nie piszę jednak historyi sztuki i dla tego pominąwszy wszystko inne, przenoszę się odrazu do czasów obecnych i w nich znajduję (tak przynajmniej sądzę), sprawdzenie zdania Kremera i wysnutych wyżej przezemnie wniosków. Jaki jest teraz stan duchowy znacznej części Europy, zbyteczna byłoby przypominać. Liczne warstwy odwróciły się tam od wiary swych ojców, a nawróciły do dawnych pogańskich zasad. Myśli religijne, cele nadziemskie nietylko zapomniano, ale je znienawidzono, za jedyny cel i jedynego Boga uważając materyalne używanie. Smutnych skutków tego wstecznictwa obficie doświadczają społeczeństwa europejskie. ale bez wielkiej nadziei poprawy położenia. Przewodnicy bowiem i główni rzecznicy owych niechrześcijańskich ruchów trzymają się zasady Molierowskiego kandydata na lekarza. Kiedy *purgare, saignare, clysterium dare* nie pomaga, to trzeba *repurgare*, *resaignare*, *reclysterisare*. Pogorszenie w skutek lekarstwa widoczne, więc .. trzeba dozę zwiększyć. Doświadcza też skutków tego spoganienia i sztuka, bo nikomu nie tajno, że większość artystów przyłączyła się do zwolen ników używania, że sztuka pomimo mistrzowstwa techniki. chora na suchoty artystycznej fantazyi, osiadła na mieliźnie naturalizmu i porzuciwszy szczytne myśli, goni za dobrze malowanem wnętrzem, łóżkiem, żaluzyami i na-

giem ciałem ludzkiem. Przekonać się o tem łatwo, zwiedzając wystawy dzieł sztuki. W czasie mej kuracyjnej wycieczki ubiegłego lata (1890) widziałem ich sporo, wspomnę tu o najprzedniejszej, monachijskiej międzynarodowej wystawie w szklannym pałacu

Kiedy się do niej wejdzie, jest się na razie oślepionym wspaniałością otoczenia. Gmach ogromny, westibulum prześliczne, liczba wystawionych dzieł sztuki niezmierna (było już około 2,0 0, a ciągle nowe przybywały), pełno kwiatów i wodotrysków, słowem było wszystko, co tylko zewnętrznie przyczynić się mogło do świetności wystawy. Rozpisywać się o doskonałości technicznej dzieł sztuki tam zgromadzonych nie mam zamiaru i moje skromne zdanie chowam dla siebie i swoich, powiem tylko, że wraz ze wszystkimi podziwiałem mistrowskie wykonanie wielu a wielu malowideł i posągów. Nieraz można było uledz złudzeniu, że ma się przed sobą żywą naturę. Słowem pod względem techniki, ścisłej obserwacyi, umiejętnej kompozycyi, najwybredniejszy znawca miałby się czem zadowolnić; jednak po parze wizyt na wystawę zaczęło mi czegoś brakować. Nie jestem specyalistą, świetną technikę uważam tylko za warunek konieczny, ale nie jedyny każdego dzieła sztuki; źle zagrany nokturn Chopina sprawi mi przykrość, tak samo jak nie zadowolni wcale z największą biegłością wykonana

La prière d'une vierge. Zacząłem się więc oglądać z pewnym niepokojem za tem, jakie też myśli, jakie uczucia i pragnienia i zamiary wyraża całe mnóstwo obrazów i posągów. Nie byłem wcale zadowolony z rezultatu. Wyższe sfery myśli, wyższe pragnienia i cele widocznie dla artystów zupełnie zobojętniały. Nic, coby przypominało Delaroche'a, Ary Scheffera, ani strasznych *morituri te salutant* Gerome'a, nic podobnego do Corneliusa, Schnorra, Schrandolpha, Kaulbacha nawet [1]): malarstwo przestało służyć idei, p. Sygietyński byłby zupełnie zadowolony. Było wprawdzie kilka obrazów noszących nazwy religijnych, ale litość prawdziwa brała na myśl niedorzeczności osiadłych w głowach mistrzów, którzy te dzieła spłodzili [2]). Historycznych malowideł było kilka

[1]) P. Sygietyński nazywa obrazy jego „kolorowymi rebusami"; nie jestem bezwarunkowym zwolennikiem Kaulbacha, ale przyznaję, że z prawdziwą przyjemnością widziałbym który z jego rebusów kolorowanych wśród tych setek kolorowanych fotografij.

[2]) Tak np. na jednym obrazie siedzi piękna czarnowłosa pani w obcisłym czerwonym kaftaniku i, złożywszy ręce, patrzy z przestrachem na leżące przed nią nagie dzieciątko, otoczone jakiemś mglistem przezroczem. Ma to przedstawiać „przeczucia Maryi", ale gdyby nie cierniowa korona unosząca się nad dzieciątkiem, niktby z pewnością się nie domyślił, że ta Marya to Najświętsza Panna, tak jest ona podobna do pierwszej lepszej pięknej brunetki.

zaledwie, zresztą panowały portrety, widoki i *genre*. Portrety były świetne. widoki łudząco przedstawiające rozmaite miejscowości (przypominam sobie zaledwie trzy lub cztery, w których było coś więcej, niż kopiowanie natury), zwierzęta, szczególniej bydło domowe, bardzo licznie reprezentowane; była tam jedna sala tak zapełniona krowami z cielętami i bez cieląt i samemi cielętami bez krów, że zdawaćby się mogło (przy odrobinie fantazyi), że się jest gdzieś na łące za miastem. Zresztą wszędzie

---

Inny obraz zatytułowano „Odpoczynek ś. Rodziny w ucieczce do Egiptu". Na pierwszym planie siedzi na ziemi zwyczajna, niezbyt piękna ani brzydka niewiasta i trzyma dzieciątko na kolanach, za nią pod krzakiem, towarzysz jej, niemłody już mężczyzna, patrzy czegoś w dal, a przed nią, plecami do widza, stoi postać skrzydlata i gra na skrzypcach. Ma to być anioł, ale w rzeczywistości jest... młoda panienka, do połowy ciała całkiem nie ubrana. W *Kunstausstellungshausie* widziałem jeszcze dziwniejszy obraz niby religijny. Ma on wyobrażać Chrystusa Pana i Samarytankę u studni. Na kamienną ławę rzucił się zmęczony i spotniały czarnobrody arab, w ciężkiej wełnianej niby burce, niby płaszczu, a przed nim jedną ręką oparłszy się o cembrowinę studni, drugą mocno gestykulując, nachylona ku niemu, stoi młoda i piękna kobieta, której całem ubraniem jest spódniczka, dochodząca ledwo do pasa. (Gdyby był konkurs na waryackie pomysły, nie wątpię, że ten nie pozostałby bez odznaczenia . Nie mogę też tu pominąć p. Unierzyskiego „Drogi krzyżowej", którą nie pomnę już gdzie spotkałem. Przedstawia ona trzy oso-

genre i genre... Tu i owdzie odzywały się zdrowe myśli i poczciwe uczucia, czasami wionął duch z innych lepszych a przynajmniej bardzo różnych czasów, dwa razy nawet dostrzegłem przebijającą się bardzo nieśmiało myśl chrześcijańską, ale patrząc na większość tych malowideł (i rzeźb także), mogłem w nich widzieć sprawdzenie sekretu, który mi odkrył dawno już temu, gdym jeszcze stał na szarym końcu Apellesowej dziatwy, pewien młody malarz monachijskiej szkoły. Kiedym utyskiwał

---

by, idące po rzeczywiście bardzo niedbale utrzymanej drodze. Jedna już ginie w oddaleniu, druga znacznie od pierwszej odległa, a plecami odwrócona do widza, stoi w środku obrazu, trzecia zaś na pierwszym planie, jest młoda, bardzo a bardzo rozkryta kobieta, która niewiadomo jakim sposobem dostała się w sam środek krzaku agawy czy kaktusa i wije się w nim, załamawszy ręce. Poznałem w niej pogorszone wydanie Magdaleny z rzeczywiście pięknego obrazu (w którym ona stanowi jedyny może ton fałszywy) tegoż malarza „Zdjęcie z krzyża". W obydwóch artysta zapomniał, czy też nie wiedział, że tak w drodze krzyżowej, jak jeszcze bardziej przy zdjęciu z krzyża najmniejsza nawet alluzya do zmysłowych motywów, jest nietylko obrazą religijnego stylu i świętokradztwem prawie, ale wprost brakiem taktu i ludzkiego uczucia. Coby też p. Un. powiedział, gdyby wśród rodziny zebranej przy zamordowanym ojcu, ktoś zanucił cavatinę z Fra Diavola: *Agnès la jouvencelle, aussi charmante que belle*, albo przy skazaniu kogoś na krzyżową drogę wygnania i nędzy; zagrał walca Arditiego *Il bacio*?

przed nim na trudności kompozycyi, odpowiedział mi: „nie tak to trudno zrobić obraz jak się zdaje: bierze się model, ubiera go i oświetla odpowiednio, otacza akcesoryami, a potem maluje się wszystko żywcem". Zdało mi się, że większa liczba rodzajowych obrazów jest niczem więcej, jak „malowanie żywcem" tak ustawionych modelów, którym potem tylko tytuł odpowiedni dodano. Zdało mi się, że wszyscy ci artyści nigdy nie wybiegli myślą po za jakieś „oczekiwanie", „polowanie" lub oklepane „pieszczoty macierzyńskie", że wielkie kwestye, za które ludzkość cierpiała i walczyła tyle, ba, cierpi i walczy dotąd, zamarły dla nich i przestały istnieć na zawsze. Lemke ma racyą, gdy kończąc rozdział o malarstwie, mówi: „w malarstwie dzisiejszem, szczególnie w Niemczech, widzimy przewagę techniki, realizm kolorytu, w zupełnem przeciwieństwie do wszechwładzy myśli, jaka panowała w szkole Corneliusa. W ogóle ilekroć chodzi o to, aby charakterystycznie i trzeźwo przedstawić naturę, ilekroć potrzeba tylko świeżości pomysłu i biegłości wykonania, sztuka dzisiejsza współzawodniczy z epokami najwyższej świetności. Natomiast brak jej głębszego, idealnego tchnienia... *Trywialność* i *brak wyższej myśli* przy świetnej technice grasują dziś wszechwładnie" [1]).

---

[1]) Estetyka, II, 166.

Zasada Zoli: „dzieło sztuki jest *cząstką natury*, widzianą przez pryzmat temperamentu". była na tej wystawie szeroko zastosowana. Tak, powtarzam, p. Sygietyński mógłby być zadowolony. Myśl i serce tych panów zamknęło się w kółku bardzo pozytywnych przedmiotów. Oczywiście przy takim poziomie i kierunku artystycznej twórczości, nie mogło tam brakować nagości. Było ich też co niemiara, a wszystkie z wyjątkiem 4 czy 5 posągów i wspomnianych wyżej „synów Kaina", przedstawiały kobiety prawie lub zupełnie rozebrane. Były tam najrozmaitsze w tym rodzaju odcienie, zacząwszy od najczystszych jeszcze może Fryny Siemiradzkiego i Mildy Alchimowicza, do bezczelnych a wyuzdanych modelek francuskich. Patrząc na te dziesiątki haremowych niewolnic, rozmaitych kąpieli, odpoczynku modelu, morskich dziewic i mitologicznych postaci, nie można było nie dostrzedz związku między ubóstwem artystycznej twórczości i nizkim jej polotem, a tą hyperprodukcyą tworów mniej lub więcej wyuzdanej cielesności. Widzę też w tem zestawieniu wcale nie przypadkowem, bo się to samo i gdzieindziej spostrzedz daje, sprawdzenie mego zdania, że im społeczeństwo niżej upada moralnie, tem jest mniej dostępne dla wyższych pomysłów i rzeczy, tem chętniej w sztuce zadawalnia się genrem, tem też buj-

niej na tym gruncie rozrasta się najniezdrowszy jego rodzaj—nagość zmysłowa i cielesna.

Przechodzimy teraz do ostatniego punktu niniejszej rozprawy. Mówimy ciągle o nagości ludzkiej, zajmujemy się nią bardzo w imię piękna, czy jednak rzeczywiście o *ludzkie* ciało chodzi i czy naprawdę *piękno* ma się na celu? Niech mówią fakta. Jeśli czytamy obszerne sprawozdania z jakiego obrazu przedstawiającego nagość, zawsze to będzie nagość *kobieca*, męzką zbywa się ogólnikami; jeśli się wspomina o rzeźbie greckiej, świecie greckim, greckiem poczuciu piękna, niechybnie zaraz wypłynie na wierzch Wenus Anadjomene, jakby jedyne i najwyższe uosobienie tego wszystkiego; jeśli do Warszawy przywiozą taką Frynę, to wzniosą się tak gwałtowne a ogniste peany, pochwalne hymny będą nucone na tak wysoką a namiętną nutę, że zadziwiona prowincya oczekiwać będzie lada dzień wiadomości, że „gród syreni" stawia świątynię malowanej, jak niegdyś Grecy postawili posąg żywej zalotnicy. Słowem przypominam i zaznaczam fakt powszechnie znany, że tylko nagość niewieścia wzbudza zajęcie, podziw i entuzyazm. A rzeźbiarz i malarz jakież ciała przedstawiają? Jeszcze w rzeźbie częściej można spotkać męzkie, ale malarze chyba na studyach akademickich niem się zajmują; skoro się wyzwolą malują tylko Andromedy, haremy, niewolnice, jak gdy-

by nie wiedzieli, albo zapomnieli, że nietylko miękkość, falistość, wdzięki właściwe kobiecie ale i siła, energia, wyrazistość mężczyzny są piękne i bardzo piękne, że więcej w nich indywidualności i ducha, niż w łagodnych a bardziej ogólnikowych i do natury zbliżonych formach kobiecych. A w jaki sposób wszystko to malowane? Artystów, którzyby umieli swe kobiety przedstawiać ze spokojem greckich posągów z epoki rozkwitu, jest bardzo niewielu, ogół stara się o to, by nagość była najbardziej nagą, rażącą, hałaśliwą, by takim sposobem namiętność dopełniła, czego talentowi brakuje. Przed kilkunastu laty Kremer pisał o nadsekwańskich malarzach: „Powiedzmy prawdę; ci poganie, co żyli dwa tysiące lat temu, byli nierównie skromniejsi, niż powieściopisarze nowożytnej Europy, zwłaszcza francuzcy i skromniejsi, niż owe brudne rysowniki nadsekwańskie, co plugawe twory swoje wyrzucają w świat Bo widzisz, wielcy mistrze starożytni (nie mówiąc o czasach zepsutych) przedstawiali naturę, taką, jaka jest, nie mając żadnej przytem ubocznej myśli, ich posągi są przeto wskroś niewinne; jest to idea iście artystycznie wcielona w ciało człowieka, więc też i w widzu nie poruszają bagnistych myśli. Przeciwnie czynią owe nowożytne cyniki pióra i ołówka, bo na pozór niby skromniejsi, w cząstce tylko wyświecają myśl w konceptach swoich, w których

atoli czai się chęć potrącenia w samym widzu lub czytelniku brudnej fantazyi. W starożytnym świecie mistrz, przedstawiający fauna, jest wyższym, zacniejszym od niego, owi zaś powieściopisarze francuzcy a rysowniki, sami się w swoich faunach uosabiają i radziby i czytelnika i widza swojego na fauna przerobić" [1]. Teraz te słowa i daleko bardziej jeszcze ostre można zastosować do całej Europy, nie wyłączając krain, które Wisła przebiega. Cóż innego, jeśli nie zmysłowość ściąga gromady widzów przed „sensacyjne" obrazy i witryny magazynów, w których wiszą fotografie rozmaitych nimf i niewolnic? Może miłość i poczucie piękna? *Credat Judaeus Apollo*, bo najnaiwniejszy warszawianin temu nie uwierzy. Dla tego też i fotografia Ewy Szyndlera [2], wisząca u kasy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie (kiedym zwiedzał wystawę) wygląda zupełnie jak przynęta dla krewkich młodzieńców, mężów i staruszków, by wzięli bilet i przekroczyli próg, za którym czekają na nich

---

[1] Podróż do Włoch. IV, 259.

[1] Dodam mimochodem, że na korytarzach akademii sztuk pięknych w Wiedniu stoi posąg tej samej treści i tak łudząco przypominający malowidło, że tylko dziwić się potrzeba prawdziwości przysłowia francuzkiego: *les beaux esprits se rencontrent*. Tylko czy to było przypadkowe spotkanie?

nimfy i satyry i hotelowe dramata i wspomnienia Ewy, Rozkosznych marzeń, Pierwszego dnia w haremie i... innych sztuk wątpliwej piękności. Tak, byłoby to wielką naiwnością mniemać, że powódź nagości kobiecych, rosnąca coraz bardziej, jest wynikiem rozmiłowania się w sztukach pięknych na ogół, a piękności ciała ludzkiego w szczególności. Idzie tu o najzwyklejsze podniecenie zmysłowości z jednej strony, a wyzyskanie złych instynktów z drugiej. To też mści się ta powolność namiętności i zerwanie z prawem natury, a więc z prawem Bożem, mści się, powiadam, na artystach i na publiczności. Nie podobna nie zauważyć, jak artyści, hołdujący tej specyalności, stają się pospolici w pomysłach, jak talent ich coraz się bardziej wypacza. Obnażona kobieta stała się w sztuce komunałem do oddania wszystkiego, a wiadomo, że komunałami posługuje się tylko słabizna i miernota. Chce się np. artyście namalować wiosnę, więc sadza taką postać na drzewo bez liści, o jednym tylko białym kwiatku, albo daje jej do rąk trochę zieleni i parę amorków do boku i wiosna gotowa. Trzeba przedstawić południe—umieszcza się na tle błękitnem rozczochraną i rozhukaną blondynkę i jest południe; zmrok może wyobrażać naga brunetka, noc takaż sama postać z półksiężycem na głowie—jeśli nad czołem będzie gwiazda, to ta kobieta wyobrazi konstellacyę,

słowem dla przedstawienia astronomii i tańca leśnej nimfy i godziny dziennej, dobrego natchnienia i zmory nocnej, służy zawsze ten sam przedmiot ze zmianą tylko dekoracyj i atrybutów. Że to rzecz dla artystów arcywygodna, nie ulega wątpliwości. Nie trzeba sobie łamać głowy, tylko, jak mi radził mój znajomy, „bierze się model etc.", nadto zyskuje się sławę, przynajmniej rozgłos, no, a przytem, jak zapewnia p. Van der Meer, mówiąc o Ewie Szyndlera, obraz (taki) ze względu na sam temat—piękna kobieta w szacie tylko włosów własnych, stojąca na tle zieleni rajskich ogrodów—z pewnością znajdzie nabywcę [1]), co także nie jest do pogardzenia. Tak samo w restauracyach gorszego gatunku jest pewien sos ogólny, a w handlach win „podstawowe" wino, z których za dodaniem pewnych ingredencyj powstaje taki sos i takie wino, jakiego kto zażąda. Proceder to mniej chwalebny, ale do powyższego bardzo podobny. Porzućmy jednak artystyczną miernotę, by słów parę powiedzieć o talentach wybitniejszych, które się poświęciły wyłącznie nagości niewieściej. Zdaje mi się, że i najpotężniejszy talent, obrawszy sobie ten kierunek, oddychając ciągle atmosferą zmysłowości, musi odczuć fatalne jej skutki, które się

---

[1]) Tygod. Illustr. Nr. 11. 1890.

objawią tak w obrazie jak i w formie jego obrazów. Kiedy się pojawiło „Narodzenie Wenery" Bouguereau, niepomnę kto napisał, że jest ona tak czysta, żo możnaby ją postawić w niebie. Wątpię mocno, czy w niebie chrześcijańskiem znalazłoby się dla niej miejsce, ale rzeczywiście Wenus ta jest piękną i czystą, o ile nią Wenus być może. Teraz po latach kilkunastu zjawił się Amor i Psyche, tegoż malarza, ale jakaż różnica! Dawnej czystości ani śladu. Owa Psyche, mająca wyobrażać duszę ludzką, ani krzty duchowości w sobie niema, lecz jest po prostu piękną kobietą w paroksyzmie nymphomanii. A cóż za gorzka ironja bije z treści tego obrazu! Ma on być niby uzmysłowieniem pojęcia, że miłość podnosi duszę ku górze, kiedy tymczasem dla ostatniego profana całkiem widoczną jest rzeczą, że kiedy *taki* amor, pochwyci *taką* psychę (duszę) to nie w górę się wzniosą, ale ugrzęzną oboje w najzwyczajniejszem błocie rozpusty i amor umrze na chorobę pacierzowej kości, a psyche skończy w szpitalu, lub na ulicy. Albo drugi przykład lepiej nam znany, bo to nasz Siemiradzki. Obrał on sobie, jak wiadomo, za specyalność świat pogański i sporą seryą bezszatnych piękności obdarzył nas i obcych. Nie posunął się on do rozhukanych i rozjurzonych (od *jurny*) Makartowskich postaci, może nigdy nie namaluje nic równie bezecnego jak Bachus Carolusa Duran-

da, ale z tem wszystkiem i w nim widoczny jest fatalny wpływ obranego przez się przedmiotu. Nie mówię tu jużci o technice malarskiej, ani o całej zewnętrznej stronie, mam tylko na myśli wewnętrzną osnowę jego obrazów. Komuż nieznane „Wazon czy kobieta", albo „Taniec wśród mieczów"? Przedstawiają one sceny z życia pogańskiego wielce prawdziwe. Na obydwóch widzimy piękne, bezbronne kobiety w takiej roli, jaką im poganizm przeznaczył, w ucisku i poniżeniu; a nic, coby tę ich hańbę podnosiło, coby łagodziło smutne uczucie, powstające w widzu, tem smutniejsze, im piękniejszemi są te stworzenia Boże, tak haniebnie poniżone. Pomimo to obrazy te są piękne nie tylko dla pięknej formy, ale i dla zawartej w nich idei. Dla mnie są one wymowną bo w piękne kształty zakutą apologią chrześcijanizmu. Radziłbym też patrzeć na nie długo i często naszym autorkom, piszącym wierszami i prozą o emancypacyi kobiety z pod jarzma chrześcijanizmu i paniom a pannom smakującym w ich elukubracyach. Przy odrobinie znajomości historyi i przy maluczkiem zastanowieniu, przekonałyby się one, że te obrazy przedstawiają dolę kobiety wszędzie, gdzie nie pada na nią cień krzyża Chrystusowego, że gdyby ich niedołężnym piórom udało się krzyż ów wywrócić, to ich córki pląsałyby nagie przy klaskaniu bata nadzorcy, jak na obrazie

p. Swiedomskiego [1]). Inny obraz „na Capri za Tyberyusza" przedstawia znowu jednę z często odbywających się tam w tym czasie scen. Opiły Cezar z trudnością już podąża za gronem bachantek wściekłym harcem pląsających nad brzegiem morza, tuż obok świeżych trupów. Widzimy tu zebrane główne zbrodnie poganizmu: pijany Tyberyusz, pijane rozpustnice, dwa trupy, toć to uosobienie wszechmocnego państwa, pogańskiego okrucieństwa, ubóstwienia brzucha i rozpusty pogańskiej. Widok to arcysmutny i nie zdaje mi się, żeby wywołane nim wrażenie było przyjemnem estetycznie. Można na obraz ten patrzeć bez zadowolenia, jakie sprawia dzieło całkowicie piękne, t. j. zgodne z naturą naszego *ja*, w całem tego wyrazu znaczeniu, ale bez oburzenia i niesmaku Niema tam wprawdzie żadnej przeciwwagi moralnej tym wszystkim okropnościom, ale też niema nic, coby pochwalało tę ohydną orgię. Siemiradzki przedstawił nam poganizm takim, jakim był, nie chwaląc go i nie podnosząc; może nie odpowiedział moralnym warunkom piękności, ale moralnego uczucia nie obraził jeszcze; zupełnie co innego w zachwalonej Frynie. Kiedym ją ujrzał na monachijskiej wystawie, nie mogłem się obronić przykremu uczu-

---

[1]) Tygod. Illustr. 1890.

ciu, a to nie dla jednego powodu. Więc najpierw można mieć za złe Siemiradzkiemu, że wraz z wielu innymi rodzajowymi malarzami, zapomniał o arcysłusznej radzie Lemkego, że rozmiary tego rodzaju dzieł nie powinny być wielkie. Mała treść zawsze pozostanie małą, choćby ją na największem płótnie rozmazać [1]). Otóż patrząc na Frynę, czułem jakiś dysonans wewnętrzny i pytałem siebie, po co ten cały „sztafaż", tyle morza, tyle nieba i przestrzeni, te tłumy, ta świątynia, te zresztą wielkie rozmiary? Prawda, że to wszystko prześliczne, ale czy warto używać tyle zachodów i środków, dla uwydatniedia tak błahej treści, jak rozbierająca się do kąpieli kobieta? Ważniejszym jednak wydał mi się bez porównania zarzut natury moralnej. Nie umiem patrzeć na dzieła sztuki, podług metody realistyczno-naturalistycznej, by widzieć i nasycać się formą, nie pytając i nie dbając o treść; patrząc więc

---

[1]) Witkiewicz niejednokrotnie przeciwko takiemu poglądowi protestuje a w liczbie argumentów swoich i ten mieści, że najcelniejsze arcydzieła, jak Rafaela Widzenie Ezechiela, bywają małe rozmiarami. Dlugoby o tem mówić; poprzestanę tylko na uwadze, że rzecz wielka wewnętrznie, w małym formacie pozostanie wielką; licha i błaha, do wielkich podniesiona wymiarów, wydaje mi się tembardziej lichą. Może się zresztą mylę w tym względzie.

na Frynę, oprócz pięknego ciała, pięknego morza, ślicznego chłopaka ze skrzydłami etc., widziałem jeszcze, że cały ten tłum młodzieńców i starców, kobiet i kapłanów, garnie się z podziwem, zachwytem, entuzyazmem do tej rozebranej kobiety, która niczem innem nie była, jeno piękną ladacznicą, spełniającą w tej chwili akt niezrównanej pychy i świętokradztwa, chcąc naśladować swoję boginię, i niezrównanego bezwstydu, okazując się bez szat całemu ludowi. Siemiradzki więc przedstawił nam moment zupełnego zaniku uczuć religijnych i moralnych dawnych Greków, tryumf bezwstydu, a przedstawił tak, że cały ten obraz jest jego apoteozą, jest zachętą do niego. I to właśnie jest smutne, bardzo smutne, w tem właśnie widzę upadek i poniżenie artystycznego smaku i uczucia. Smutniejszem jednak jeszcze, wydało mi się, że patrząc na tych Greków, przemienionych przez kurtyzankę, jak niegdyś towarzysze Ulissesa przez Cyrce, zdało mi się, że słyszę i widzę tak samo rozentuzyazmowanych warszawskich znawców, recenzentów i krytyków. I im, jak pogańskim Grekom, nie przyszło na myśl, że piękna forma nie usprawiedliwia zgniłej treści, że jeśli piękne ciało tłómaczy rozpustę, to dla czegoż spryt wielki nie miałby usprawiedliwiać oszustwa, siła—grabieży lub rozboju, wielka nauka—pychy lub zarozumiałości? Racye te same i wniosek narzuca się z nieprzepartą logicznością.

Wyszukując tematów do swoich ulubionych nagości, Siemiradzki nie uniknął takiego szkopułu, jakim jest „pokusa św. Antoniego" i namalował obraz pod tym tytułem, pomimo całej niewłaściwości jego treści. Co przedstawia obraz taki? Starca w mniszem ubraniu, który z przestrachem i komiczną czasami trwogą spogląda na stojącą przed nim mniej lub więcej obnażoną kobietę. Na obrazie Teniersa djabeł kuszący świętego wziął na się postać wcale statecznej holenderki w aksamitnej sukni w towarzystwie mnóstwa potworków z miotłami, ożogami i t. d. Sprawia to wszystko wrażenie przez francuzów nazwane *grotesque*, a w wysokim stopniu nie licujące z pojęciem świętości, bo święty chrześcijański zbyt jest wzniosłą postacią, by go zestawiać z błazeństwami, dobremi chyba dla straszenia dzieci. Bez porównania jednak jest gorzej, jeśli miejsce holenderki w aksamitach, zajmie bezszatna niewiasta (mówiąc stylem Kremera). Kto ma choćby słabe wyobrażenie o ogromie cnoty, potrzebnej dla zostania chrześcijańskim świętym, kto choć niejasno przeczuwa, jak wysoko nad ziemskiem błotem unosi się duch jego, ten patrząc na zestawienie dwóch rzeczy tak do siebie niepodobnych, tak bardzo wrogich sobie, doznaje wrażenia, jak gdyby słyszał prześladowanie księdza lub uczciwej kobiety tłustymi dwóznacznikami. Są ludzie, którym się takie żarty wydają *piquants*, ale po-

wszechnie wiadomo, że to szczyt grubijaństwa i złego wychowania. Mistrz Henryk nie uniknął podobnego błędu i nic dziwnego: ukochał poganizm, który jest błędem i grzechem, upadkiem i wykoszlawieniem, musi uczuwać wpływ swego otoczenia: „kto dotknie się smoły, uwala się nią", powiada Pismo święte.

Należałoby mi teraz wspomnieć o działaniu takich rzeźb i obrazów na społeczeństwo, ale to rzecz zbyt znana. Dla pewnej, zresztą bardzo małej liczby znawców, mogą one być *nieszkodliwemi*, a nawet dostarczać im przyjemności i wrażeń rzeczywiście estetycznych, na ogół jednak działają demoralizująco i dalszego ciągu wrażeń zaczętych przed niemi, trzebaby szukać w szpitalach, domach obłąkanych, statystyce kryminalnej itp. smutnych kategoryach. Że o tem wszyscy wiedzą, a mało kto zaprzeczy, więc na tej krótkiej wzmiance poprzestaję i przechodzę do konkluzyi. Niech nią będzie następująca uwaga. Gierymski w dzienniku swoim [1]) powiedział bardzo słusznie: „Sztuka jest zawsze wyrazem wieku, jest zawsze odbiciem upodobań, jeżeli nie całego społeczeństwa, to przynajmniej tej warstwy, do jakiej artysta czy poeta przekonaniami swemi i sympatyami należał". Tak, sztuka być powinna

---

[1]) Album, str. 22.

wyrazem swego społeczeństwa, a jakiem jest społeczeństwo nasze i na ogół europejskie? Cytowany artysta był szczerze przekonany, że „ideał religijny wieków średnich (t. j. chrześcijanizm), nie jest ideałem naszym, że wiara *naiwna* jest tylko u ludu, że „arystokracya dla odróżnienia się od ludu, nie tego, co za pługiem chodzi, lecz tego, który książki czyta i książki pisze, trzyma się księdza, chodzi do kościoła i spowiada się. Tymczasem, każdy z tych panów, wzięty z flanku i przyparty do muru, przyznaje się, że drwi sobie z sutanny". Jeszcze za życia swego mógł się Gierymski przekonać, że się pomylił grubo. W kilka lat po napisaniu tych uwag, a pisał je w Monachium, powstał kulturkampf. Cała falanga liberalna, przeważnie żydowsko-mieszczańska, wraz z tym ludem „co książki czyta i książki pisze" całowała, korząc się w prochu, stopy żelaznego kanclerza, wykrzykując w chwilach wolnych od tak liberalnego zajęcia, *vae victis* i *delenda Carthago,* a oszkalowana przez Gierymskiego „arystokracya" pokazała, że „nie drwi sobie z sutanny", bo cierpiała z nią razem i szła ręka w rękę z tym ludem, który książek nie pisze. Długą można ułożyć listę faktów, któreby powinny przekonać nawet panów artystów, zacietrzewionych w pogoni „za naturą", że po za światem ich pracowni, za ich modelami i modelkami, jest, cierpi i wzrasta

świat chrześcijański, że Europa jest wciąż chrześcijańską i powoli a wytrwale dąży do zrzucenia ze swej piersi duszącego ją odrodzonego poganizmu. Otóż artyści, chcący być wyrazem społeczeństwa, a nie tej warstwy bezwyznaniowej burżuazyi, co się rozsiadła po stolicach i wielkich centrach fabrycznych, powinniby pamiętać, że społeczeństwo współczesne w niezmiernej większości jest chrześcijańskie, że zatem w kwestyi, która nas zajmuje, konieczną jest rzeczą liczyć się z zapatrywaniem na nią chrześcijanizmu.

Otóż śmiało twierdzić można, że chrześcijanizm mniej jest przyjaznym nagości w sztuce, dla tego właśnie, że jest antytezą poganizmu, który jej sprzyjał. Chrześcijanizm przedewszystkiem jest prawdą. Nie chce on i nie może łudzić się, jak poganizm, fikcyą jakiegoś ciała chwalebnego, przemienionego, niewinnego, nie znającego grzechu, kiedy takiego niema i nie będzie na ziemi. „Nagość, powiada chrześcijański estetyk, stała się oznaką hańby i ogołocenia, skutkiem nędzy i ubóstwa, towarzyszką kary, przyczyną cierpienia, przedmiotem wstydu [1]). Dla tego też chrześcijanizm z niedowie-

---

[1]) Grimouard de St. Laurent słuszną jednak robi uwagę: „Studyowanie nagiego ciała dla artysty nie może być do tych samych zacieśnione granic, co przedstawianie jego. Badanie takie jest potrzebne dla nabycia możności

rzaniem, owszem z niechęcią nawet patrzy na nagość pogańską, bo widzi w tem fałsz, a miłość prawdy, jaką go wiara napoiła, jest nieprzyjemnie podrażniona, gdy w dziełach sztuki widzi chwalebnem to, co w rzeczywistości jest nędznem i smutnem. Chrześcijanizm jest prawdą i niezbyt sprzyja nagości w sztuce, bo jest tego zdania, że sztuka powinna być wyrazem wieku i społeczeństwa, jak to powiedział M. Gierymski, a ludzkość w rzeczywistości żyje w ubraniu, bo tego wymaga mnóstwo arcysłusznych i rzeczywistych warunków. Dla czegoż sztuka ma pod tym względem okłamywać człowieka. Śmieją się ludzie z anachronizmów, a czyż owe wszystkie temata nie są najzupełniejszym anachronizmem? Chrześcijanizm jest prawdą i dobrem, zadaniem jego podnosić człowieka. Więc, jak ożywił w nim ducha nieznanego w pogaństwie, tak i w sztuce sprzyja tym jej rodzajom, których nie bezmyślna nagość, ale myśl ludzka i czyn ludzki jest przed-

---

oddawania ze wszelką prawdą ruchów i proporcyj ludzkiego ciała, i położenie chrześcijańskiego artysty jest podobne do położenia lekarza, który musi studyować anatomię; jest jednak mniej konieczne i delikatniejsze, bo odbywa się na ciałach żywych, dla tego też radzimy mu, jeśli chce zachować świeżość myśli i czystość uczuć, nie oddawać się bez zastrzeżeń praktykom i zwyczajom pracowni" (*Manuel*, 75).

miotem Poganizm zapomniał i nie chciał nic wiedzieć o warunkach rzeczywistych, w jakich ciało ludzkie zostaje, t. j. że podlega namiętności i dla tego staje się bodźcem do grzechu *fomes peccati*. Chrześcijanizm nie może o tem zapomnieć, bo jest prawdą i dla tego także, że jest dobrem. Dla tej ostatniej racyi nie może pozwolić na podeptanie, choćby w sztuce nawet, uczucia tak delikatnego i szlachetnego, a tak wysoce prawdziwego, jak wstyd. Kiedy człowiek czuje się poniżonym w swej godności, kiedy zstąpił z wyżyn do których przeznaczony, kiedy się zrównał ze zwierzęciem, wtenczas doznaje tego niezmiernie przykrego uczucia, pomięszania i upokorzenia, które nazywamy wstydem. Dla tego chrześcijanin osłania ciało, bo wie i czuje, że ono zostaje pod panowaniem namiętności, że może w bliźnim obudzić popędy zwierzęce, a więc poniżające godność ludzką stron obydwóch. Chrześcijanizm to uczucie pielęgnuje jako kwiat najdroższy i rozwija najtroskliwiej, boć zadaniem jego podnieść człowieka nad zwierzę, a uczynić synem Bożym. W tem jest nietylko dobrem, ale i prawdą, bo takie rzeczywiście a nie inne jest przeznaczenie nasze, a uczucie wstydu tkwi w naturze ludzkiej i trzeba pracy i usiłowań, by je z niej wyrwać. Smutnego tego zadania podejmuje się poganizm, czy go nazwiemy starożytnem bałwochwalstwem, czy nowożytnym

materyalizmem, pozytywizmem czy racyonalizmem. Na ogół nauka pogańska i pogańska filozofia ma szczególną przyjemność w zrównaniu człowieka ze zwierzęciem, które wstydu nie zna, i sztuka pogańska dawniej i teraz tak postępuje, jakby na jej twory patrzyli nie ludzie lecz goryle lub dzikie osły bez wstydu i rumieńca. Chrześcijanizm, zostawiając pogańskiego filozofa, uczonego i artystę w pochlebnem dla nich przekonaniu, że człowiek a wieprz lub małpa to jedno, nie przestaje wołać na ludzi *sursum corda* i wymaga od sztuki, by była wstydliwą. Dla tego też artysta chrześcijański nie szafuje nagością, używając jej tylko tam, gdzie tego dobro i prawda wymaga, a przedstawiając ją tak, by nie poruszyć brudnych „demonów" (jak mówi Kremer), drzemiących w głębi serca ludzkiego. Zdanie takie, wiem, że wielu nazwie krępowaniem sztuki, zacieśnianiem jej horyzontu, naginaniem do celów dogmatyki i etyki i t. d. i t. d.—jak gdyby trzymanie się dobra i prawdy mogło wyjść komu na złe, mogło kogo skrępować, jak gdyby i w sztuce nie sprawdzały się zawsze pełne Boskiej mądrości i prawdy słowa Zbawiciela: „szukajcie najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam dodane". Możnaby o tem wiele napisać, ale że to nie wchodzi w zakres niniejszej pracy, więc użyję tylko krótkiego argumentu *a contrario*

i zapytam: a gdzież to są i jakie owe obszerne horyzonty, które odkryć miała sztuka niechrześcijańska, do czego doprowadziło niekrępowanie myśli prawami etyki i dogmatyki? A toć te rezultaty przed oczyma naszymi i każdy widzieć je może. Prawda, że łatwo spotkać się z dobrze namalowanym koszem cytryn, zagonem kapusty, polem ziemniaków, dobrze podpatrzonym ruchem konia lub krowy, wreszcie ciałem ludzkiem, ale po za tem niewiele już więcej znajdziemy. Nie sam tylko Lemke oskarża teraźniejszą sztukę o trywialność i brak wyższej myśli, bo każdy widzi, że pomimo świetnej techniki osiadła ona „na płytkim gruncie rozbujałych fluktów". Krytyka artystyczna każe nam zachwycać się tem, że Kiesel lub Czachórski malują wiecznie tęż samą młodą kobietę w różnych sukniach i przy różnem oświetleniu, że kto inny znowu wiecznie tych samych przedstawia pancernych, też same polowania, wiecznie jednego konia w wózku lub bez wózka. Może to być bardzo ładne, ale ostatecznie płytkie i straszliwie nudne. Cóż jednak innego ma robić krytyka, jeśli większość artystów jest zdania Maksa Gierymskiego, który w jednym z listów swoich przyznaje (wbrew pierwej wypowiedzianemu zdaniu), że dla artysty całym światem jest pracownia jego i po za nią on nic nie zna i o niczem nie wie. Dla tego też niebardzo się może pomylę, jeśli po-

wiem, że sztuka teraźniejsza w przeważnej swej części (zwłaszcza na Zachodzie), nie jest wyrazem wieku naszego, ani wyrazem potrzeb i upodobań społeczeństwa, wśród którego żyje. W wieku naszym ważą się kwestye nieobliczonej wagi i następstw, ścierają się namiętności, wre walka o najświętsze prawa, miliony cierpią, płaczą i łakną, a w dziełach artystów rzadko ślad tego dopatrzyć można. W czasach naszych chrześcijanizm walczy z racyonalizmem, materyalizmem *e tutti quanti,* zdobywa piędź po piędzi ziemię zalaną odrodzonym od pięciu stuleci poganizmem, a malarze i rzeźbiarze nic o tem nie wiedzą, jakby to się na księżycu działo—chyba tylko rzucą od czasu do czasu malowany paszkwil na gnębionych i cierpiących. Dla tego, nie bardzo się może pomylę, jeśli powiem, że owo rzekome wyzwolenie sztuki z pod jarzma dogmatyki i etyki, sprowadziło ją z jednej strony prawie do poziomu kolorowanej fotografii, a z drugiej wykierowało na służebnicę bogatej a zepsutej burżuazyi i żydowskich a amerykańskich bankierów i giełdziarzy. Ich to słodkie *far niente* mają rozrywać i umilać dzieła tak płytkiej treści, jak obecne, a przedewszystkiem niezliczone *baigneuse'y* i ondyny.

Dla tego sądzę, że niedalekim będę od prawdy, jeśli powiem w końcu, że stać się może tak, że kiedy chrześcijanizm, po raz nie wiem

już który, zwycięży w zasadach i w życiu, zastanie malarzy wyzwolonych z więzów dogmatyki i etyki, rachujących na wzór chińskich mistrzów łuski u ryb i pióra na ptaku, a rzeźbiarzy wzdychających do doskonałości — gipsowych odlewów lekarza Levitoux. Stanie się im jak zasłużą, o przyszłości sztuki jednak wątpić niemożna, bo z pewnością w chrześcijańskiem społeczeństwie znajdą się artyści, którzy usłyszą chrześcijańskie hasło *sursum corda* i pójdą za niem.

Moralność i przyzwoitość w sztuce.

Moralność i przyzwoitość w sztuce. [1]

Pod powyższym tytułem „Tygodnik Illustrowany" w NNr. 199, 200 i 201 ogłosił rozprawę artysty-malarza p. A., a w przypisku u dołu pierwszego numeru redakcya wezwała do dyskusyi „w tej zajmującej kwestyi", zapewniając, że rozprawa, o której mowa, „obfituje w wiele trafnych spostrzeżeń". Przed dwoma laty, mianowicie w 1391 r. ogłosiłem w „Przeglądzie Katolickim" pracę moją p. t. „Nagość w sztuce pod względem etycznym i estetycznym";—starałem się w niej wedle przemożenia odpowiedzieć na py-

[1]) Rozprawę tę, napisaną w odpowiedzi na artykuł jednego z warszawskich malarzy, zamieszczam tutaj jako dopełnienie poprzedzającej mej pracy, choć może ze względu na wyłącznie polemiczny swój charakter, nie zasługuje na to.

tania, czem jest nagość w sztuce, czem w moralności, kiedy i jak można ją przedstawiać i t. p. Ktoby więc był ciekawy a chętny poznać odpowiedzi moje z punktu zasadniczego na kwestye poruszane przez p. A., raczy zajrzeć do owej rozprawy, tutaj zaś, żeby nie było *bis in idem* [1]), nie sięgając głęboko, a idąc w ślad za autorem, pogawędzę *sine ira et studio*. Źle się jednak i niedokładnie wyraziłem—gawęda, będzie rzeczywiście *sine studio*, jak i rozprawa dająca do niej powód, ale gniewu „iry" jest trochę. Żeby go więc nie było i żeby ulżyć sobie w dalszym pochodzie, wyrzucę odrazu bez wiela zachodu ten balast niepotrzebny, do czego zresztą sam autor mnie zachęca, powtarzając kilkakrotnie, że prawda jest nagą—więc ją już też bez żadnych osłon, tak mu niemiłych, wypowiadać będę. Otóż ansę pewną do p. A. czuję nie za to wszystko, co popisał, nie za teoryę, której bronić usiłował, ale za to, że używał niekiedy argumentów całkowicie nieodpowiednich i niewłaściwych. Mówię tu o koncepcie zastąpienia liścia figowego popielnicą majolikową. Na zebraniach burszów akademickich różnej broni i powołania, podobne dowcipy mają wielkie powodzenie i młodzieży nie całkiem dobrze wychowanej wydają się

---

[1]) Dwa razy o tem samem.

czemś „piramidalnem, czemś szampańskiem"— ale nie całe społeczeństwo składa się przecie z burszów i bohemii artystycznej. Zresztą jeśli autor niezbyt dawno wyszedł z kół uczących się, to do pewnego stopnia może być wytłumaczonym; natomiast redakcya „Tygodnika" jest winną w oczach bardzo wielu czytelników swego pisma, że nie zwróciła uwagi autora artykułu na to, iż czytać go będą nietylko w kawiarniach, ale i w rodzinach. Można się było tem łatwiej obejść bez tego konceptu, że autor użył go w sprawie nie obchodzącej nikogo oprócz malarzy; ogół jest zupełnie obojętnym na to, jak panowie artyści ubierają czy rozbierają swoje modele w czasie studyów—zupełnie tak, jak nikogo nie obchodzi, że kobiety w Hiszpanii i Włoszech noszą mantyle na głowach, a u nas noszono je kiedyś na ramionach. Niech sobie noszą jak chcą, to ich rzecz, nie ogółu. Tak samo powyższa kwestya jest wyłącznie rzeczą profesorów, uczniów i modelów. Żeby skończyć z konceptami, powiem, że i drugi dowcip: „a więc? a więc... tylko wam to powiem do ucha, bo to nieprzyzwoitość..." jest także bardzo wątpliwej wartości, a przytem retoryczną figurą tak zużytą i nadużytą, że chyba początkujący pisarz może o tem nie wiedzieć.

Na samym prawie początku swego artykułu p. A. robi następującą uwagę: „Charakte-

rystyczną bardzo cechą naszego wieku, jest przyswojenie sobie mnóstwa rzeczy całkiem powierzchownie bez wniknięcia w treść samą. Jest to skutkiem wchłaniania w siebie z różnych wieków naleciałości... Wiek nasz z tego punktu widzenia można nazwać Pociejowem wieków minionych". Że autor prawdę mówi tym razem i że sam jest synem XIX wieku, najlepszym dowodem jest własny jego artykuł. Krótki on dosyć, ale czego tam nie ma! Mówi się w nim o niedojrzałości artystycznej ludów północnych i o Angliku kratkowanym, o zdolności lekarza izolowania sobie stanu patologicznego chorych i o tem, że dla artysty po za jego płótnem świat cały się kończy, o staruszce, co upadła na ulicy i o pornografii, o wykroczeniach przeciwko przyzwoitości i o tem, że Zola głęboki moralista. o dwóch obrazach niebardzo przyzwoitych i o liściu figowym; — są tam wyliczone przyczyny, dla których ogół w nagości widzi nieprzyzwoitość, jest i nauka moralna i zachęta do jeżdżenia na bicyklu, słowem, jak starzy mówili, *de omnibus rebus et nonnullis aliis* [1]), wszystko tam jest, a wszystko w nieładzie—istny Pociejów! Jednej tylko rzeczy naprożno szukałem, to tych trafnych spostrzeżeń, które redakcya „Tygodnika" zna-

---

[1]) O wszystkich rzeczach i niektórych innych.

lazła; — oprócz jedynego prawdziwego spostrzeżenia, które właśnie przytoczyłem, prawie wszystkie inne są płytkie i niedokładne, jak to zobaczymy niżej. Wśród takiego mnóstwa źle powiązanych, czasami zupełnie luźnych szczegółów, myśl główna przebija się niejasno i nie prawidłowo, skacze ukośnie z przedmiotu na przedmiot, niby konik po szachownicy, odchodzi i powraca i znowu gdzieś znika, tak, że chociaż autor we wstępie zapowiedział „nie od rzeczy będzie jasno tę kwestyę postawić i rozpatrzyć", to jednak w całej pracy taki mrok panuje, że niezmiernie trudno wynaleźć ścieżynę, po której dąży jego nieudolne, a pewne siebie rozumowanie. O ile mogłem dojść i zrozumieć, myśl autora jest następująca: Ponieważ malarze we wszystkich odtwarzanych przez się przedmiotach widzą tylko piękno, więc i w nagości nic innego dla nich niema, i jeśli ją malują czy rzeźbią, mają zawsze piękno samo na oku; a ponieważ oni tak patrzą, więc mogą przedstawiać wszystko bez żadnej osłony, bo i ogół powinien tak samo patrzeć i widzieć, jeśli zaś widzi inaczej, to jego wina, nie artystów. Tembardziej ci ostatni niczem się krępować nie powinni, że właściwie przyzwoitość jest konwencyonalnością, bo ludzie ustawicznie popełniają wykroczenia przeciwko temu, co skądinąd przyzwoitem nazywają; dowodzi tego autor kilkoma przykładami.

Do wróbli z dział nie strzelają, powiada niemieckie przysłowie, więc też i ja nie myślę tu wykazywać ani braku faktycznej podstawy w pierwszej przesłance, ani nielogiczności w wyciąganiu wniosków, ale tylko zasadę p. A. zastosuję do innych przedmiotów. Ludzie, obdarzeni specyalnemi zdolnościami do matematyki, jak artyści do piękna, przy usilnej w tym kierunku pracy, widzą doskonale jasność i związek wzajemny przeróżnych twierdzeń, aksyomatów, formuł i prawideł. Ponieważ oni to widzą, więc mogą z każdym człowiekiem i na każdem miejscu mówić o geometryi wykreślnej i algebrze transcendentalnej, o binomie Newtona i sile odśrodkowej, o paralaksie, wyprzedzaniu punktów równonocnych i równaniach, a ogół powinien ich rozumieć i widzieć prawdę, bo oni ją widzą. Teolog i asceta tak samo mogą ze wszystkimi i zawsze rozprawiać o sławnej kongregacyi *de auxiliis* i probabilizmie, o drodze zjednoczenia mistycznego i „wstępowaniu ną górę Karmelu" św. Jana od Krzyża—ogół powinien ich rozumieć, bo oni rozumieją teologię i mistykę Tak też i lekarze mogą w salonie i w rodzinach, ze starymi i młodymi mówić o chorobach zwyczajnych i takich, których się dotąd nie wymienia publicznie, boć oni widzą w tem tylko naukę, pałają chęcią pomożenia bliźniemu. Co do drugiej części rozumowania, tę także parą przy-

kładów objaśnię. Jak przyzwoitość, tak i własność jest konwencyonalnością, bo ten jest przekupnym, tamten snop zboża z cudzego łanu ściągnie, inny uważa, że niema grzechu ukraść psa lub książkę, choć każdy powtarza: „siódme—nie kradnij”. Ba, samo piękno jest również konwencyonalnością, bo każdy artysta przez ludzką ułomność coś niepięknego namaluje, czasami nawet nic pięknego nie namaluje, a w każdem dziele sztuki, jeden zgani to, drugi co innego, trzeci powie, że wszystko nic warte. Sądzę, że z tych przykładów, każdy sam już następny wniosek wyciągnie: jeśli artyści szczególnie z natury do widzenia piękna uzdolnieni a specyalnem kształceniem się nauczeni, widzą w nagości tylko piękno, to niech sobie zdrowi na nią patrzą, ale co najmniej dziwnem jest wymaganie, żeby ogół, nie mający tych dwóch przymiotów, musiał widzieć tak samo. Również nie ma logiczności we wniosku, że cnota czy przykazanie, przeciwko któremu często się wykracza, jest złudzeniem i zniesionem być powinno, bo któraż jest cnota i jakie przykazanie, któregoby nikt nie łamał? Trzebaby w takim razie wszystko znieść. Taka jest ogólna myśl— jak widzimy, na bardzo niepewnych nogach stojąca. Przejdźmy teraz do szczegółów.

Klemens Junosza tak zaczyna opowiadanie swoje p. t. „Muzykanci”: „Było ich czterech— całkowita orkiestra Judka Milch, Dawid Samo-

war, Anszel Łosobykier i nieletni Chuna Brumbas; skrzypce, flet, trąbka i tamburino. Grali wszyscy znakomicie, tembardziej, że żaden z nich nie miał wyobrażenia o nutach, które krępują indywidualność artysty i robią go pospolitym wykonawcą cudzych pomysłów. Judka Milch, pierwszy skrzypek tej orkiestry, gdy go zapytywano o nuty, wzruszał ramionami i odpowiadał: „Bogu dziękować, nie jestem aptekarz... i potrafię robić muzykę bez recepty" [1]. Sympatyczny powieściopisarz pochwycił tu charakterystyczną cechę miernoty, nieuctwa i występku, że nietylko niedostatków swoich się nie wstydzą, ale się nimi jeszcze pysznią, ale za nie Bogu dziękują, ale owszem utrzymują zuchwale, że tak być właśnie powinno, a wszyscy inaczej postępujący są złymi i głupimi. Rozpustnik powie, że on „Dzięki Bogu" zacofanymi przesądami nie krępuje zdrowej i szlachetnej zmysłowości—on strzeże praw natury—postępujący inaczej, to świętoszki i faryzeusze o ponurej twarzy i spojrzeniu fałszywem; nieumiejący znaleźć się gbur, będzie się poczuwał do wdzięczności Niebu, że nie jest żadnym „aresztagratem" jeno żyje i postępuje „szczerze a otwarcie—jak Bóg przykazał". Nieuk powie, że on nie chce mieć na sumieniu, iż życie dane

---

[1] Wybór pism t. 2. Warszawa, 1891 r.

przez Boga na uczciwą pracę, traci nad głupiemi książkami: „u mnie, panie, zdrowy rozsądek, to grunt, a te wasze filozofie, to tylko do podpalania w piecu". I tak dalej we wszystkiem. Niestety, taż sama cecha widnieje zaraz na początku rozprawy p. A. tak się zaczynającej: „Są moraliści, których cała cnota—w ponurej twarzy i spojrzeniu kota... miał zwyczaj śpiewać jeden z moich kolegów. Rzeczywiście, jak często owe poważnie wymawiane słowa: moralność, przyzwoitość, to uchodzi, tamto nie uchodzi, przy bliższem przyjrzeniu się, czczym blichtrem się okazują i niczem więcej tylko prostą konwencyonalnością" Do zwrotki tej i myśli autor powraca jeszcze razy parę i wcale niedwuznacznie daje do zrozumienia, że ci, którzy upatrują coś nieprzyzwoitego w wystawianiu wszelkiej nagości na widok publiczny, są owymi moralistami o ponurej twarzy i spojrzeniu kota. Jak piosenka nie czyni zaszczytu koledze (bo co ma oznaczać spojrzenie kota, czem ono gorsze od psiego, kurzego czy końskiego?) tak myśl samemu autorowi. Wiadomo, że przeciwko jego poglądom są wszystkie wyznania chrześcijańskie, wszyscy ludzie cnotliwi, zacni i święci, całe masy niezliczone wyznawców Chrystusa, które życiem, cierpieniem, śmiercią nawet nieraz dowiodły, że miały w sobie coś więcej, niż twarz ponurą i spojrzenie kota. Wszyscy oni jednak mają być obłudnikami; prawdziwą

zaś, nie obłudną moralność praktykują: p. A. i jego weseli koledzy. Podobna pretensya, rzucanie podejrzenia czy zarzutu bez żadnej podstawy w oczy całemu światu, dla uprawnienia własnego błędu i widzimisię, jest zuchwalstwem tak niesłychanem, a zarazem wyskokiem tak lekkomyślnym, że ani oburzać się, ani nawet dziwić nie sposób; widocznie autor jeszcze bardzo młody, więc grzeszy pychą młodości i brakiem znajomości mnóstwa kardynalnych rzeczy, których jeszcze nie miał czasu, czy ochoty się nauczyć.

Wspomniawszy mimochodem o nowej całkiem rzeczy, że kto sam nie czuje piękna, temu Baedeker nie pomoże, przechodzi p. A. do głównej swej tezy i tak jej dowodzi: „Każdy człowiek dopatruje się w przedmiotach takich cech, jakie się przyzwyczaił odszukiwać dzięki swemu zawodowi", więc krawiec patrzy najpierw na suknie, lekarz tak izoluje sobie stan patologiczny chorego, że po za chorym nic dla niego nie istnieje; czy ma przed sobą mężczyznę czy kobietę, starca czy młode dziewczę, wszystko to dla niego jedno.

Możnaby o tem niejedno powiedzieć, ale mniejsza o to: podążajmy za autorem, który tak dalej rozumuje: „W tem samem położeniu jest artysta. Miłość piękna i chęć odtwarzania tego, co widzi, tak go nawskroś przenika, że z jednakowym zapałem będzie malował grupę

drzew, czy jakąś piękność nagą, draperyę przepyszną, pień drzewa czy stary stołek, bo to dla niego wszystko jedno". Czytając ten ustęp pełen naiwności, chce się powiedzieć autorowi: „przestań pan ludziom głowy zawracać, boś nie na swoich trafił". Dla malarza wszystko jedno—pień drzewa, stary stołek czy ciało kobiety—*à d'autres cher monsieur!* Jak gdybyśmy nie wiedzieli, że ani dla Tacyana, ani dla Andrea del Sarto, ani dla Rafaela, Van Dycka, Mackarta i tysiącznych innych, nie było to wcale „jednem"; wiemy jak oni żyli, oraz jakie skutki były takiego życia—i jeśli w znacznej liczbie poumierali z wyniszczenia, *tabies dorsalis* i suchot, to z pewnością nie stare stołki, ani pnie drzewne były tego przyczyną. Znam też, choć od centrów artystycznych oddalony, wiele przykładów z życia współczesnych malarzy (p. A. z pewnością zna ich więcej) stwierdzających bardzo stanowczo rzecz o której zresztą nikt nie wątpi, że dla najlepszych nawet malarzy, pień pozostaje pniem, stołek stołkiem, a kobieta kobietą. Niech o tem świadczy zresztą szczerszy od p. A. i doświadczeńszy pisarz i artysta Witkiewicz, który pisząc o „Frynie" Siemiradzkiego, otwarcie wyznaje: „pomimo wszelkich analogij, jakie zapisała poezya, między kobietą a gwiazdami, różami, perłami, jutrzenkami, fijołkami i liliami, piękno jej oddziaływa bezwzględnie inaczej, niż piękno re-

szty świata. I ktokolwiek jest człowiekiem, nie może patrzeć na piękną kobietę temi samemi oczami, jakiemi podziwiał piękno arabskiego konia, bukietu róż, krajobrazu górskiego lub malowniczego ornamentu na perskim dywanie" [1]).

Zresztą i sam p. A. jest tegoż zdania. W całym jego artykule mowa tylko o odaliskach, Safonie, Karyatydach, tylko o nagości żeńskiej; ani wzmianki o mężczyźnie. My z daleka widzimy, do czego to zmierza i gdzie *latet anguis in herba* [2])—że p. A. nie widzi go, to właśnie dla tego, iż nie wszystko mu jedno, „naga piękność, czy stary stołek". To jednak, o czem mówimy, niczem jest jeszcze w porównaniu z tem, co następuje. Autor bowiem dalej twierdzi: „że malarz widzi tylko swoje płótno, po za niem świat się dla niego kończy, patrzy na pozujące mu przedmioty i zanika w nim człowiek, a całe jego *ja*, zamienia się w artystę".

Czyżby naprawdę malarze tak bardzo niedaleko widzieli? Z artykułu p. A. rzeczywiście widać, że on po za swojem malowaniem świata nie widział wcale, albo niesłychanie mało, ale nie wiem, czy cała korporacya artystów byłaby mu wdzięczną, za takie wszystkich ich

---

[1]) Sztuka i krytyka u nas. Str. 261, Warszawa, 1891.

[2]) Wąż w trawie się kryje.

sponiewieranie. Jakto?—więc malarz dla tego, że umie namalować pień wierzby lub głowę kobiety, może zapomnieć, iż jest stworzeniem Bożem, że ma obowiązki względem swego Stwórcy, że jest ojcem, mężem, ma także obowiązki względem bliźnich, całego zresztą społeczeństwa? Więc dla tego, że umie mieszać kolory na palecie, to już ma być wolnym od praw ludzkich i Boskich i wszystko ma mu być dozwolonem? Jeśli umiejętność odtwarzania form i dźwięków jest tak ważną rzeczą, że wszystko przed nią ustępuje, to czegoż nie powinniby pozwolić sobie fotografowie, którzy pień i stołek daleko wierniej, niż malarze odtworzyć potrafią i kataryniarze powtarzają wszystkie motywy, kręcąc tylko ręką po za sobą?

Rzeczą jest zrozumiałą, że aparat fotograficzny na to jest zrobiony, by zdjął pewną liczbę portretów, nim się zużyje i wyrzuconym zostanie, że bęben istnieje na to, by po jego skórze milion razy uderzono pałką, a gdy skóra pęknie, poszedł na śmietnisko; żeby jednak człowiek na to się urodził, by namalowawszy tylko kilka pni, starych stołków i nagich piękności, spełnił swe zadanie, to mogło wymyśleć tylko bezwyznaniowe wstecznictwo, które chce wszelkiemi sposobami człowieka napowrót zrobić bydlęciem i rzeczą, jak to było za dawnych, dobrych czasów, gdy wolno było

nago biegać w czasie saturnaliów, gdy kwitnął kult Dyonizosa i Dobrej bogini.

W malarzu znika człowiek, pozostaje artysta;—dobrze, ale w takim razie w lekarzu także zniknie człowiek, pozostanie medyk, w szewcu, krawcu, stolarzu pozostanie rzemieślnik i t. d. Będziemy więc mieli artystów, wojskowych, mechaników, uczonych, rzemieślników — tylko ludzi nie będzie. Piękna i pocieszająca perspektywa!

Na tak fałszywej podstawie oparte rozumowanie oczywiście do niczego rozumnego nie doprowadzi, śledźmy je jednak dalej, gdyśmy raz zaczęli. „Dzieło w ten sposób stworzone, ciągnie autor, powinno obudzić w umyśle inteligentnego i estetycznie wykształconego widza, również czyste — zupełnie uwielbienie piękna. Zupełna nagość nie powinna żadnej innej myśli obudzić tylko szczere uwielbienie dla prawdy, z jaką została oddana dla piękna, jakie w niej tkwi. Jeśli taki obraz obudzi w jakim widzu myśli nie mające nic ze sztuką wspólnego, to nie jest to wina artysty ale samego widza".

Dziwne zaprawdę rozumowanie. Mniejsza o to na teraz, kto winien, faktem jest jednak powszechnym, że nagość wywiera właśnie ów wpływ „nie mający nic wspólnego ze sztuką" na ogół widzów płci innej, a bardzo tylko mała ich liczba i w pewnym tylko stopniu, od

niego bywa wolną. A ponieważ tak jest i ponieważ artyści nie mogą i nie powinni wyzwalać się z praw i obowiązków człowieka i współobywatela względem swych współbraci; ponieważ nie powinni być szerzycielami zepsucia i rozwiązłości, więc choćby sami byli czystymi jak lilie białe, do czego podobno jeszcze im daleko, powinniby swoje nagie piękności zachować dla siebie i swoich wtajemniczonych, bo przykazanie: nie dawaj zgorszenia równie jest świętem, jak nie zabijaj. Owszem uczciwy człowiek łatwiej przebaczy zabójcy śmierć i kalectwo swych dzieci, niż wszczepienie w ich serca jadu cielesności i znikczemnienia. Dla tego też Zbawiciel powiedział, że gorszycielom należy uwiązać kamień młyński u szyi i wrzucić ich do morza.

P. A. nie troszczy się o to i wciąż swoją zwrotkę powtarza, że ponieważ malarz specyalnie do odkrywania piękna uzdolniony i specyalnie w tym kierunku kształcony, widzi w nagości tylko piękno, więc powinni widzieć je wszyscy, choć ani tego wykształcenia, ani uzdolnienia z natury nie mają. Powinni—i basta! Dla udowodnienia swej tezy, że artysta nie jest winnym, jeśli dzieło jego wywołuje inne wrażenie u ogółu, niż u znawców, przytacza autor taki przykład. Uboga staruszka szła przez ulicę, pośliznęła się, upadła, stłukła się i rozlała lekarstwo, gapie i ulicznicy śmieją się z tego,

a człowiek rozumny i litościwy ma dla niej współczucie, podnosi ją i pociesza.

„Nieszczęście staruszki było obrazem w naturze. Malarzem jego było Fatum lub przypadek. Obraz ten powinien był budzić w widzach tylko uczucie litości, współczucia lub boleści. Czemuż w tylu widzach obudził całkiem inne? Czy to była wina malarza? Tak samo i artysta w dziele sztuki odtwarzając nagość, nie jest odpowiedzialnym za uczucia, jakie w tym lub owym widzu budzi. Owi widzowie gorszący się niechaj sobie zanucą—„są moraliści etc."

Nie wiem, czy redakcya „Tygodnika" i ten przykład zalicza do „trafnych" uwag i spostrzeżeń; dla mnie jest on tak błahem i płytkiem tłumaczeniem, że czuję niejakie upokorzenie, widząc się zmuszonym do wykazania jego powierzchowności. Przyczyną upadku staruszki nie jest ani fatum, ani przypadek, bo one nie istnieją, lecz poprostu bruk śliski lub kamień, czy inna jaka zawada na drodze; oczywiście, ani bruk, ani kamień nie są winne upadku staruszki, ani dwojakiego wrażenia na widzów, dla tej prostej przyczyny, że są przedmiotami nieożywionymi, bez rozumu i woli, więc niepoczytalnymi; malarz zaś ma a przynajmniej mieć powinien, jedno i drugie, więc jako człowiek powinien wiedzieć, co robi, a jako członek społeczeństwa (że już o chrześcijaninie nie wspomnę), ma obowiązek nic takiego nie robić,

coby na szkodę moralną bliźniego wyjść mogło. Zdaje się różnica bardzo wyraźna i p. A. stawiając siebie na równi z kamieniem, grzeszy zbyteczną pokorą. Zawiele modestyi, stanowczo zawiele!

Jest jeszcze i drugi przykład w tym rodzaju. Zola jest głębokim moralistą, twierdzi p. A., tylko gdy inni chcą przez odtwarzanie idealnych ludzi być apostołami moralności, on do tego samego celu dąży, wykazując na przykładach z życia, jakie braki nam dolegają, jakie zepsucie nas toczy. Jeśli jaki lowelas, wróciwszy wieczorem z przybytku podkasanej muzy, weźmie Zolę do ręki i sceny tam opisane z drobiazgową wiernością i prawdą, będą nań oddziaływały, jak przed chwilą słyszana piosnka szansonistki, to cóż temu biedny autor winien? Na człowieka myślącego działa ta scena całkiem odmiennie. Przychodzą refleksye etc. ect.

Zola moralistą i w dodatku głębokim!—co prawda, nie domyśliłbym się tego, ale mniejsza o to—co do winy jednak jego nie może być żadnej wątpliwości (o lowelasie jużci nikt nie wątpi, że swoją drogą winien). Zola, jako człowiek wcale nie głupi, jeśli chciał być moralistą (co bardzo wątpliwe), powinien był wiedzieć, że nigdy jeszcze brudas nie oczyścił się pomyjami, pijak nie odzwyczaił się od wódki w szynku, ani głupi nie nabył rozumu z głupszymi od siebie obcując; tak samo zły człowiek nie po-

prawi się, poprzestając z gorszymi jeszcze niż on. Refleksye dobre, o jakich mówi p. A., może czynić tylko człowiek uczciwy choćby nawet nie był zbyt myślącym; takiemu wszystkie bezeceństwa przez Zolę opisywane, na nic nie potrzebne (jeśli nie zaszkodzą), bo on jest uczciwym właśnie dla tego, że idzie za przykładem ludzi idealnych i za zasadami idealnemi

W dalszym ciągu p. A. przyznaje, że pornograficznych wizerunków na wystawach umieszczać nie należy, choćby dla tego, że ich władza policyjna nie puści (motyw mniej podniosły) i twierdzi, że byle artysta nie miał pornograficznego celu na myśli, obraz będzie przyzwoitym i moralnym bez względu na sytuacye i kostiumy. Innej granicy przyzwoitości nakreślić nie można, bo granic tych niema. Tu następują przykłady różnych niekonsekwencyj życiowych, które doprowadzają autora do pytań: „wskażcież mi ją (granicę przyzwoitości), przez jaki południk ciała ludzkiego przechodzi? Jak głęboko wydekoltowanych osób można używać do swych obrazów? Jakie *decolleté* jest dozwolone, czy takie mniejsze na sześć osób, czy też i większe na dwanaście osób"?

Czytając tak gorące wezwania o określenie granic przyzwoitości, pomyślałby kto, że ten głos pochodzi nie z kraju od tysiąca lat ochrzczonego, nie z miasta, gdzie co rok kilka katechizmów wychodzi, ale gdzieś z „czeluści

Afryki". Nie, czytelniku, to nie pyta żaden Huron ani Irokez, lecz malarz, dla którego po za płótnem skończył się świat cały, artysta wykształcony na głęboko moralnych utworach Zoli! Gdzie jest południk nieprzyzwoitości? — szczególne zaprawdę pytanie! Wszak autor przyznaje, że znanym mu jest południk pornografii, otóż, tuż obok, w blizkiem sąsiedztwie przechodzi i ten drugi południk—znaleźć go łatwo. Społeczeństwo nasze wie dobrze, co jest niemoralnem w sztuce mianowicie wszystko, co w „przeciętnym" człowieku budzić zwykło myśli i chęci „nic ze sztuką wspólnego nie mające", a każdy obszerniejszy katechizm może dać w tym względzie potrzebne informacye. P. A., choć pyta, wie to także, wcale niezgorzej, bo gdyby nie wiedział, nie przytaczałby przykładów. Więc wie, że dekoltowanie się kobiet nie jest rzeczą do pochwalenia, ani łoże małżeńskie przedmiotem do kształcenia młodzieży metodą froeblowską, ani kąpiele wspólne rzeczą przyzwoitą—ani pieśni szansonistki, ani życie lowelasa. Niepotrzebnie więc udaje nieuka i chce wmówić w ludzi i w siebie, jakoby nie wiedział, że chociaż przez granicę przekradają się często przemytnicy, to ona jednak jest i ludzie ją znają, a przemytnicy lepiej, niż kto inny.

Prawda, że niepodobna określić jednej miary dla wszystkich. Pewien dany rysunek będzie bardzo źle działał na jednego, bardzo nie-

wiele na drugiego, zgoła żadnego wrażenia nie wywrze na trzeciego; ale na to niema już rady, bo nie jednakową jest natura i wrażliwość ludzka. Tak samo powietrze danej miejscowości, będzie zabijającem dla słabszych, mniej szkodliwem dla innych, znośnem do czasu dla mocniejszych; ale pomimo tej różnicy działania, nie można zaprzeczyć, że jest powietrze zdrowe i szkodliwe, że wiemy na czem szkodliwość jego zależy, i że mamy obowiązek unikać go, lub jeśli uniknąć nie możemy, wszystko zrobić by je zdrowszem uczynić.

„Gdybyśmy mierzyli przyzwoitość obrazów—mówi jeszcze autor artykułu—tą przyzwoitością, do jakiej jesteśmy w towarzystwie obowiązani, to wówczas nie wolnoby nam było namalować jakiegoś pana bez krawata, lub kołnierzyka, a o żadnej „Sapho" lub „Odalisce" nawet pomyśleć nie mielibyśmy prawa. Stróż moralności kazałby dorobić kostyumy wszystkim karyatydom podtrzymującym tyle balkonów w Warszawie, a kupidynka tylko w kurteczce i dobrze z tyłu zapiętych majteczkach wolnoby było wyobrażać".

Szanowny artysta tak jest pewnym, że nikt się nie ośmieli radzić mu, by o Odalisce nie myślał, że barbarzyństwem w XIX wieku niemożebnemi byłyby karyatydy odziane; szczególnie zaś kupidynek w zapiętych dobrze majteczkach wydaje mu się argumentem tak sta-

nowczym, iż woła tryumfalnie: „Powiecie, że to kpiny!" Wcale tego nie powiemy; owszem twierdzimy, że autor bliższym jest prawdy, niż mu się samemu zdaje; tylko, że na samym początku popełnił gruby błąd—co prawda nie pierwszy w tej pracy—bo nie zdołał rozróżnić dwóch bardzo różnych rzeczy, mianowicie godziwości etycznej, moralnej—i przyzwoitości towarzyskiej, salonowej. Parobek stajenny, bosy i ubrany do stajni, jużci w salonie byłby zgoła nie na miejscu, ale zgorszenia moralnego nie daje swym strojem i pod tym względem nieprzyzwoitym nie jest. „Pan jakiś" bez krawata, również jak i kobieta w białym kaftaniku nie pokażą się mniej znanym i mniej blizkim, ze względów towarzyskich, ale pod względem moralnym są bez zarzutu. Panienka zapadłaby się pod ziemię (twierdzi autor), gdyby musiała w salonie pokazać bosą nogę, gdy tymczasem na bosych wieśniaków nikt uwagi nie zwraca. Sądzę, że i tu przeważną rolę grają znowu względy towarzyskie, dla których nietylko panienka, ale sam bohaterski obrońca nagości nie zgodziłby się bez obuwia tańczyć mazura, lub spacerować po ulicy. Jest też tu i wzgląd moralny, że inaczej działa czerwona, zabłocona i zepsuta noga wieśniaka, a inaczej pielęgnowana i dobrze utrzymana noga panny lub panicza.

Przejdźmy teraz do Safony i odalisek. Safo, jak wiadomo, była ostatecznem ladaco, odaliski

są znowu plagą i wrzodem na ciele ludzkości, która nicby nie straciła, owszem zyskałaby wiele, gdyby ich zgoła nie było, lub gdyby co najrychlej istnieć przestały. Myślę też, że i sztuka nie byłaby skrzywdzoną, gdyby nam artyści przestali okazywać po raz milionowy i pierwszy, zawsze te same bezmyślne oblicza i tak samo porozpinane suknie; nie straciłby też i artysta, gdyby o Safonie i odaliskach nie myślał.

Nie mam zwyczaju dawać rady nieproszony, gdybym jednak był o nią zapytany, tobym radził malarzowi—ponieważ przyznał, że mu to wszystko jedno—żeby raczej myślał o starym stołku albo o pniu wierzbowym. Choć to się dziwnem wydać może, upewniam, że rezultaty byłyby najlepsze, dla niego samego i dla sztuki.—Karyatydy? Może jestem dziwakiem, to też mego zdania nikomu nie narzucam, ale uważam je za pomysł nieracyonalny i nieludzki. Nieracyonalny—bo sensu, ani prawdy w tem niema, by człowiek mógł podtrzymywać budowle, głazy, balkony, tak samo jak niema sensu w stawianiu obelisku na grzbiecie słonia, (widziałem to gdzieś). Od tego są słupy, kolumny, filary, podstawy, cokuły, podmurowania; postać ludzka zbyt jest wątłą, by mogła gmach kamienny podtrzymać; jak kość pacierzowa choćby słonia nawet za słaba do utrzymania obelisku. Oprócz tego każda istota żyjąca, człowiek zaś więcej niż inne, stworzony do ruchu i ży-

cia; przykre więc robi wrażenie, ta zamiana istoty ludzkiej na słup wiecznie nieruchomy, niby za karę w piekle dantejskiem. Artyści niezawodnie powiedzą: — Grecy przecie używali karyatyd. Wszelkiem bałwochwalstwem brzydzę się stanowczo i wcale go nie mam ani dla Greków, ani dla greckiego poczucia piękna, owszem niejeden z greckich pomysłów wcale mi się nie podoba, jak trytony, syreny, Pan arkadyjski, tak cenna w oczach autora Dyana efezka i karyatydy także.

Zresztą u pogan mniej one rażą, bo człowiek był dla nich bogiem, gdy był ich panem, rzeczą i bydlęciem, gdy był niewolnikiem. Chrześcijanizm jednak nauczył nas, czem jest człowiek i jaką jest godność jego, więc przyznaję, że niechętnie patrzę na karyatydy—ludzi poniżonych do roli słupa.

Kiedy mowa o Grekach, to przypominam, że najpiękniejsze z karyatyd, dziewice z Erechtejonu, są zupełnie odziane;—gdyby więc warszawskim ich koleżankom dodać więcej ubrania, a zato niejakie do Erechtejońskich podobieństwo, to możeby i p. A. nie uważał tego za zbyt ciężki grzech przeciwko pięknu. Kupidynek w kurteczce i pluderkach oczywiście nie miałby sensu, dla tej prostej racyi, że nie byłby już kupidynkiem. Charakterystycznych cech zmieniać nie wolno i jeśli inaczej być nie może, to raczej nie malować zupełnie, niż zrobić

parodyę. Zeby już skończyć z przykładami, wspomnę tu jeszcze o dwóch obrazach, które p. A. przytacza na dowód, że nie sposób znaleźć „południka przyzwoitości". Na którejś wystawie warszawskiej był obraz przedstawiający scenę napadu w bardzo dawnych czasach na śpiących małżonków. Mąż porwał się do broni, a żona zupełnie nieubrana (koszul wtenczas nie znano) tuli się w kącie łóżka; że jednak był u spodu tytuł „siarczyście historyczny", więc wszyscy patrzyli na ten obraz, „nie uważając za potrzebne się oburzać". Drugi wyobrażał kobietę siedzącą na krawędzi łóżka w najprzyzwoitszej nocnej tualecie, ale gdzieś tam w rogu z pod kołdry widać było koniuszek ostrzyżonej czupryny. „Koniec świata! — pokazywano sobie palcami ów czubek i mówiono: Patrzaj! Widziałeś?

Autor tylekrotnie w swem krótkiem wypracowaniu dowiódł, że nie umie trafnie i zdrowo patrzeć na rzeczy i wypadki (niech mi redakcya „Tygodnika" wybaczy, tę zupełną z nią niezgodę), że nie można spuścić się na prawdziwość jego zapewnienia, jakoby na pierwszy obraz patrzano i nie oburzano się. Trudno wiedzieć, jak tam było, jeśli jednak tak było, jak p. A. zapewnia, to tylko dowód, że miałem racyę, twierdząc w mej pracy [1]), że nagość nie

[1]) „Nagość w sztuce".

razi i nie szkodzi, jeśli w obrazie jest wzgląd inny, niedozwalający widzowi kierować swych myśli i uczuć w stronę zmysłowości. W danym razie „wypadek siarczyście historyczny" i groza położenia mogły być takim hamulcem;—w drugim obrazie nic podobnego nie było, owszem była umyślnie przysłoniona, ale tem silniejsza alluzya do drażliwej sytuacyi—widoczną była zła chęć artysty, dla tego drażniła i gorszyła. Wszystko to bardzo proste i konsekwentne; taką jest natura ludzka—nie przerobi jej nic, nawet artykuły p. A.

Trwając mocno przy swojem, że malarz może wszystko malować, a widzowie powinni w tem widzieć tylko piękno artystyczne, p. A. przytacza w końcu pięć przyczyn, tłómaczących, podług niego, dla czego tak nie jest jak być powinno i dowodzących, że winy „szanowni widzowie w sobie szukać powinni". Przyczyn tych jest pięć; gdyby ich jednak było pięćdziesiąt pięć i gdyby wszystkie były najrzeczywistszemi, to jeszcze p. A. nie miałby racyi ni prawa wystawiać rzeczy obrażających przyzwoitość dla tego, że jeśli kto jest chorym choćby z własnej nieostrożności i winy, niemniej nie można z nim obchodzić się jak ze zdrowym. Trzeba mu dyety, unikania niebezpieczeństwa recydywy i t. p. Jeśli ktoś przez gnuśność czyli lenistwo własne sił nie wyrobił i jest charłakiem, rzecz to bardzo smutna, niemniej

jednak faktem jest, że ciężaru wielkiego nie podźwignie i że do tego zmuszać go nie wolno. Tak samo rzeczą jest niezawodną, że pewnej treści obrazy i rzeźby źle bardzo na ludzi oddziaływają; może w tem i ich samych wina, pocóż ich jednak zmuszać do patrzenia, narażać na pokusy—zwłaszcza, że najmniejszej niema do tego konieczności ni potrzeby? Win tedy społeczeństwa ma być pod tym względem pięć, zamilczę o pierwszych czterech, wspomnę tylko o ostatniej, która na tem ma zależeć: „wreszcie dla tego gorszycie się, że przeciętni widzowie uważają ciało za rzecz wstrętną, godną tylko pogardy, w której nic pięknego widzieć nie można; ciało dla nich jest to jedna wielka—nieprzyzwoitość". Jest jeszcze i szósta wina publiczności, chociaż już liczbą nieopatrzona, a jest nią złe i niehygieniczne życie, wyrafinowane zepsucie, wskutek tego charłactwo i zbyteczna skłonność do wrażeń „nic ze sztuką nie mających wspólnego". Potem następuje gorąca admonicya z powodu niepilnowania hygieny, siarczyste wezwanie: „nie umoralniajmy ludzkości jakiemiś kwakierskiemi ostracyzmami, nie wieszajmy firaneczek przyzwoitości na dziełach sztuki"; następnie jest jeszcze zachęta do szanowania ciała na równi z umysłem, do jeżdżenia na bicyklu i wiosłowania, słówko o majówce, o reumatyzmie nieprzyzwoitości (łacińskiej nazwy tej nowej choroby autor nie przy-

toczył) i na końcu ulubiona zwrotka „piękno leży w prawdzie, a prawda jest nagą".

Przeciętny człowiek ma poczytywać ciało za rzecz wstrętną i godną pogardy! Gdzie p. A. tych ludzi spotykał? Byli heretycy tak utrzymujący i mający djabła za stwórcę ciała; nie ręczę, czy w kołach bezwyznaniowych niema podobnych ludzi, bo tam co głowa, to rozum, ale my wszyscy „przeciętni" chrześcijanie, wiemy, że ciało nasze jest tworem Bożym, więc już dla tego samego—rzeczą dobrą; wierzymy, że jest przeznaczonem do chwały i szczęścia, dla tego też obowiązkiem ważnym i koniecznym nawet, jest u nas poszanowanie ciała—tylko, że my je nieco inaczej pojmujemy. P. A. bowiem powiada: „umoralniajmy ludzkość nie przez pogardę jakąś dla własnego ciała, ale przez obudzenie dla niego równego poszanowania, jakie mamy dla umysłu naszego; niech człowiek równie się wystrzega garbatych pleców, zapadłej klatki piersiowej i cienkich łydek, jak wszelkich braków umysłowych". Podług nas szacunek dla ciała, polegający na rozwijaniu łydek i regulowaniu żołądka, jest wielkiem dziecińśtwem i czemś gorszem nawet. Człowiek szanuje swe ciało gdy pamięta, że jest ono mieszkaniem duszy nieśmiertelnej i do Nieba przeznaczonej; gdy go nie poniewiera po miejscach rozpusty i przybytkach podkasanej muzy, gdy go nie ma za przyrząd do trawienia, za

bydlę dwunożne, słowem gdy się stosuje do upomnienia św. Pawła: „jako we dnie uczciwie chodźmy, nie w biesiadach i pijaństwach, nie w łożach i niewstydliwościach, nie w zwadzie i zazdrości, ale się obleczcie w Pana Jezusa Chrystusa, a starania o ciele nie czyńcie w pożądliwościach" [1]).

Można nie bez racyi w skardze na pogardę ciała u przeciętnego człowieka widzieć bardzo przezroczystą alluzyę do obowiązku, jaki wiara na nas wkłada—walczenia z ciałem, trzymania go w karbach, umartwiania. Jest to znowu proste niezrozumienie rzeczy. Asceci i moraliści rzeczywiście każą brzydzić się ciałem, umartwiać je, nawet umorzyć całkowicie, ale tem ciałem nie jest właściwie ciało z muskułów złożone, lecz stary człowiek, t. j. żyjący w nas człowiek ziemski, zmysłowy, poganin dążący do ziemi, a nie chcący przemieniać się w nowego człowieka, „który według Boga stworzony jest w sprawiedliwości i świętości prawdy". Tym to starym człowiekiem trzeba gardzić, jego umartwiać i umorzyć, t. j. przerobić na nowego i duchowego. Że zaś człowiek składa się z duszy i ciała, więc umartwianie i przerabianie rozciąga się najpierwej do duszy, a potem do ciała; nie dla tego żebyśmy niem gardzili,

---

[1]) Rzym XIII. 13, 14.

że jest ciałem i materyą, ale że jest mieszkaniem i narzędziem upadłej duszy. Brzydzimy się więc starym człowiekiem, bo jest złym, grzesznym, zmysłowym, karzemy i umartwiamy ciało, bo tak też postępujemy z duszą, nie dla tego, żebyśmy się niemi brzydzili o ile są istotami w znaczeniu ontologicznem, ale że chcemy nad niemi panować i kierować je do ich właściwego celu.

Oczywiście, jeśli trzeba wybierać z dwojga, zbawienie duszy, lub zgubę ciała, to ostatnie się poświęca. Tak jeździec, lubo bardzo ceni rumaka, trzyma go jednak w ręku, ujeżdża, męczy, do boju prowadzi i poświęca wreszcie, by sobie życie uratować. Żeby zaś ostatecznie przekonać czytelników jak autor myli się, wmawiając w nas pogardę dla ciała, o ile jest materyą, przytoczę ustęp najznakomitszego bodaj z współczesnych pisarzy ascetycznych: „Czyż stąd wypływa, że między Bogiem a ciałem niemożliwy jest stosunek?... Ta materya jest stworzoną przez Boga, On ją więc zna i ona ma swój typ, swoje imię, miejsce i cel w tym umyśle Bożym, w którym, jak mówi św Jan, wszystko ma życie, to nawet co go samo przez się nie posiada. A nietylko Bóg materyę zna, ale ją kocha, tak, że ją poślubił, nie samą przez się oczywiście, ale w człowieku, którego ona jest cząstką konieczną. Przez Wcielenie ciało staje się bezpośredniem organem Boga, formą

Jego osobistego zjawienia się na tym świecie, narzędziem najpiękniejszych dzieł Jego, kanałem najcenniejszych łask... Jaki zaszczyt, jakie zadanie, jakie przeznaczenie!" [1]). My więc „przeciętni" chrześcijanie wcale nie uważamy ciała za jedną wielką nieprzyzwoitość, owszem, jak wspomniałem, jest ono dla nas rzeczą dobrą, arcydziełem Bożem; nagość jego jest także sama w sobie rzeczą obojętną, dobrą nawet, boć Bóg przecie człowieka bez szaty utworzył i tworzy, tylko że jest tu pewna okoliczność, o której autor zdaje się nic nie wiedzieć, jak gdyby na chwilę przed pisaniem swego artykułu przybył wprost z innej planety. Oto, że od upadku człowieka, powstała w nim nieszczęsna pożądliwość, której skutkiem jest, iż rzeczy najlepszych przez Boga stworzonych pożąda w sposób niewłaściwy, chce ich użyć i używa do celu nieodpowiedniego, że najlepszej rzeczy nadużyje, sponiewiera ją i splugawi; a ponieważ wśród różnych pożądliwości, cielesna jest najsilniejszą i najłatwiej zapalną, więc ludzie wierzący i szanujący swe ciało, okrywają je i unikają starannie wszystkiego, coby ich samych i bliźniego bez potrzeby „na pokuszenie wwieść mogło".

[1]) Gay. *Della vita e delle virtù cristiane. Traduz dal francese.* Vol. 2, p. 15.

P. A. nie chce uznać istnienia „pożądliwości"—więc jak lekarz nieznający głównego źródła choroby nigdy rzeczywistego lekarstwa nie wskaże, tak i on darmo się miota i szuka: nie wymienił najistotniejszego warunku, pozwalającego bez szkody moralnej patrzeć na obrazy przedstawiające nagość. Najważniejszymi wydają się mu: wykształcenie umysłowe, estetyczne, zdrowe ciało, a pośrednio hygiena i ćwiczenia gimnastyczne. Jedno z nich tylko wydaje mi się rzeczywiście prawdziwem, a nawet koniecznem, to wykształcenie estetyczne. Wykształcenie umysłowe, w którym autor postępowym obyczajem widzi panaceum na wszelkie choroby moralne, jest w tym przynajmniej razie, czczym i pustym wyrazem, bo przecież rzeczą jest powszechnie wiadomą, że właśnie największe zepsucie krzewi się wśród klas umysłowo wykształconych a moralnie zaniedbanych. Jazda konno i na rowerze, pływanie i wszelkie ćwiczenia gimnastyczne wzmacniają ciało, ale chyba niewiele w omawianym względzie pomogą. Prawda, że w ciałach zniszczonych zepsuciem mieszkają potworne myśli i żądze, ale też stara to rzecz jak świat, że ludzie zdrowi, silni, nie garbaci i o „dobrze rozwiniętych łydkach", jeśli nie mają bojaźni Bożej, pozwalają sobie pod tym względem tak wiele i tak długo, aż im klatka piersiowa zapadnie

i łydki wychudną;—dzieciom ich zaś i garb już wyrośnie.

Autor zapomniał o głównym warunku, a tym jest *serce czyste*.

Dziwna rzecz doprawdy, jak silnem jest panowanie frazesu i jak mało ludzie, chwalący się samodzielnością umysłową, są rzeczywiście samodzielnymi! Gdy widzą fakta przeciwne swej teoryi, zapisują je—i nie rozumieją. Nasz autor np. wierząc niezachwianie w potęgę wykształcenia powiada: „na człowieka myślącego ta scena (z powieści Zoli) oddziała całkiem odmiennie" (niż na lowelasa) i kończy tak ten ustęp: „Gdy siostra miłosierdzia wchodzi do ciemnej nory, gdzie zepsucie z nędzą walczy o lepsze, bynajmniej nie odbiera tych samych wrażeń, co ów lowelas, któryby zaraz pragnął tę nędzę wyzyskać i z tego zepsucia skorzystać". Otóż wiadomo, że lowelasy w bardzo znacznej części rekrutują się z klas mających siebie za uosobienie postępowego wykształcenia, za wcielenie postępowej myśli, t. j. z wychowańców przeróżnych akademij, słuchaczy szkół wyższych i z artystów, gdy tymczasem Siostra Miłosierdzia jest uosobieniem zacofania, wyznawczynią „średniowiecznej ciemnoty", a jednak p. A. ma racyę: jej wrażenia są inne niż lowelasa, a dla tego inne, że ma serce czyste.

Otóż przebiegliśmy i ocenili główną treść omawianego przez nas artykułu. Jest w nim jednak jeszcze mnóstwo ustępów, zdań i sentencyj, zasługujących na uwagę a porozrzucanych tu i owdzie, niby perły i drogie kamienie po szacie kosztownej, albo raczej, mówiąc szczerą prawdę—niby kleksy i żydy po wypracowaniu niewprawnego ucznia.

Niektóre z nich tylko podejmę w tym celu, by czytelnik wyrobił sobie dokładniejsze wyobrażenie, o tem, jakie to są umysły, które się rzucają do obalania odwiecznych prawideł, zasad i zwyczajów moralności chrześcijańskiej, jaki zapas wykształcenia daje prawo wołać na przeciętnych widzów (t. j. na nas wszystkich) „zdejmujcie firanki z przed Safony i Odaliski umoralniajcie siebie jazdą na bicyklu, nie kwakierskim ostracyzmem",—chociaż co prawda, z tego, com już przytoczył, można sobie było jakie takie wyobrażenie w tej materyi wyrobić. Jak kolegi pana A. ulubioną piosenką była: „są moraliści których cała cnota", tak znowu jego samego wybraną zwrotką jest: prawda jest pięknem, a prawda jest nagą. Jaka to prawda jest pięknem, jeśli wolno zapytać? Czy że 5×5 =25, czy że kwadraty katetów równają się kwadratowi hypotenuzy, czy też, że powietrze jest fizyczną mięszaniną tlenu i azotu? Domyślam się ci ja, co autor chciał powiedzieć, bom też nieco estetykę studyował, ale tak jak jest

napisano, to nieprawda jest, bo *piękno* jest *pięknem*, *prawda* jest *prawdą*, mięszać ich z sobą nie można. Nie zawsze prawda jest pięknem plastycznem; są rzeczy i przedmioty, które im prawdziwiej będą oddane, tem będą wstrętniejsze, np. trup rozkładający się, ropucha, twarz brzydka i spodlona, ciało rakie toczone i t. p. Prawda jest nagą, tak ją rzeczywiście przedstawiali Grecy, autor zaś symbol grecki wziął zupełnie poważnie i tnie nim na prawo i na lewo niby obosiecznym mieczem. W rzeczywistości nagość prawdy tyleż warta, co kosa śmierci i róg obfitości fortuny: figura retoryczna i nic więcej, dobra do okraszania stylu, lecz wzięta jako argument, równa się zeru.

„Prawda i piękno to zadanie artysty"—zgoda, chociaż dotąd, artyści zabierali sobie wyłącznie piękno, prawdę oddając uczonym, niech jednak tak będzie; tylko gdzie szanowny autor podział trzeciego członka tej rodziny i czemu o nim ani razu nie wspomniał? Prawda i piękno mają swe osobne istnienie i treść swoję własną, są jednak w samej rzeczy tak ściśle połączone pokrewieństwem wewnętrznem i koniecznością natury, że gdzie jest jedna, tam choć w pewnym stopniu będzie i druga;—tylko że właśnie mają one trzeciego członka również *inseparable*, a tym jest *dobro*. Jak tamtych nie można rozdzielić od siebie, tak tego od nich obojga, i jak kolor wtenczas dopiero bę-

dzie żywym i soczystym, pełnym i doskonałym, gdy będą w nim, (raczej obok niego), w odpowiednim stopniu, trzy zasadnicze kolory, tak dzieło sztuki stosownie do swej treści, dopiero wtenczas będzie doskonałem, czynem prawdziwie ludzkim, gdy zjednoczy w sobie piękno, prawdę i dobro.

Wiem ci ja, że liczna klasa artystów o tym ostatnim członku rodziny uporczywie milczy, nawet go wypędza; wiem, że Salony i odaliski niepoślednią w tem grają rolę, ale to trudno: co natura rzeczy złączyła, tego żadna dowolność nie rozdzieli.

A oto znowu ciekawa sentencya: „artysta ma za cel piękno i prawdę. Cel jest dobry, więc użycie jakichkolwiek środków, byleby ku temu celowi dążących, jest dobre". Tak, tak, sentencya jest ciekawą, a zasada zdrową i zacną, tylko, że chcący ją w czyn wprowadzić niechybnie a słusznie dostają się—do kozy. Ten oto np. biedak, miał ubogą rodzinę i sądząc, że wszystkie środki dążące do dobrego i pięknego celu utrzymania żony i dzieci są także dobre i piękne, chciał namówić bogatego sąsiada, by mu oddał połowę swych listów zastawnych, a gdy ten był innego zdania, poderżnął mu gardło i teraz ma w perspektywie kryminał. Inny znowu, wiedząc, że dobrze w biedzie pomódz przyjacielowi—bo przyjaźń to rzecz święta—krzywoprzysiągł w sądzie i teraz w samo

tności więziennej ma dosyć czasu do rozmyślania nad ogromną różnicą postępowej moralności, czerpanej z dzieł wielkich moralistów w rodzaju Zoli, a zacofaną etyką chrześcijańskiego katehizmu, który twierdzi, że gdyby nawet do tak wielkiego i pięknego celu jak zbawienie całego świata, prowadził tak niewinny na pozór środek jak maleńkie kłamstwo, to i tego nie godziłoby się popełnić, bo zasadą podstawową moralności Chrystusowej jest; *son sunt facienda mala ut eveniant bona* [1]).

„Dla mnie, powiada w innem miejscu p. A., granica ta (przyzwoitości) istnieje tam, gdzie się kończy sama prawda t. j , że granicy tej niema, bo gdzie się kończy prawda, tam zaczyna się fantazya, równie cenny pierwiastek w sztuce. Weźmy posąg Dyany z Efezu. Gdyby go który z ojców rodziny oglądał, nie zdobyłby się pewnie na protest oburzenia wobec powagi starożytności; niechby jednak dziś jaki nieszczęśliwy impresyonista zdobył się na podobny pomysł, pewnieby głosować zaczęto za niedopuszczaniem „takich rzeczy na wystawę". Proszę zwrócić uwagę na logiczność tego ustępu. Autor odpowiada na przytoczone wyżej jego własne pytanie: gdzie południk przyzwoitości i jakie *decolleté* dozwolone, na 6 czy 12 osób.

---

[1]) Nie można czynić złego dla osiągnięcia dobrego celu.

Otóż można dać pięknego konia z rzędem temu, kto wytłómaczy dwie rzeczy: *primo*, jaka jest logiczna racya i konsekwencya, żeby granicy przyzwoitości nie było żadnej dla tego, iż gdzie się kończy prawda, tam się fantazya zaczyna. a *secundo:* jakiemi nićmi logicznemi przyszytym jest do powyższego twierdzenia cały ów ustęp o Dyanie efezkiej, ojcu rodziny i nieszczęśliwym impresyoniście? Co to ma jedno do drugiego? Ja w nim tylko jednę rzecz przyjemną znalazłem — oto z tego, com widział na warszawskich wystawach, com o nich słyszał i czytał, wnosiłem, że tam już dawno nie patrzą na treść wystawionego dzieła, lecz wszelkie brudy bez głosowania chwytają, dowiedziałem się, że jeszcze głosują, więc pocieszyłem się odrobinę.

Otóż najpierwej zauważę, że nie sposób zestawiać rzeczy tak różnych jak prawda i fantazya, bo ów pompatyczny frazes: „gdzie się prawda kończy, tam się zaczyna fantazya", tyleż wart co następujący: „gdzie las się kończy, zaczyna się ryba". Prawdą nazywamy zgodę między pojęciem istniejącem w czyimś umyśle, a rzeczą istniejącą w naturze; fantazya zaś jest władzą duszy dozwalającą jej wznawiać obrazy widzianych przedmiotów i tworzyć z nich rozmaite nowe kombinacye. Są to więc dwie rzeczy w zupełnie różnych sferach mieszkające, nie sąsiadujące z sobą wcale, więc też nie może się zaczynać jedna na końcu drugiej.

W rzeczywistości gdzie się kończy prawda, tam się zaczyna nie żadna fantazya, lecz poprostu—fałsz. Co się tyczy niewiadomo po co wciągniętej tu Dyany efezkiej, to rzeczywiście jako zabytek archeologiczny zasługuje ona na względy, sądzę jednak, może zbyt po prostacku, że impresyonista, któryby teraz wymyślił coś tak potwornie brzydkiego, fałszywego i obrzydliwego, byłby naprawdę nieszczęśliwym impresyonistą, bardzo nieszczęśliwym nawet.

Pod koniec pracy p. A. znajdujemy jeszcze następującą skargę: „Jakże dalekośmy odbiegli od owej konsekwencyi i równowagi klasycznych Greków. *Mens sana in corpore sano* [1]), przysłowie unoszące się nad całą cywilizacyą starożytną i zapewniające jej ową dziwną równowagę i prawidłowość, u nas jest tylko bezmyślnie powtarzanym frazesem". W czemże to objawiła się owa „dziwna równowaga i prawidłowość" owego starożytnego świata? Czy w niewolniczem upodleniu Egipcyan, czy w potwornościach praw Manu i panowaniu braminów, czy w okrucieństwach Assyryi i Babilonu, w obrzędach Molocha i Astarty, czy też może w rozprawach sofistów dowodzących, że czarne jest białem, a białe czarnem, czy w głupiem ględzeniu ateńskiego demosu, słuchającego ciekawie opowieści o cieniu osła, a skazującego

---

[1]) Zdrowy umysł w zdrowem ciele

swe chwały na wygnanie? Albo może w egoistycznej Sparcie, pływającej we krwi i łzach Meseńczyków i Helotów; może tak autorowi zaimponowały rzezie rzymskie, zgnębienie przez nich całego świata, rządy Heliogabala i obyczaje Messaliny? Może tę dziwną prawidłowość dopatrzył w 10,000 towarzyszy Spartakusa, rozpiętych na krzyżach wzdłuż drogi z Neapolu do Rzymu, albo w żywych pochodniach Nerona? Uśmiecha mu się zapewne tak błogi stan równowagi, że każdy Rzymianin nosił przy sobie sztylet i truciznę, by uciec ze szczęśliwego świata, nad którym unosiło się drogie autorowi hasło: *mens sana in corpore sano*, hasło tej równowagi, w skutek której zniknęli Grecy w przewrotności, okrucieństwie, rozpuście, a reszta przeszła na błaznów, handlarzy i sofistów? Może szanowny artysta opinie swe o historyi starożytnej kształcił na obrazach z podpisem: „Idylla grecka"? Rzeczywistość surowa i nieubłagana inne ma wyobrażenie o „dziwnej starożytnego świata prawidłowości". Świat starożytny rzęził wciąż i konał, a jeśli był tam spokój, to ten tylko, o którym Tacyt ze smutkiem powiada: *solitudinem faciunt—pacem apellant* [1]), a nad nim unosiło się w rzeczywistości przysłowie—*homo homini lupus* [2]).

---

[1]) Czynią pustynię i nazywają to pokojem.

[2]) Człowiek dla człowieka wilkiem.

Nie miałbym zresztą bardzo za złe autorowi zbyt pochlebnego o starożytności wyobrażenia, bo frazes o równowadze starożytności, toć to wynoszony strzępek dawnych niekrytycznych o niej wyobrażeń dotąd wśród ludzi pokutujący, ale oburzającą jest ta niesłychana buta i pewność siebie, z jaką rozprawia i wskazuje na rzecz nieznaną sobie, z jaką daje morały innym. Są przecie wśród nas ludzie, którzy historyę starożytną znają z własnej pracy, nie z cudzych frazesów, i którzy mają prawo prosić p. A., by nie uczył drugich czego sam nie umie.

Przytoczę tu wreszcie na końcu ustęp, który p. A. na początku swej pracy umieścił: „Gdyby owe pojęcia słuszne czy niesłuszne, chciano stosować tylko do siebie i swoich bliskich, to niktby nie miał nic przeciwko temu, skoro jednak... chcą kiedy niekiedy narzucić ogółowi swoje w tym względzie zapatrywania, bądź to za pomocą druku, bądź w inny sposób, nie od rzeczy będzie jasno tę kwestyę postawić i rozpatrzyć". I ja myślę tak samo, tylko że ogół, jak to p. A. nieraz zaznacza, jest właśnie za przyzwoitością, ogół gorszy się nagością i autor mu to nawet wyrzuca, a narzucić usiłuje ogółowi swoje w tym względzie zapatrywania ten, kto powiada: „dla mnie nie ma żadnej granicy przyzwoitości" t. j. sam p. A. Czemuż tedy nie zastosował do siebie wła-

snej swej zasady? Gdyby te pojęcia słuszne czy niesłuszne chciał stosować do siebie i swoich bliskich, niktby o tem nie wiedział i niktby nie miał mu tego za złe. Tymczasem w ciągu artykułu zapomniał o tem, co pisał na początku—i można mu teraz powtórzyć słowa Pisma św.: „z ust twoich cię sądzę”. Co do mnie, to mam prawdziwy żal do nieznanego mi artysty autora, że swoją rozprawą zmusił mnie do wykazywania, iż niema ona najmniejszej literackiej wartości, ani żadnego logicznego związku, że na małej przestrzeni nagromadził tyle błędów logicznych i historycznych, płytkich spostrzeżeń i frazesów bez treści, że jeśliby mu kto dorównał, wątpię, czy wielu przewyższyćby zdołało. Jednego tylko co do wartości tej rozprawy rozwiązać nie mogłem pytania: czy większą w niej jest zarozumiałość, czy też ignorancya? Tak, poco było brać się nie do swojej rzeczy? Malarz, w którym zanikł człowiek, dla którego po za jego płótnem świat cały się skończył, najlepiej zrobi, gdy poprzestanie na pokrywaniu swego płótna farbami, a dla rozrywki może sobie śpiewać—nie—„są moraliści, których cała cnota...” lecz raczej krótkie a trafne zdanie wielkiego malarza starożytności—*ne sutor ultra crepidam*, co znaczy mniej więcej: pilnuj szewcze kopyta...!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.